

DODATEK Z OKAZJI:
ROCZNICY POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

RYSZARD CZARNECKI:
POLACY, STÓJCIE PRZY TRUMPIE!

KOLEJNY ODCINEK SERII
BOHATEROWIE NIEPODLEGŁEJ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 31 (296) 2018
30 lipca–5 sierpnia
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

SPÓŁKA GETBACK
TO BIZNESOWE DZIECKO
LESZKA CZARNECKIEGO

NASZE ŚLEDZTWO

WIEMY, KTO BRAŁ KASĘ Z GetBack

LESZEK BALCEROWICZ
ZA WYKŁAD NA GETBACK FORUM BUSINESS 2017 WZIĄŁ 89 TYS. ZŁ

POSZKODOWANI PRZEZ GETBACK
PROTESTUJĄ PRZED SIEDZIBĄ PREZESA LESZKA CZARNECKIEGO (WARSZAWA, 24.07.2018)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269809 31

Już 6 SIERPNIA w tygodniku SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

SERIA DODATKÓW EDUKACYJNYCH



Budowniczowie II RP

- Budowa COP i portu Gdynia

PARTNERZY DODATKU

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

ORLEN

W każdy pierwszy poniedziałek miesiąca do końca roku kolejne odcinki o polskich wynalazcach, odkrywcach, innowatorach, którzy uczynili świat lepszym

niepodległa

POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Czas bojówek

W najnowszych protestach organizowanych przed parlamentem i sądami wokół reformy sądownictwa widać, jak silni są wciąż przeciwnicy zmian w Polsce. I nie chodzi wcale o skalę tych protestów, bo mimo okresowych skoków frekwencji trudno mówić o jakimś masowym zrywie. Opozycja od momentu przegranej może stale liczyć na kilkunasto-, kilkudziesięciotysięczne poruszenie w dowolnej sprawie. Czasem zbiera tyle, zwykle wielokrotnie mniej.

Każdy, kto trochę wie o praktycznej stronie polityki, dostrzeże tam przede wszystkim ogromne pieniądze i wielki wysiłek organizacyjny, też zresztą związany z pieniędzmi. Kosztowne urządzenia sceniczne, nagłośnienie? Do woli i na zawołanie. Gadżety, profesjonalnie wykonywane transparenty? W każdej ilości. Aktywiści niepotrzebujący się kłopotać o codzienną pracę, źródła utrzymania? Będzie tylu, ilu potrzeba. Do tego precyzyjnie przemyślane scenariusze, mające budować atmosferę grozy.

Widać kolejny raz, jak ogromne środki rzucono przeciw ekipie, która objęła władzę w 2015 r. Z każdym rokiem są one większe, bo grupy interesu i środowiska przestępcze tracą dziesiątki miliardów złotych, które wracają do budżetu. Widać, że zmieniono też priorytet: dziś głównym celem organizatorów jest nie skala protestów, ale ich temperatura. Można już otwarcie mówić o bojówkach, których zadaniem jest eskalacja napięcia.

Michał Karnowski

Nie czas na luksusy

Prawo i Sprawiedliwość nie wsparło pomysłu prezydenta w sprawie referendum konstytucyjnego. Jarosław Kaczyński twierdzi, że zdecydował termin głosowania zaproponowany przez Andrzeja Dudę, który utrudniłby obchody 100-lecia niepodległości. Prezes PiS nie wyklucza, że w przyszłości sprawa może jeszcze powrócić.

Intencje prezydenta były szlachetne – chodziło o zaproszenie Polaków do rozmowy o kształcie polskiego państwa. Wydaje się jednak, że dziś tego typu przedsięwzięcia są skazane na klęskę. Przegrani ostatnich wyborów nie chcą rozmawiać – oni chcą odzyskać władzę i nic innego ich nie interesuje. Nie cofną się przed niczym. Zdemolują każdą inicjatywę, która ma służyć wzmocnieniu wspólnoty. Możemy być pewni, że nie uszanują nawet setnej rocznicy odrodzenia Polski.

Szczególne ryzyko niosły z sobą niektóre pytania referendalne. Na przykład w przypadku wpisania do konstytucji członkostwa w Unii Europejskiej każdy wynik budziłby kontrowersje. Pytanie o kształt ustrojowy mogłoby wykreować niepotrzebne podziały w obozie rządzącym. Pytanie o chrześcijańskie źródła mobilizowałoby radykalną lewicę. W połączeniu z wątpliwościami dotyczącymi frekwencji referendum oznaczałoby podjęcie dużego ryzyka bez specjalnej konieczności. Potencjalne zyski byłyby niewielkie, a prawdopodobne straty bardzo duże.

Siły, które straciły władzę, zrobią wszystko, by nie tylko powrócić do steru, lecz także zepchnąć obóz PiS w niebyt. Dotyczy to i parlamentu, i urzędu prezydenckiego. Najbliższe dwa lata będą batalią o wszystko. W tych warunkach nie można trwonić sił, nie można podejmować zbędnego ryzyka. To nie jest czas na polityczne luksusy.

Jacek Karnowski



25/048/F, 24/07/18/F

eprasa.pl 047454cd83

SIECI spis treści



34 ***Z prof. Waldemarem Paruchem rozmawia Jacek Karnowski***



59--74 **Dodatek historyczny** ***Bohaterowie Niepodległej (cz. VII)***



101--132 **63 dni dla wolności** ***Dodatek z okazji 74. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego***

NA POCZĄTEK

6 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

8 **POTWÓR NA WAKACJE**
Krzysztof Feusette

10 **LATO Z ŻARTEM (3)**
Jan Pietrzak

11 **WIDMA PRZESZŁOŚCI**
Bronisław Wildstein

14 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **PADEREWSKI**
Marta Kaczyńska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **GETBACK – BEZWZGLĘDNA GRA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

28 **SKARŻĄCY DO NIEMCA**
Stanisław Janecki

31 **ZADYMIARZE W AKCJI**
Marcin Fijołek

34 **Z PROF. WALDEMAREM PARUCHEM**
rozmawia Jacek Karnowski

39 **Z RYSZARDEM CZARNECKIM**
rozmawia Michał Karnowski

43 **CZAS DEKONIUNKTURY**
Piotr Skwieciński

46 **Z MARKIEM ZAGÓRSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

50 **GDY BAŁTYK KWITNIE**
Przemysław Barszcz

ŚWIAT

54 **CZYSTY NIEMIEC**
Piotr Cywiński

56 **KRAJOBRAZ PO UPADKU REWOLUCJI**
Jan Rokita

SIECI KULTURY

75 **ZAKRĘCONY SIERPIEŃ**
Jolanta Gajda-Zadworna

79 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

80 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

82 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

KUCHNIA

88 **MOJE SMAKI: AGATA BYKOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **KREON I JEGO PEDAŁY**
Piotr Skwieciński

91 **DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska

92 **GERSDORF O POLSCE I NIEMCZECH**
Wojciech Reszczyński

93 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

94 **KREWETKI**
Aleksander Nalaskowski

95 **KAŻDY SOBIE**
Wiktor Świetlik

96 **AUTODESTRUKCJA I SMUTEK EUROPY**
Jan Pospieszalski

97 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

98 **DER ONET DO HYMNU**
Ryszard Makowski

99 **MIŁOWAŁ DWIE OJCZYZNY**
Leszek Długosz

100 **PISARKA NIE ROZPOZNA KŁAMSTWA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

36/0218/F

eprasa.pl 047454cd83

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.







www.grupacedrob.pl

eprasa.pl 047454cd83

Przegląd Sygn

„Stało się, zrobiłam laleczkę prokuratora Piotrowicza i wbijam w nią szpilki. Jego dni są policzone” – ogłosiła na Facebooku Maria Nurowska. Na razie poseł Piotrowicz ma się wyśmienicie i nie tylko tryska humorem, lecz także po cichu się chwali, że deklaracja pisarki przysporzyła mu sporo sympatii. A że chrześcijanin szczery i uczciwy, to czarów się nie boi.

★ ★ ★



Piotrowicz jest nie tylko twardy, lecz i politycznie sprawny. Na każdym, ale to każdym z jego 40 spotkań w terenie była ekipa TVN. Szukali skandalu, jakiejś mocniejszej wypowiedzi, ale szczególnym urobkiem pochwalić się nie mogą. Nie pomogli nawet zawodowi zadymiarze kodziarsko-ubywatelscy, którzy zaszczycili spotkania Piotrowicza 36 razy. Czyli nie dojechali na cztery. TVN jest bardziej zdyscyplinowany.

★ ★ ★

Nurowska zajmuje się wudu, a prof. Magdalena Środa wyznała: „Na nasze zjazdy przyjeżdżała pewna czarownica prosto z Salem i uczyła nas różnych rzeczy. W noc Walpurgii albo w głęboką noc bogini Hekate gry i wtajemniczenia trwają do samego rana. Efekty tego widać później w życiu politycznym”. Oj widać, i to nie tylko w życiu politycznym, lecz i na twarzy.

★ ★ ★

Na pewno widać na Facebooku, na którym Środa wezwała do budowy państwa podziemnego, ponieważ „skończył się demokratyczny sen i pora wracać do realu”. Środa ma konkretny plan: „Infrastruktura, wydawnictwa, uniwersytety (nauczanie początkowe też), system adwokatów, którzy będą bezpłatnie wspierać tych, którzy pójdą siedzieć i system mieszkań dla tych, którzy się ukrywają”. Plan piękny, ale niestety, to nie Sierpień, bo robotników niewielu, Kościół coraz słabszy i tym razem salon nie bardzo ma kogo oszukać.

★ ★ ★

Na razie nie ma podziemia, są za to demonstracje, największe od miesięcy, choć nie tak duże jak rok temu. Widać jednak rosnącą profesjonalizację: sprawna reżyseria widowiska, przygotowani wodzireje, intensywne poszukiwanie symbolu, który chwyci. Do tego wyselekcjonowane grupy bojowe. Cel jasny – kolorowa rewolucja. Bo tu nie chodzi o to, by PiS odsunąć od władzy, ale by go zmieść ze sceny i wyrzucić na zawsze do śmietnika historii.

★ ★ ★

Przed Pałacem Prezydenckim zebrani wyrzucali do specjalnej przezroczystej urny (musiała sporo kosztować) długopisy. „Wyrzuć długoPiS, to może być akcja roku” – entuzjazmował się faktyczny szef „Wyborczej” Jarosław Kurski. Sens tego gestu jest jednak tak niejasny, że notka wyżej traci aktualność. Bo to są jednak profesjonaliści z pl. Zbawiciela, którzy siebie samych nie przeskoczą.

★ ★ ★

Powoli, ale konsekwentnie, do demonstracji wplątywane są elementy przemocy. Przed pałacem do kordonu policji podeszła grupa osób. W stronę funkcjonariuszy rzucono racę, poleciały puste butelki, skandowano wulgarne hasła. Jeden z policjantów użył ręcznego gazu będącego na wyposażeniu indywidualnym. Po gaz sięgnął również któryś z zadymiarzy. Dwóch policjantów ucierpiało. Myśl o Majdanie nie umarła.

★ ★ ★

Ważnym elementem letniego wzmożenia jest próba zastraszenia policji. Najpierw Szczerba ujawnił dane personalne jednego z funkcjonariuszy, a teraz Frasyniuk powiedział wprost: „Jak upadnie PiS, to wy w pierwszej kolejności staniecie przed sądami, a nie Błaszczak i Brudziński”. Ci ludzie nie cofną się przed niczym. Wiedzą, że jeśli rząd nie upadnie, to wielu z nich stanie przed sądem. A przynajmniej powinno.

★ ★ ★

Niektórzy stanęli. Najważniejszy z nich to były sekretarz generalny PO Stanisław Gawłowski. Trochę posiedział za kratami, ale dziś już na wolności. Z tej okazji dziennikarz Onetu Kamil Dziubka zaprosił Stanisława Gawłowskiego po wyjściu z aresztu na pierwszy wywiad. Wywiad taki sam jak wszystkie poprzednie – i równie zabawny. Co ciekawe, Dziubka wciąż poucza innych dziennikarzy w sprawie standardów.

★ ★ ★

Walczy ulica, walczy i zagranica. Nie tylko Niemcy nadają tej sprawie ton. Za kulisami jeszcze bardziej agresywna jest Szwecja i jej dyplomacja. Tam, gdzie może zrobić nam kuku, to bez wahania robi. I nawet polscy strażacy pędzący ku wielkim pożarom w sile kilkudziesięciu wozów, wśród braw szwedzkiej publiczności, tego nie zmienią. Na pewno nie powinni zbytnio ryzykować. Nie warto.

★ ★ ★

Kazimierz Michał Ujazdowski nie jest już kandydatem PO i Nowoczesnej na prezydenta Wrocławia. Ale może będzie kandydatem na euro-

Fot. Sieci x3, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 047454cd83

tygodnia listy



posła. Albo chociaż posła. A może tylko radnego. A i to niepewne. Bo jak się okazuje, to nie tylko kiepskie notowania Ujazdowskiego we Wrocławiu skłoniły Schetynę do tego mordu, lecz i niezwykle silna, także zakulisowa, presja „Wyborczej" oraz lewactwa. I nawet umizgi do LGBT nie pomogły panu Kazimierzowi.

★ ★ ★

Dla Czerskiej i lewactwa Ujazdowski jest bowiem i będzie zdecydowanie zbyt prawicowy. No i był wiceprezesem PiS. Źle to Ujazdowi wróży, bo gdy ci ludzie raz wezmą kogoś na cel, to nie spoczną, póki nie zamordują, i nawet stalinowska samokrytyka może nie pomóc. Ujazdowskiemu po kandydowaniu pozostanie jednak pamiątka: wrocławskie tablice rejestracyjne, którymi imponował podwarszawskim sąsiadom.

★ ★ ★

Skoro zdjęli Ujazdowskiego, to może zdejmą też Trzaskowskiego? Jacek Żakowski nazwał sprawę wprost: „Dlaczego demokratyczna, liberalna, wykształcona, prozachodnia część naszego społeczeństwa nie jest w stanie wystawić reprezentacji jakościowo bliższej naszym aspiracjom?". Ano dlatego, że jest ona właśnie tak wykształcona i tak prozachodnia jak Trzaskowski. Każdy ma to, na co zasłużył.

★ ★ ★

Jarosław Kaczyński wystąpił w TVP. W formie więcej niż dobrej. To pośrednia odpowiedź tym intrygantom, którzy na łamach tabloidów sączyli od paru dni tezę pt. „Prezes słabuje i nie panuje nad partią, a wszystkim rządzi premier Morawiecki". Bzdura straszliwa, a dziennikarsko – kompromitacja. W TVP prezes także sporo żartował, wspomniał m.in. o Polsce – za ileś tam lat – „już nie z nim w takiej roli". Nie wierzymy.

★ ★ ★



Prezes zasugerował, że za jakiś czas PiS może wrócić do prezydenckiego pomysłu referendum, który obalili senatorowie PiS. Oby nie. Prezydenckie referendum to niestety gotowy przepis na nieszczęście. W najlepszym scenariuszu wygrywa się niewiele, w każdym innym można mocno oberwać. Nie czas na przyjemności, gdy za rogiem walka o wszystko.

★ ★ ★



Decyzję senatorów PiS w sprawie referendum ***Paweł Kukiz*** skomentował bluzgiem: „Jedno tylko powiem – jesteście bydlakami. Antyobywatelską burżuazją. Hołotą post-bolszewicką, gnojami, które dla synekur i apanaży gotowe są sprzedać cały Naród. Łapa w łapę PiS z PO przeciw Polakom. […] POPiSowym ścierwem jesteście". Koalicja PiS z Kukizem jednak piekłem.

★ ★ ★

Życie publiczne komentuje wciąż Kazimierz Marcinkiewicz, jak się okazuje, wielki miłośnik prawdy: „Jestem przerażony wszechobecnym kłamstwem, kłamstwem w żywe oczy, kłamstwem bez zająknięcia, oszustwem i manipulacją, krętactwem i przeinaczeniem faktów, pomijaniem niewygodnej prawdy. Kłamią z rana i w południe, i wieczorem, a najwięcej kłamią w nocy". To są Himalaje obłudy.

★ ★ ★

Komisja weryfikacyjna przesłuchuje tych, co reprywatyzowali (łupili) Warszawę. Towarzystwo nieziemskie – młody chłopak, który niczego nie pamięta, poci się straszliwie, ale w czyszczeniu kamienic był chyba dobry. Starszy filantrop, który młodzieńcowi bardzo pomagał. A do tego książę, który wciąż ma o sobie dobre mniemanie, a przejęte kamienice ogląda dziś z góry, bo latanie to jego pasja. Ameryka Łacińska.

★ ★ ★

W Kościele nadal nie dzieje się najlepiej. Wszystko, co bardziej konserwatywne, jest brutalnie pacyfikowane. Upadają kolejne punkty oporu. A w niektórych diecezjach wracają skompromitowani księża, obciążeni naprawdę poważnymi zarzutami. Czyli w ramach odnowy wraca stare. Smutne.

★ ★ ★

Nie milkną echa mundialowej klęski Polaków. Teraz popularna jest teoria, według której czołówka reprezentacji nie miała głowy do gry, bo tuż przed mistrzostwami dowiedziała się, że zarabiane przez lata miliony poszły do pieca. Bo miliony krążyły gdzieś wokół GetBacku. Nazwisk piłkarzy na listach inwestorów nie ma, ale mogły być w funduszach, które dały się skusić na obligacje oprocentowane na kilkanaście (sic!) procent kwartalnie. Bijemy się w piersi – na tym tle reklamowanie parówek wygląda bardziej przekonująco.

eprasa.pl 047454cd83

Potwór na wakacje



KRZYSZTOF FEUSETTE

Przez tyle lat go nie było i nareszcie jest. Wakacyjny potwór w stylu tego z Loch Ness albo słynnej Paskudy, której Lato z Radiem poszukiwało na polskich wodach przez kilka sezonów. W odróżnieniu od tamtych obecny potwór istnieje. I wcale nie mam na myśli pytona, który w podwarszawskim Konstancinie wymknął się policyjnej obławie i teraz straszy swoją nieobecnością złaknionych sensacji w sezonie ogórkowym. Nasz potwór istnieje i ryczy. Jeszcze nie pożera starców ani nie porywa dziewic, ale jest wystarczająco straszny, by w okresie słoneczno-grzewczym pochylić się nad nim z troską godną najdziwniejszych stworów świata. Tak, wiem – już państwo wiedzą, że chodzi o totalsów. Kiedy przed trzema tygodniami wyjeżdżałem na urlop, byli zdenerwowani, rozhisteryzowani, zdołowani, ale wciąż przypominali homo sapiens. Dziś to już zbiorowość – monstrum, którym autorzy bajek mogą nękać dzieci. Z pominięciem, rzecz jasna, tych resortowych, bo one akurat w dziele tworzenia potwora musiały mieć udział niebagatelny.

Nie będę się bawił w anatomiczne szczegóły, czy monstrum to ma dzisiaj głowę Henryki Krzywonos, a talię Michała Szczerby, czy odwrotnie, zostawmy to biologom. Fakt pozostaje faktem: potwór szczerzy nowo wstawione zęby i szarpie się z policją tylko dlatego, że chroni ona przed intruzami polski parlament. Bo dla jednej z głów potwora – Joanny Scheuring-Wielgus – „Sejm to miejsce, do którego mogą wejść wszyscy Polacy". Nikt jej nie poinformował, iż to, że ktoś taki jak ona dostał się do tego Sejmu, wciąż – o dziwo – nie oznacza, że „mogą wszyscy". Po to wybieramy 460 posłów, abyśmy sami nie musieli siedzieć na Wiejskiej. Niestety nawet sprawy tak oczywiste jak zakaz wjazdu dla tych, którzy łamią prawo i wwożą tam dziwne jednostki w samochodowym bagażniku, pozostaje dla pani Scheuring „niewyjaśniony". Paranormalne zjawiska pasjonują też znaną pisarkę Marię Nurowską. Jeszcze niedawno „wstydziła się, że jest Polką w takiej Polsce", bo „przez 500+" nie mogła znaleźć pracownicy do pensjonatu w górach, dziś oddaje się dzierganiu laleczek wudu, by nielubianych przez siebie posłów pozbawić zdrowia. „Nie musi od razu zabijać, wystarczy mały wylew i paraliż" – skrzeczy w internecie. Zainspirowało to jej przyjaciółkę Agnieszkę Holland do wyjawienia, że kiedyś także w wudu (nie mylić z „wódu") się bawiła. Reżyserka pochwaliła się nawet, że odnosiła w tej dziedzinie niemałe sukcesy i ma w dorobku aż dwa zgony. Gdy obie panie (ku swojemu bezbrzeżnemu zdziwieniu) odkryły, że mało komu ich zwierzenia się spodobały, ba – że są i tacy, którzy uważają, iż życzenie komuś paraliżu lub wylewu to oznaka zbydlęcenia relacji międzyludzkich, postanowiły rzecz obrócić w żart. I znowu nikt się nie śmiał, bo głowy potwora tym się charakteryzują, że śmieszą tylko siebie, a reszta czuje jedynie potworny niesmak. Co gorsza, wszelka refleksja dotycząca konsekwencji własnych słów i czynów przychodzi do nich zawsze za późno. Jak w przypadku Michała Scerby, z domu Szczerby, który ujawnił dane osobowe policjanta mającego tę nieprzyjemność, że musiał się szarpać z jakimś „scerbatym" imbecylem. Scerba dobrze wiedział, co robi, bo aż tak głupi jak pewna tramwajarka nie jest. Ruszyła więc fala kodziarskiego hejtu tworzonego przez ludzi, którym się wydaje, że łamią prawo w obronie prawa. I wtedy Scerba się namyślił. Po namyśle nie tylko, że nie wpycha się już do kolejki, lecz uznał, że „być może" drugi raz już danych policjanta nie poda. Nie sądzę, by trzeba to było wyjaśniać, ale na wszelki wypadek, gdyby ktoś miał pomroczność jasną – Scerba nie przeprosił. I niczego tak naprawdę nie przemyślał. To tylko drżące przed prawnymi konsekwencjami łydki sprawiły, że dziś chciałby się okazać obrońcą łamiących prawo już jedynie „być może". W tym tempie już w następnej kadencji (Sejmu, nie jego) nauczy się być może wiązać sznurowadła? A może nawet piec kiełbasę na ognisku?

Znacznie bystrzejsza jest inna głowa potwora, dokładnie ta, która postanowiła zostać medialnym agentem totalnego smoczyska. Redaktor Wojciech Czuchnowski z ul. Czerskiej dwoi się i troi, by zwrócić na siebie... na początek – uwagę kolegów oraz przełożonych, a zaraz potem tłumów dzikich (to nie to samo, co dzikie tłumy) protestujących w obronie demokracji czersko-wiertniczej (dawn. ludowej). Wyzywa więc innych dziennikarzy od „żałosnych Czuchnowskich". A może jakoś inaczej? W każdym razie podobnie. A jak już powyzywa, to potem wzywa. Tych, co na ulicy. By odbijali z rąk policji demonstrantów, którzy wcześniej policję tę szarpali. Sam, oczywista oczywistość, nikogo nie odbije, bo aż tak mu nie odbiło. Przypomina w tym (wspomnianą już być może w tym tekście) Henrykę Krzywonos, która gardłuje i pluje ramię w ramię z tymi, co do Sejmu dostać się mogą jedynie w charakterze zawartości bagażnika, a sama swój bagażnik zamyka na podobne propozycje. Najłatwiej zawinąć w dywan plastelinowego Kasprzaka wraz z kolegą, który lubi takie jazdy, trudniej samemu świecić oczami spod klapy.

Nic to. Jak wspomniałem, potwór pozostaje bytem czysto wakacyjnym, a po sezonie letnim zniknie prawdopodobnie tak samo jak ten z Loch Ness czy każda inna Paskuda. Tym bardziej zachęcam redaktora Czuchnowskiego, by – póki nic większego w polityce się nie dzieje – spróbował jednak publicznie kogoś odbić. Na początek samego siebie ze szpon potwora. No, chyba że chce robić za dziewicę.

22/0718/F

eprasa.pl 047454cd83

15 SIERPNIA 2018

GODZINA 20:30

PLAC PIŁSUDSKIEGO W WARSZAWIE



WIDOWISKO Z OKAZJI 100-LECIA ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI

WSTĘP BEZPŁATNY

1918 · 2018

Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania Niepodległości 1918–2018

My Polacy dumni i wolni 1918–2018

Narodowy Bank Polski upamiętnia
100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości
emisją wyjątkowych monet kolekcjonerskich.

www.nbp.pl/MyPolacy
#MyPolacy



NBP Narodowy Bank Polski

1918 2018 My Polacy

niepodległa — Polska Stulecie Odzyskania Niepodległości

Wojewoda Mazowiecki

Partner projektu: ORLEN

Partnerzy medialni:

TVP | Jedynka Polskie Radio | pap Polska Agencja Prasowa | Rzeczpospolita | Gazeta Polska | Gazeta Polska codziennie | niezależna | SIECI | wPolityce.pl | Obserwatorfinansowy.pl | Dziennik Gazeta Prawna

eprasa.pl 047454cd83

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Lato z żartem (3)



Jan Pietrzak

Nie przesadzajcie z wymaganiami wobec żartownisiów. Żarty nie muszą być za mądre, muszą być śmieszne. Na przykład: „Przepraszam, czy jest denaturat?”. „Nie ma”. „To poproszę jakieś inne wino”. Głupie, nieprawda? Zostańmy jeszcze przy alkoholu, bo to w ogóle jest sfera ludzkiej głupoty. Podchodzi mężczyzna do baru, ale z trudem, bo przeszkadza mu leżący gość... i zamawia. „Poproszę to samo, co ten pan”. Śmieszne, choć nie za mądre.

Uwaga! Mądre mają być przemówienia ważnych polityków, jak Nitrasa, opinie autorytetów moralnych, jak Petru, wypowiedzi profesorów, jak Środy, artykuły sławnych redaktorów, jak Michnika, a nie są. Żarty nieśmieszne przestają być żartami, są ględzeniem, tak jak niemądre przemówienia.

Jeszcze z baru obrazek. „Przepraszam, ja tu byłem wczoraj?”. „Był pan”. „I przepiłem 10 tys.?”. „Owszem”. „A to w porządku, bo już myślałem, że zgubiłem”. To już nie jest głupi żart. On jest zaangażowany społecznie. Obnaża mentalność bogacza, takiego Adamowicza albo innego Gawłowskiego.

Mnóstwo jest żartów przykrych dla kogoś. „Kowalski, lubicie ciepłe piwo?”. „Nie”. „A lubicie spocone kobiety?”. „Nie”. „To macie urlop w lutym”. Też przykry...

Od pilnowania tego, by żarty nie były zbyt przykre, jest cenzura zwana poprawnością polityczną. Rozmawiają dwie dziewczyny o mężczyznach. „Czy ty znasz takich prawdziwych mężczyzn: silnych, twardych, jednocześnie czułych, delikatnych, wrażliwych?”. „Znam, ale oni wszyscy już mają facetów...”. Kto się roześmiał, niech nie czuje się bezpieczny. Ten żart jest niepoprawny politycznie. Wszystkie żarty dotyczące odmienności seksualnej nie są poprawne, bo podobno naruszają godność odmieńców. Odmieńcy lubią demonstrować swą odmienność. Urządzają nawet specjalne parady w tym celu. Z drugiej jednak strony nie znoszą, kiedy ktoś dostrzega ich problem, a szczególnie, kiedy z niego żartuje. Tolerancja nakazuje szanować inne nawyki i poglądy. Zmysł humoru wyczuwa śmieszność szacunku za wszelką cenę. Problem jest wtedy, kiedy ktoś tępy, ociężały umysłowo zabiera się do pilnowania humorystów. Przecież ludzie w zasadzie są dobrzy... jak powiada rekin ludojad.

Tam, gdzie ludzie żyją zwyczajnie

Z aktorem Piotrem Polkiem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czuje się pan czasami ambasadorem pięknych polskich miast?

Piotr Polk: Miałem przez chwilę dziwne wrażenie powtarzalności, gdy zdjęcia do serialu w „Rytmie serca” rozkręciły się na dobre i coraz częściej zamiast do Sandomierza trafiałem do Kazimierza nad Wisłą – miasta w jakiejś mierze bliźniaczego, chociaż opowiadającego inną historię niż w „Ojcu Mateuszu”.

Chyba dobrze się pan twórcom obsady komponuje z malowniczymi uliczkami, skoro angażują pana do kolejnych produkcji z tak urokliwym tłem?

Jako serialowy chirurg, ordynator, spędzam wiele czasu w szpitalu. Mam znacznie mniej okazji do wędrowania po mieście niż inspektor Możejko. Podobnie zresztą było z Toruniem, gdzie rozgrywała się akcja „Lekarzy”. Poza wszystkim jednak cieszy mnie ta moda – czy może powinność – pokazywania na ekranie nie tylko ekskluzywnej Warszawy, lecz również miast, w których ludzie normalnie żyją. Mają swoje problemy i swoich bohaterów.

Wydaje się, że trafiając do szerokiej publiczności, znacznie obniżyliście wiek turystów odwiedzających pokazywane na ekranie miasta.

Jeśli tak, to się cieszę. Także z tego, że te miejsca budzą dzięki nam większe zainteresowanie. Są częściej zauważane, doceniane. Sam urodziłem się w małym mieście i wiem, że czy to w Kazimierzu, czy w Szczecinku, Bytomiu czy Zabrzu życie wygląda podobnie. Tu też można spotkać ciekawych ludzi. I znaleźć miejsca warte pokazania i poznania.



Fot. Podlewski/AKPA

eprasa.pl 047454cd83

BRONISŁAW WILDSTEIN

Widma przeszłości



Czy jest sens zajmować się awanturkami pod polskim parlamentem, mimo że ich organizatorzy nawołują do obalenia legalnej władzy? Można odnieść wrażenie, że ich radykalizm jest odwrotnie proporcjonalny do znaczenia. Czy warto nachylać się nad sięgającą zenitu eksplozją histerii „Wyborczej", która demokratyczną władzę nazywa mafią, przeciw jej, wyzywanym od najgorszych, przedstawicielom wysuwa karalne groźby, a parlamentarne działania określa jako zbrodnię? I w tym wypadku szaleństwo postępuje wraz z utratą władzy oraz wpływu.

Wprawdzie działania te konfliktują z sobą Polaków i muszą mieć szkodliwe konsekwencje dla naszych obyczajów, ale są tylko elementem strategii, którą establishment III RP przyjął po przegranych wyborach. Pisałem o tym wiele razy. Teraz więc nachylę się nad nieco inną historią.

Będzie to opowieść o karierze pewnego Polaka w Finlandii.

Stefan Widomski, bo o nim mowa, wyjechał do tego kraju w 1966 r. na zaproszenie swojej fińskiej narzeczonej, z którą wkrótce wziął ślub. Uzyskał obywatelstwo i rozpoczął pracę w Nokii, szybko przeskakując szczeble korporacyjnej kariery. Zdobył stanowisko dyrektora, a także odpowiedzialnego za handel firmy z krajami komunistycznymi, przede wszystkim Związkiem Sowieckim.

Można uznać, że pod tym względem miał szczególne kwalifikacje. Znalazł się w orbicie zainteresowania peerelowskich służb specjalnych już pod koniec lat 60., właściwie pracował dla nich już od wtedy, choć jako oficjalny agent zarejestrowany został dopiero w roku 1976.

Działalność szpiega „Subiekta" nie zawsze usłana była różami. Przedstawiciele służb sowieckich dociskali go, aby bezpośrednio im przekazywał materiały i meldunki, a jako reprezentant Nokii, często odwiedzający ZSRS, kontrolowany był przez fiński kontrwywiad, z którego przedstawicielami też potrafił się zaprzyjaźnić. Widomski skarżył się więc swoim peerelowskim zwierzchnikom na bezceremonialność strony sowieckiej, która grozić może jego dekonspiracją. Nie wygląda na to, aby oficerowie nadzorujący go specjalnie się tym przejmowali. Zresztą Widomski dawał sobie radę. Awansował aż do pozycji wiceprezesa całego koncernu, zgromadził spory majątek, stał się znaną postacią w wyższych sferach Finlandii, zabierał głos w sprawach społecznych. I dostarczał komunistycznej agenturze najważniejszych informacji oraz materiałów na temat technologii objętych embargiem ze względu na możliwość ich militarnego wykorzystania. Wszelkich innych zresztą również.

Upadek komunizmu w niczym nie przeszkodził karierze Widomskiego. Przez wiele lat pełnił funkcję prezesa Fińsko-Rosyjskiej Izby Handlowej. W 1993 r. został polskim honorowym konsulem w Finlandii. Jest nim do dziś.

Widomski wypowiada się często publicznie, zwłaszcza na temat potrzeby dobrych relacji z Moskwą. Również w Polsce jest autorytetem, mentorem i życiowym przewodnikiem. Na zaproszenie rektora Uniwersytetu Przyrodniczego i prezydenta Wrocławia wygłosił wykład „Talent czy praca". „Wyborcza" opublikowała z nim wielki wywiad, w którym opowiada o swoim fascynującym i spełnionym życiu. Zwierza się ze swojej głębokiej duchowości, tudzież religijnych potrzeb. O służbie dla komunistycznego wywiadu nie wspomina. Dziennikarze, którzy przeprowadzają z nim wywiad na kolanach, o takie rzeczy naturalnie nie pytają. To tylko przykłady. W jego życiorysie w Wikipedii nie znajdziemy wzmianki na temat agenturalnej przeszłości.

Ostatnio duży reportaż na temat Widomskiego, w oparciu o materiały IPN, opublikował w Finlandii dziennikarz śledczy Boris Salomon. W Polsce nie wywołał żadnej reakcji.

Historia ta jest interesująca z różnych względów. Potwierdza raz jeszcze oczywistą, a chętnie dziś kwestionowaną ciągłość ludzkich spraw. Czy szpiegowska biografia Widomskiego nie miała wpływu na uzyskanie przez niego stanowiska prezesa Fińsko-Rosyjskiej Izby Handlowej? Czy jego poglądy na temat potrzeby pozytywnego podejścia do Moskwy nie mają z nią związku? Retoryczne pytania. Mniej retoryczne brzmi: czy z innym życiorysem zostałby honorowym konsulem III RP w Finlandii?

Sprawa Widomskiego dowodzi także kolejnej oczywistości. Służby specjalne RRL wpisane były w sowiecką strukturę. Wojskowy ich segment był w nich osadzony szczególnie mocno. Trzeba o tym pamiętać, gdy słyszymy o pracy dla „polskiego", choć komunistycznego wywiadu.

Czas mija, agenci umierają, ale stworzone przez nich systemy i układy powiązań trwają zdecydowanie dłużej.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 047454cd83



Jak w piekle

Tragiczne w skutkach pożary, które tego lata nawiedziły Grecję, to jedna z największych klęsk ognia na świecie w tym stuleciu. Zarzewie umiejscowione było na południu Grecji, niedaleko Aten, w regionie Attyka. Pożoga, która rozpętała się 23 lipca, szybko przerodziła się w serię katastrofalnych pożarów, gnanych huraganowym wiatrem przekraczającym prędkość 120 km/h. Co najmniej 85 osób zginęło, w tym dwoje Polaków. Kilkuset poszkodowanych trafiło do szpitala. Ewakuowanych było 700 osób. Dochodziło do tragicznych sytuacji, kiedy ludzie chcąc uciec łodziami w morze, topili się; taki los stał się udziałem Polki oraz jej dziewięcioletniego syna. Ciała innych osłaniających się wzajemnie przed żarem ognia znaleziono w miejscowości Mati, zaledwie metry od brzegu morza i zbawczej wody.

Trudne do ustalenia pozostają przyczyny pożaru; wskazuje się na awarię sieci elektrycznej lub celowe podkładanie ognia mającego oczyścić teren pod działalność deweloperską. Już kilka lat temu, opisując klęski ognia w Grecji, mówiono o dwóch kwestiach: zakazie zabudowy terenów zalesionych oraz braku ewidencji gruntów, skutkującym tym, że wycięcie lasu usuwa inwestorom wszelkie przeszkody.

Dlaczego pożary w Grecji pociągają tyle ofiar śmiertelnych? Liczba ofiar jest wprost proporcjonalna do ilości wzajemnych oskarżeń i przerzucania na siebie odpowiedzialności przez przedstawicieli wszystkich szczebli administracji i władz kraju. Faktem jest, że nie zarządzano ewakuacji ani nie ostrzegano mieszkańców. Ludzie w panice uciekali autami, blokując drogi, tam dosięgały ich płomienie. Władze szczebla rządowego obarczają winą władze lokalne. Te z kolei wskazują na strażaków, a także na rząd, który ich zdaniem powinien był się włączyć do akcji, jak tylko klęska przestała być sprawą lokalną i ogarnęła dwa regiony. Plan obrony cywilnej pozostał pustym dokumentem, którego nikt nie realizował.

Przemysław Barszcz

East News/Eftheris Pantelis Xinhua/Eyevine

eprasa.pl 047454cd83



Rosja

Trwa doskonalenie...

W Rosji władze podwyższają wiek emerytalny. W kraju, gdzie jest on wyjątkowo niski, a kryzys demograficzny trwa w najlepsze i społeczeństwo starzeje się na potęgę, jest to posunięcie racjonalne i chyba nieuniknione. Postulował to m.in. były minister finansów, cieszący się opinią wysokiej klasy profesjonalisty, Aleksiej Kudrin. Jednak zarazem jest to zmiana bardzo niepopularna; rating Putina już przez to spadł. Wprawdzie i po tym upadku przewyższa najśmielsze sny któregokolwiek przywódcy zachodnioeuropejskiego, ale w Rosji poziom zaufania do prezydenta na wysokości 48 (nawet jeśli, jak podaje inna sondażownia, jest to 64) proc. jest już dzwonkiem alarmowym. Wszystkie diody palą się na czerwono.

Gdy więc Duma (zwana w Rosji często „Gosdumą", od Gosudarstwienna Duma, czyli Duma Państwowa) przyjęła, na razie w pierwszym czytaniu, projekt odpowiedniej ustawy, podporządkowane Kremlowi (czy przynajmniej niechcące mu się bez potrzeby narazić) media miały niełatwe zadanie: jak o tym poinformować, nie drażniąc jednocześnie odbiorców przypominaniem, o co w całej tej sprawie chodzi.

I tak Interfaks zatytułował swoją depeszę: „Gosduma przyjęła projekt o emeryturach w pierwszym czytaniu". Agencja RIA Nowosti: nadtytuł: „Zmiany w ustawodawstwie dotyczącym emerytur przeszły pierwsze czytanie". Agencja TASS: „Prawny projekt zmian systemu emerytur przeszedł pierwsze czytanie w Gosdumie". W serwisie tegoż TASS, w specjalnej rubryce dotyczącej reformy, często w tytule wybija się inne jej elementy, np. w ślad za pewnym ministrem nazywa się ją „planem obrony praw na rynku pracy" (chodzi o to, że reforma zakłada też przeznaczenie pewnej kwoty na przekwalifikowanie ludzi w wieku przedemerytalnym).

Telewizja RT na swoim portalu internetowym podaje tytuł: „Zmiany w systemie emerytalnym". „Izwiestia": „Zmiany w prawie o emeryturach". Internetowy tabloid Lajf: „Prawo o emeryturach".

Gdyby ktoś miał wątpliwości, o co w tym wszystkim chodzi, to portal telewizji NTW zatytułował swój materiał „Projekt ustawy o podwyższeniu wieku emerytalnego przyjęty w pierwszym czytaniu", po to, by za chwilę zmienić go na „Projekt ustawy o zmianie ustawodawstwa emerytalnego przyjęty w pierwszym czytaniu".

„Kommiersant" pisze w tytule o „reformie emerytalnej". „Rosijskaja Gazieta" o „zmianach systemu emerytalnego".

No a portal samej Dumy chyba posunął się najdalej – w tytule czytamy o „udoskonalaniu systemu emerytalnego".

Rosyjski system medialny wydaje się już naprawdę bliski domknięcia.

Piotr Skwieciński

Węgry

„Stop Soros" czy stop Budapeszt?

Komisja Europejska pozwała Węgry przed Europejski Trybunał Sprawiedliwości, twierdząc, że uchwalone przez parlament w Budapeszcie prawo dotyczące azylu i odsyłania migrantów do krajów ich pochodzenia jest niezgodne z unijnymi regulacjami. Komisja rozpoczęła też kolejną procedurę przeciwko Węgrom, utrzymując, że przyjęta w czerwcu poprawka do konstytucji oraz pakiet ustaw antyimigracyjnych, zwany „Stop Soros", naruszają prawo UE. W myśl nowych przepisów za wspomaganie bezprawnej imigracji ma grozić kara do roku pozbawienia wolności. Taką działalnością jest m.in. staranie się o status uchodźcy dla kogoś, kto w rzeczywistości nie jest narażony na prześladowania u siebie w kraju.

Decyzja Brukseli spotkała się ze zdecydowaną reakcją Budapesztu. Szef kancelarii premiera Gergely Gulyás powiedział, że jego kraj nie ugnie się pod presją z zewnątrz. Zarzucił eurobiurokratom hipokryzję, gdyż atakują państwo, które chroni Unię przed nielegalną imigracją, natomiast hołubią tych, którzy do takiej imigracji zachęcają. Jego zdaniem świadczy to o chęci dalszego prowadzenia przez Brukselę zgubnej polityki proimigracyjnej. Według Gulyása niedopuszczalne jest wszczynanie procedury w związku z wprowadzeniem poprawki do konstytucji. Zawiera ona bowiem analogiczny zapis, jaki figuruje w obecnej ustawie zasadniczej Niemiec, że prawo do azylu przysługuje jedynie osobom przybywającym z krajów, gdzie są one narażone na represje.



Gergely Gulyás

Fot. iris szewczyk/Shutterstock.com

O nieugiętej postawie Węgrów świadczą ich kolejne kroki. Decyzją parlamentu działalność sprzyjająca imigracji została obciążona dodatkowym podatkiem, wynoszącym 25 proc. udzielanej pomocy. Rząd z kolei ogłosił, że Węgry nie podpiszą opracowanego przez ONZ „światowego paktu w sprawie imigracji" (wcześniej wycofały się z niego USA). Szef MSZ Peter Szijjaártó powiedział, że ONZ zachęca do migracji, natomiast Węgry chcą ją powstrzymać, a tych stanowisk nie da się pogodzić. Wiele wskazuje na to, że w tej sprawie nie da się też pogodzić Budapesztu i Brukseli. Ktoś będzie musiał zatem ustąpić?

Grzegorz Górny

eprasa.pl 047454cd83



Watykan

Decentralizacja doktrynalna Kościoła?

Jeśli ktoś miał wątpliwości, czy Franciszek naprawdę popiera przystępowanie do eucharystii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach, to powinien je rozwiać jego list do patriarchy Lizbony kard. Manuela Clemente. Ten ostatni opublikował niedawno wytyczne, jak wcielać adhortację Franciszka „Amoris laetitia" w swojej diecezji. Zezwolił „w indywidualnych przypadkach" na przyjmowanie Najświętszego Sakramentu przez pary niesakramentalne bez konieczności zachowania przez nie wstrzemięźliwości seksualnej.

W odpowiedzi otrzymał od Franciszka list utrzymany w aprobatywnym tonie. Kard. Clemente upublicznił treść pisma jako dowód na to, że przyjęte przez niego wytyczne mają pełną akceptację Ojca Świętego.

Dla wielu watykanistów stanowisko Stolicy Apostolskiej nie stanowi zaskoczenia. Sam Franciszek 18 kwietnia 2016 r., wracając z pielgrzymki do Grecji, przyznał, że „Amoris laetitia" zmieniła sytuację par niesakramentalnych, jeśli chodzi o ich dostęp do sakramentów. 5 września 2016 r. napisał list do biskupów argentyńskich, że całkowicie zgadza się z ich wykładnią swej adhortacji, otwierającą drzwi do komunii dla rozwodników w ponownych związkach, dodając, iż „nie ma innych interpretacji". Instrukcja o identycznej wymowie została też zaprezentowana 4 października 2016 r. w archidiecezji rzymskiej, a więc podległej bezpośrednio papieżowi.

Nie ma wątpliwości, że Franciszek jest zwolennikiem zmian w tej kwestii. Zarazem jednak nigdy nie ogłosił tego publicznie „ex cathedra", czyli w sposób jednoznaczny i uroczysty, wyraźnie podkreślając, że nauka przez niego zdefiniowana powinna obowiązywać wszystkich katolików. Tylko bowiem przy spełnieniu takich warunków przysługuje mu atrybut nieomylności papieskiej. Tak więc oficjalnie nauczanie Kościoła w sprawie dopuszczenia do eucharystii par niesakramentalnych nie zmieniło się ani na jotę.

A jednak zmienia się ono realnie. Kolejne episkopaty na świecie (np. Niemiec, Belgii czy Malty) wydają instrukcje dopuszczające do komunii osoby rozwiedzione i utrzymujące relacje seksualne w ponownych związkach. Wszyscy biskupi podejmujący takie decyzje powołują się na adhortację „Amoris laetitia", w której jednak nigdzie wprost taka norma nie jest sformułowana (poza niejednoznaczną sugestią w jednym z przypisów).

Mamy więc do czynienia z decentralizacją, o której pisał Franciszek w „Amoris laetitia": „Pragnę podkreślić, że nie wszystkie dyskusje doktrynalne, moralne czy duszpasterskie powinny być rozstrzygnięte interwencjami Magisterium". Problem polega jednak na tym, że do tej pory to właśnie papież zawsze rozstrzygał wszystkie dyskusje doktrynalne. Teraz jego wyłączną prerogatywą mają zostać obdarzeni biskupi. Nie wiadomo, do czego to doprowadzi. Jedno jest pewne: tego jeszcze w Kościele katolickim nie było.

Grzegorz Górny

Niemcy

Merkel na wozie

Czy kanclerz Angela Merkel, przytłoczona wewnętrznymi problemami Niemiec, myślała o ustąpieniu? Pewnie brała i tę możliwość pod uwagę, ale jako ostateczność, a do ostateczności nie jest doprowadzona i długo nie będzie. Kto ją zna, ten wie, że do polityki podchodzi ze spokojem, że nie robi gwałtownych ruchów, a decyzje wynikają z dogłębnej analizy sytuacji.

Tuż przed zaplanowanym urlopem kanclerz uczestniczyła w tradycyjnej, letniej konferencji prasowej. Rzecz oczywista, pierwszoplanowym tematem była polityka imigracyjna, główny powód jej kłopotów. Poza tym Niemcom wiedzie się znakomicie. Kolejnym problemem, de facto wynikającym z pierwszego, jest trwałość skleconej na siłę i pod przymusem okoliczności tzw. wielkiej koalicji rządowej chadeków z socjaldemokratami (CDU/CSU-SPD).

Na złośliwości dziennikarzy Merkel odpowiadała ze stoickim spokojem. Na pytanie, czy nie irytuje jej, że nazywana jest kanclerzem z łaski swego ministra spraw wewnętrznych Horsta Seehofera (ów szef siostrzanej partii CSU ostro atakował jej politykę imigracyjną, co groziło rozpadem koalicji), odparła: „To był twardy spór, ale znaleźliśmy kompromis i dowiedliśmy zdolności negocjacyjnej rządu". Bla, bla, bla? Dla mających rozeznanie w niemieckiej polityce od początku tego konfliktu było jasne, że żaden z koalicjantów nie był zainteresowany krachem ich rządu, na czym wszyscy jego udziałowcy mogliby tylko stracić. Miała tego świadomość również Merkel, więc grała na nieunikniony „kompromis".

Czy zatem myślała o rezygnacji? „Nein, nein, nein, jeśli jestem w samym środku takiego sporu, muszę na nim koncentrować moje siły" – odparła. Pytań było sporo, odpowiedzi te same: trzeba rozmawiać, rozmawiamy, będziemy rozmawiać...

Dziś kanclerz ładuje na urlopie swoje akumulatory do następnych potyczek. Jej celem będzie wzmożona aktywność na arenie międzynarodowej i odbudowa pozycji osłabionej przez szerokie otwarcie drzwi do Europy dla islamskich przychodźców. A ma o co walczyć: wojna celna z prezydentem USA Donaldem Trumpem, polityka energetyczna z niemiecko-rosyjską pępowiną gazową Nord Stream 2 w tle i imperialistyczne ciągoty prezydenta Władimira Putina, konflikt z tureckim prezydentem Recepem Tayyipem Erdoğanem... – kanclerz jednak teraz o tym nie myśli. Na pytanie, z kim wolałaby spędzić urlop – z Trumpem czy z Putinem – rzuciła krótko: „urlop to urlop".

W każdym razie kanclerz wbrew krakaniu tych, którzy już widzieli jej koniec, jest znów na wozie i w bojowym nastroju, o czym może świadczyć wybór czerwonego blezera na przedwakacyjną konferencję prasową. Co później? Urzędowanie przy biurku, które zajmuje od 2005 r., i będzie zajmowała do końca kadencji, nawet jeśli skróconej, np. z powodu tzw. konstruktywnego wotum nieufności, gdy poprawią się notowania chadeków i socjaldemokratów z osobna lub jeśli zechciałaby zamienić berlińskie biuro na to w Brukseli. Wszystko to jednak pisanie patykiem na wodzie. Tymczasem urlop...

Piotr Cywiński

eprasa.pl 047454cd83

OGNIEM NA WPROST

Go to Hell!



Na mieszkańców siedmiotysięcznej Villa di Briano, miejscowości położonej niedaleko Neapolu, wiadomość, że jedzie do nich autokarami 70 imigrantów, spadła niczym grom z jasnego nieba. Władze nie raczyły wcześniej poinformować obywateli o planowanej relokacji z Neapolu przybyszów z Południa. Postanowiły działać z zaskoczenia niczym Amerykanie w 1944 r., wysadzając desant pod Anzio. Jednak mieszkańcy wykazali się refleksem. Dzięki pomocy narodowców z organizacji Fratelli d'Italia oraz Forza Nuova utworzyli żywy mur. Wylegli na jezdnię i tak długo ją blokowali, aż władze uległy. Autokary z Murzynami musiały zawrócić. Presja ma sens. Jak w Polsce.

W Zwickau (Saksonia) rozegrana została siódma edycja United Colors Street Soccer Cup, czyli turnieju piłkarskiego dedykowanego sprzeciwowi wobec dyskryminacji i przemocy. Okolicznościowe zawody corocznie organizuje lewacka organizacja Antifa. Na boisku spotkały się drużyny Roter Baum (Murzyni z Afryki) i Marienthal United 08 (arabscy wyznawcy islamu). W pewnym momencie jeden z zespołów chciał użyć dodatkowego gracza, który wcześniej nie był zgłoszony. Spotkało się to z ostrą reakcją przeciwników. Wybuchła kłótnia, w której zawodnik w sposób dość obcesowy wyraził wątpliwość co do prowadzenia się matki jednego z piłkarzy konkurencyjnej drużyny. To wystarczyło, by w ruch poszły pięści. Razy zaczęły padać na lewo i prawo. Nie było litości dla leżących na murawie. Serie kopniaków natychmiast przywracały ich do życia. Widzowie opisują bójkę jako „przerażającą". Pochodzący z Oberplanitz Bernd Riedel, który obecnie mieszka w imigranckiej dzielnicy Berlina Neukölln, tak opisuje zajście: „Doświadczam codziennie w Neukölln wielu konfliktów, ale tego czegoś, co w sobotę widziałem na rynku w Zwickau, nie widziałem nigdy w życiu. Martwiłem się o życie zawodników. Nie czuli się niczym skrępowani i bili się nawzajem jak dzicy". Dla gustujących w mocnych wrażeniach czytelników jest dobra wiadomość – współorganizator turnieju Rene Hahn z Antify zapowiedział, że wbrew temu, co się stało, przyszłość turnieju „nie podlega dyskusji", a kolejna edycja integracyjnej imprezy odbędzie się w Zwickau za rok.

To, że lewactwo głupieje z dnia na dzień, pokazuje nie tylko przykład spotkania piłkarskiego w Zwickau. Szwedzka europoseł i pastor Cecilia Wikström wzięła się do analizy pomocy, której udzielili jej krajowi strażacy z Polski, Danii, Litwy Niemiec, Norwegii, Portugalii oraz Włoch. Jej zdaniem „Szwecję strawiłyby do reszty pożary, gdyby nie Unia Europejska, jej instytucje i Unijny Mechanizm Ochrony Ludności (Mechanism for Civil Protection)". „W tym kryzysie jest coś, co pokazuje, że czas państw narodowych dobiegł końca" – konkluduje Wikström ubrana jak na pastora (pastorkę?) przystało w podkoszulek z napisem „Feminism". To dość daleko idące wnioski. Zahaczają one o aberrację umysłową szwedzkiej deputowanej, tym bardziej że polscy strażacy i ratownicy pomagają nie tylko na terenie UE, lecz na całym świecie. Likwidacja skutków trzęsień ziemi w Pakistanie, Iranie czy Turcji jest tego dobitnym przykładem. Co innego internauci. Ci – jak Olof Von Garken – piszą: „Polska, którą szwedzki rząd oskarżył o bycie prawicową i ksenofobiczną, w przeciwieństwie do szwedzkiego rządu chce chronić swoich obywateli przed przestępczymi imigrantami i islamistami". Mikael Good z kolei stawia wniosek ostateczny, który wystarczy za pointę: „Jesteśmy bardzo wdzięczni za wysłanych do nas strażaków, ale proszę, Polsko, czy możesz wysłać nam jakichś polityków? Pilnie potrzebujemy odpowiedniego premiera!".

Dojechać na Hel w sezonie wakacyjnym jest prawie niemożliwością. Codziennie od lat witają nas potworne korki w Redzie. Brak kładek i przejść podziemnych dla pieszych, a zamiast nich niewyregulowane światła jedne po drugich. Potem mamy chwilę przerwy, by utknąć na godzinę lub dłużej przed rondem we Władysławowie. Letnicy wynajmują tam tanie pokoje (30 zł za dobę zamiast co najmniej dwa razy tyle, np. w Jastarni), ale plażować się wolą już na Helu. Lepiej postać w korku, niż płacić za kolej, która co prawda chodzi, ale za rzadko. Do tej pory nikt nie wpadł na pomysł zablokowania wjazdu na półwysep dla samochodów osobowych, zbudowania parkingów koło stacji i puszczenia całego ruchu turystycznego koleją. Wymaga to tylko uruchomienia większej liczby składów przez PKP. Ale jest jeszcze jedno rozwiązanie. PKS Gdynia uruchomił linię autobusową od Dębek aż po Hel o numerze „666". Gratulujemy katolickiej wrażliwości w katolickim kraju i „Go to Hell!", czyli „Do piekła!".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 047454cd83

Paderewski



Marta Kaczyńska

Ignacy Paderewski to jeden z Polaków, którzy stworzyli podwaliny pod odzyskanie przez nasz kraj niepodległości. W stulecie powrotu Polski na mapę Europy warto przypomnieć jego fascynujący życiorys i płynące z niego wciąż aktualne przesłanie.

Pianista, kompozytor, doskonały orator władający siedmioma językami, polityk, filantrop, biznesmen, mecenas sztuki i architektury, hodowca winorośli, aktor filmowy urodził się 6 listopada 1860 r. we wsi Kuryłówka na Podolu w Imperium Rosyjskim, na terenach dzisiejszej Ukrainy. Jego matka zmarła kilka miesięcy po porodzie. Ojciec został aresztowany i trafił do więzienia za udział w powstaniu styczniowym. Ignacy został adoptowany przez ciotkę. Kiedy miał 12 lat, został przyjęty do konserwatorium muzycznego w Warszawie. Naukę w klasie fortepianu rozpoczął w 1878 r. W wieku 21 lat założył rodzinę. Jego żona zmarła jednak wkrótce po urodzeniu syna.

Paderewski był utalentowanym pianistą, ale jego kariera nabrała tempa dzięki przypadkowemu spotkaniu z legendarną Heleną Modrzejewską, która u schyłku XIX w. była niezwykle popularną aktorką w USA. Sławna artystka zorganizowała zbiórkę pieniężną, by umożliwić muzykowi naukę w Wiedniu, gdzie kilka lat później zadebiutował. Polak zaczął odnosić sukcesy na brytyjskich scenach, by następnie udać się do Ameryki. W 1891 r. pierwsza trasa koncertowa Paderewskiego zapoczątkowała jego regularne koncerty w Stanach. Przemieszczał się na nie własnym wagonem z kilkoma instrumentami, by na bieżąco przygotowywać się do występów i komponować, a być może także dbając w ten sposób o swój oryginalny PR, który dodatkowo magnetyzował publiczność. Koncertował solo, co w jego czasach nie było powszechne. Pozostawił po sobie ponad 70 dzieł orkiestrowych, instrumentalnych i wokalnych. Ze swoją muzyką dotarł do audytoriów w Australii, Afryce, Ameryce Południowej.

Ignacy Paderewski był darczyńcą akcji charytatywnych, szczególnie wspierał polskie sieroty i ofiary represji, młodych muzyków, bezrobotnych, weteranów, kliniki rehabilitacji, oddziały położnicze i wiele innych podmiotów. Zasponsorował budowę Łuku Waszyngtona w Nowym Jorku, a także krakowski pomnik z okazji 500. rocznicy zwycięstwa Władysława Jagiełły nad zakonem krzyżackim.

W czasie I wojny światowej Paderewski został amerykańskim reprezentantem Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu. Nawoływał imigrantów, by zaciągali się do polskich sił zbrojnych we Francji, apelował do dygnitarzy, zabierał głos na spotkaniach z Amerykanami i występując w rozgłośniach radiowych, zwracając się o zainteresowanie swoją ojczyzną. W styczniu 1917 r. polski muzyk przygotował memorandum na temat sprawy polskiej. Dwa tygodnie później prezydent USA Woodrow Wilson, przemawiając przed Kongresem, uznał za oczywiste konieczność przywrócenia istnienia niepodległej i autonomicznej Polski.

Ignacy Paderewski, przybywając do Poznania, wzmocnił patriotyczny entuzjazm niezbędny do wznieceenia i finalnie zwycięstwa powstania wielkopolskiego. Na początku stycznia 1919 r., przemawiając pod hotelem Bristol w Warszawie, powiedział: „Nie przyszedłem po dostojeństwa, sławę, zaszczyty, lecz aby służyć, ale nie jakiemuś stronnictwu. Szanuję wszystkie stronnictwa, lecz nie będę należał do żadnego. Stronnictwo powinno być jedno: Polska, i temu jednemu służyć będę do śmierci". Na początku II RP został premierem rządu polskiego i ministrem spraw zagranicznych, ratyfikował traktat wersalski. Po śmierci kompozytora prezydent Roosevelt zadecydował, że artysta zostanie pochowany na Cmentarzu Narodowym w Arlington. Ignacy Paderewski pragnął jednak ostatecznie spocząć w Polsce. Nastąpiło to w 1992 r. Prochy wybitnego Polaka zostały złożone w krypcie w katedrze św. Jana w Warszawie.

REKLAMA





1/0718/F

eprasa.pl 047454cd83

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Seksedukacja

W Wielkiej Brytanii ruszyła debata nad reformą edukacji seksualnej. „Brytyjski Department for Education zamierza rozszerzyć zakres edukacji seksualnej. Chłopcy i dziewczynki już w wieku czterech lat mieliby się uczyć o takich pojęciach jak »zgoda na współżycie«, »gwałt« czy »sexting«" – informuje portal Polishexpress.co.uk. Jak tak dalej pójdzie, brytyjskie maluchy będą mówiły „seks", zanim powiedzą „mama".





8611

to wysokość K2, góry, z której Andrzej Bargiel zjechał na nartach jako pierwszy człowiek w historii.

1008

tyle kilometrów ma trasa ultramaratonu kolarskiego łącząca Bałtyk z Bieszczadami.

70

w ciągu tylu godzin muszą pokonać zawodnicy 1008 km ultramaratonu kolarskiego.

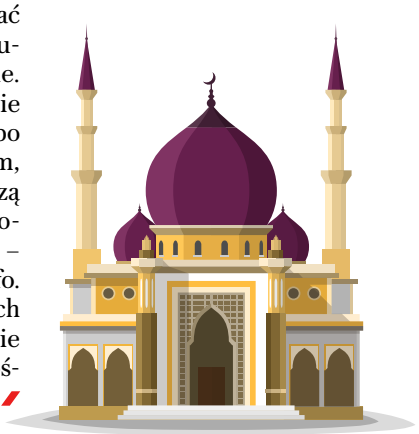
Z placu boju



Demokracja we Francji hula, że ho, ho! Jak kogoś niepokoi to, że polska policja pilnuje porządku, to niech rzuci okiem na to, co słychać nad Sekwaną. „W internecie opublikowany został film, na którym można zobaczyć, jak członek personelu ochrony prezydenta Emmanuela Macrona bije demonstranta i ciągnie go po ziemi w czasie protestu 1 maja" – informuje rp.pl. Żeby było ciekawiej, człowiek prezydenta Macrona przebrany był za policjanta, a demonstrujący nie zachowywał się szczególnie agresywnie. Gdyby to np. minister Brudziński przebrał się za policjanta i sprał kogoś z demonstrujących pod Sejmem, to oburzenie byłoby bezgraniczne. Ale jak ochroniarz Macrona tłucze demonstranta, to u nas niejeden się ucieszy, jaki to mają postęp we Francji.

Multikulti

W Holandii aż 41 proc. dzieci w ramach lekcji chodzi na zajęcia do meczetów. „Takie dane udostępniło stowarzyszenie Verus (zrzeszające szkoły katolickie i protestanckie). W szkołach publicznych, w których badań nie przeprowadzano, ten odsetek może być jeszcze wyższy. Holenderscy urzędnicy podkreślają, że tego typu wycieczki mają sprzyjać tolerancji w wielokulturowym społeczeństwie. Tyle tylko, że dzieci nie chodzą tam wyłącznie po to, aby poznawać islam, ale czynnie uczestniczą w modlitwach prowadzonych przez imamów" – informuje Stefczyk.info. Ciekawe, kiedy w ramach asymilacji muzułmanie zaczną się modlić w kościołach?



eprasa.pl 047454cd83

No i... po ptakach. Demokratyczny sen skończył się, pora wracać do realu. Trzeba organizować podziemie: infrastrukturę, wydawnictwa, uniwersytety (nauczanie początkowe też), trzeba zorganizować system adwokatów, którzy będą bezpłatnie wspierać tych, którzy pójdą siedzieć, i system mieszkań dla tych, którzy się ukrywają […]" – napisała na FB dyżurna feministka kraju Magdalena Środa. Właściwie pani Środa może do tego podziemia zejść i w nim pozostać. Tylko po co?

Skorumpowany



Wołodymyr Moskal, burmistrz miasta Skole w obwodzie lwowskim, w kwietniu zaproponował ustawienie w centrum miasta szubienicy, która miała być straszakiem dla skorumpowanych urzędników. Tymczasem po raz drugi przyłapano go na przyjęciu łapówki" – informuje rp.pl. Życie byłoby przyjemniejsze, gdyby wszyscy żyli zgodnie z tym, co głoszą. Ale kto powiedział, że w życiu ma być wyłącznie przyjemnie?

ET?



Europejska Agencja Kosmiczna ESA poinformowała, że pod powierzchnią Czerwonej Planety odkryto słone jezioro. A mnie niezmiennie dziwi, jako to jest, że bakteria odkryta gdzieś na Marsie uznawana jest za życie, a wokół poczętego człowieka jest tyle dyskusji.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (×4), lemonde.fr

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

„Gieje", a nie „pedały"



Dominik Zdort

Słowa »pedały« pod adresem tych odmieńców używam teraz rzadko (proces, więzienie, kara śmierci), częściej (na wzór mojego byłego szefa) mówię i piszę »gieje«. To ich nawet lepiej opisuje" – taki krótki komentarz umieściłem na Facebooku. Administratorzy szybko zablokowali mi konto na trzy dni. I zagrozili, że w razie recydywy stracę dostęp do mojego profilu na tydzień.

Mechanizm jest prosty. Środowisko LGBT na bieżąco monitoruje portale społecznościowe i gdy zobaczy cokolwiek, co mogłoby zahaczać o brak entuzjazmu wobec homoseksualizmu, zgłasza sprawę do Facebooka. A tam jako administratorzy pracują albo pobratymcy gejów, albo ludzie mało bystrzy, którzy nie rozumieją słowa „homofobia", więc z automatu blokują konta osobom podejrzanym.

Oczywiście natychmiast oprotestowałem blokadę. Oczywiście bez skutku. Nikt z administratorów nawet nie raczył odpowiedzieć na moją uwagę, że używanie słowa „gieje" zamiast „pedały" nie obraża nikogo. Wszak to raczej homofilia niż homofobia.

Gdyby mnie ktoś jednak zapytał, czy jestem homofobem – sensu stricto – a więc czy obawiam się homoseksualizmu i homoseksualistów, odpowiedziałbym pozytywnie. Tak, boję się gejów i totalitarnych zapędów ich zorganizowanej społeczności. Należę do ludzi, którzy uważają ich orientację seksualną za szkodliwą społecznie i estetycznie obrzydliwą. Ale chyba jeszcze bardziej niepokoi mnie ich publiczna aktywność oraz zawziętość, która wyraża się choćby w cenzorskich ingerencjach na Facebooku.

Jako człowiek tolerancyjny przyjmuję do wiadomości, że w każdej społeczności zdarzają się seksualni odmieńcy różnego typu – nie zamierzam ich tropić ani piętnować. Niech sobie spokojnie żyją, dopóki nie uwodzą młodych chłopców i publicznie nie promują swojego sposobu życia. Podobnie jak nie chciałbym, aby alkoholicy promowali alkoholizm, a hazardziści hazard.

Wszystkie te mniejszości uzależnione od chorobliwych uciech zachęcałbym do wyjścia z nałogu, do podejmowania prób leczenia – ale nie na siłę. Człowiek otrzymał od Pana Boga wolną wolę, aby czynić dobrze, jednak jeśli ktoś chce zniszczyć swoje życie, swoje ciało, swoją duszę, to – jak ujął to bard Stanisław Staszewski – „z tylu różnych dróg przez życie każdy ma prawo wybrać źle". Ważne jednak, aby pamiętać, że nie wybrało się dobra, ale zło. I aby się nie rozgrzeszać z tego, że się je czyni.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 047454cd83

RZECZY POSPOLITE

Nie ustaniemy

Gdy trwa bitwa o zdrowe sądownictwo w Polsce, warto zerknąć do znakomitej książki Marii Dłużewskiej „Obrońcy" – o prawnikach broniących ludzi podziemia solidarnościowego za komuny. Warto nie tylko z tego względu, że to fascynująca opowieść o walce z systemem przed 1989 r., lecz także (a może w kontekście obecnych wydarzeń – przede wszystkim) z tego względu, iż oddają te rozmowy obraz gangreny, która toczy polskie sądy po tzw. przełomie. Jeśli bowiem chodzi o Temidę – to o żadnym przełomie nawet nie ma mowy. Sposób działania i orzekania sądów choćby w latach 90. XX w. był po prostu porażający.



Tomasz ***Łysiak***

Oto przytoczone w książce kilka słów mecenasa Piotra Andrzejewskiego o procesie Grudnia '70, w którym brał udział jako przedstawiciel społeczny „Solidarności": „Od 1995 r. w ciągu lat trwania procesu zdałem sobie sprawę, że tu chodzi o to, żeby gonić króliczka, ale broń Boże go nie złapać. Czekano, aż wymrze ława oskarżonych. I tak się stało". Stosowano masę trików, kruczków prawnych i wybiegów, byle tylko proces trwał latami. W końcu faktycznie z powodu śmierci kilku osób proces musiał się zacząć od nowa. A nowy przewodniczący składu sędziowskiego zaczął od... uchylania pytań pełnomocnika społecznego. I tak po 11 latach mecenas Andrzejewski został skutecznie wyłączony z aktywnego uczestnictwa w procesie, mógł tylko składać oświadczenia! „Tak wygląda wymiar sprawiedliwości w III Rzeczypospolitej" – pointuje Andrzejewski, dodając – „Nie mówiąc już o sprawie Sawickiej. Nie mówiąc o Mariuszu Kamińskim. Nie mówiąc o orzeczeniach, które często wprawiają nas w osłupienie". Czy wreszcie ponurym dowodem na tkwienie w dawnym komunistycznym bagnie, na brak elementarnej sprawiedliwości, nie jest to, że Wojciech Jaruzelski został pochowany w asyście honorowej?!

Z nadzieją na szybką reformę wymiaru sprawiedliwości zakończę felieton słowami Andrzejewskiego: „Nie wolno obrażać się na rzeczywistość, trzeba się z nią zmagać. My się zmagamy nadal ze wszystkim, co znieprawia Polskę. I nie ustaniemy".

Skrzypienie materaca

Małe dzieci są takimi słodziakami, że chciałoby się je zjeść. Gdy są już duże, niektórzy żałują, że tego nie zrobili. Ponoć Lis Tomasz, który w dzieciństwie nie został zjedzony przez rodziców, jest wściekły. I jego eksmałżonka Kinga Rusin też. Idzie o ich córkę, której nie zjedli za młodu, a która teraz coś tam z jakimś ladaco. Co dokładnie – rodzice Igi dowiedzieli się od rzeczonego Taco oraz z mediów tzw. społecznościowych.



Piotr ***Cywiński***

Otóż „ta piękna, młoda kobieta", od miesiąca osiemnastolatka, będąca „połączeniem osobowości, inteligencji i w pełni rozwiniętej urody" (co wyczytałem na jednym z portali), romansuje z tymże raperem, a raper, jak to raper, rapuje sobie: „Siedzisz na komodzie nogi wokół moich", „miękkie piersi, twarde narkotyki", „szeptem miękki materac bardzo skrzypi"... itd. A że wyznał publicznie, że kocha Igę Lis, tato Lis i mama Rusin mają powody do wściekłości.

Po ludzku współczuję. Również Leszkowi Millerowi, który też pewnie żałuje, że kiedyś nie zjadł swojej wnuczki Moniki. Dziś już na to za późno, bo duża i ciężkostrawna – tuszu ma w ciele dość sporo, a i metali różnych tu i ówdzie... To jednak pół biedy, cała w tym, że duża Monika puściła w obieg informację, że jest „bi". Znaczy, że lubi z facetami i z kobietami.

Fachowo określa się to z angielska jako czynnik gender, ergo, „płeć kulturową, płeć społeczną, płeć kulturowo-społeczną, czasami także płeć psychologiczną lub psychiczną", wyjaśnia literatura fachowa. Dawniej było prościej: chłop i baba. Wkurzony dziadek Miller zareagował na coming out wnuczki Moniki sprostowaniem, że to „normalna, heteroseksualna kobieta i miała jak do tej pory tylko narzeczonych, a nie narzeczone".

I się zaczęło, cały Sojusz Lewicy Demokratycznej napadł na Millera, że jego były szef miał kiedyś więcej zrozumienia dla procesu zmian cech osobowości jednostki, zachowań, stereotypów i ról płciowych, rozróżnianych dawniej w społeczeństwach jako typowo kobiece lub męskie, lecz na stare lata nie dotrzymuje kroku w drodze socjalizacji, w kulturowych przemianach, których podstawą nie jest już dymorfizm płciowy, nawet ten sezonowy.

Nie tylko Miller przestał nadążać za duchem czasu. Filozof Leszek Kołakowski też najpierw z lewicą równał krok, a na koniec wywodził: „Wychowanie całkowicie wyzwolone z autorytetu, tradycji i dogmatu kończy się nihilizmem". Cóż, niektórzy głupieją z wiekiem, jako cezurą dziejową, inni mądrzeją z wiekiem własnym. Przykre, jeśli po lekcjach otrzymanych dopiero od swoich niezjedzonych dzieci...

eprasa.pl 047454cd83

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 103 330 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ALEKSIEJ WITWICKI/FORUM, M.CZUTKO

eprasa.pl 047454cd83



Pikieta posiadaczy obligacji GetBacku pod siedzibą jednej z firm Leszka Czarneckiego

Fot. M. Cząkiel

gra bezwzględna

Tysiące ludzi nabranych na obligacje GetBacku to afera, w której znów przewijają się centralne postacie systemu finansowego III RP i ci, którzy z bagna PRL wyszli suchą stopą i z pełnym portfelem. To opowieść o bankierach, którzy zawsze wyjdą na swoje. I o jednym z najbogatszych Polaków, którego trzeba szukać w centrum tego układu. Kto na tym wszystkim zarobił? Kto to uwiarygodniał? I jaki może być finał tej sprawy?

eprasa.pl 047454cd83



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Przed siedzibą biurowca na warszawskiej Woli, w którym mieszczą się firmy należące do Leszka Czarneckiego, stoi niewielki pomnik Stefana Kuryłowicza. To wizjoner i architekt, który swoim talentem radykalnie zmieniał obraz Polski, głównie Warszawy i Wrocławia. Przy tym pasjonat lotnictwa. Czarnecki także lubi opowiadać o swoich podniebnych wyczynach, np. o tym, jak latając w Rosji MiG-iem 25 i MiG-iem 29, przekraczał barierę dźwięku. W ogóle lubi wojskowe historie. W 2009 r., odbierając nagrodę Finansista Roku „Gazety Finansowej", zabawił na scenie nieco dłużej, przytaczając anegdotę o Leonidzie Breżniewie. Pierwszy sekretarz na jedną z imponujących defilad wojskowych w Moskwie zaprosił także kilku cywilów, co spowodowało konsternację wśród aktywu partyjnego. „A on im mówi: uspokójcie się, towarzysze. To są nasi finansiści, nawet sobie nie zdajecie sprawy, ile oni mogą szkody narobić" – cytował Czarnecki, wywołując salwę śmiechu na widowni.

– Ja winię głównie pana Czarneckiego, bo GetBack to jego dziecko. No i co z tego, że sprzedał firmę? To w jego banku zaproponowano mi kupno tych obligacji. I od razu zastrzegli, że odsetki muszą spływać na konto w Idea Banku, który należy do niego – starsza kobieta przeprasza, że mówi nieco chaotycznie, ale trudno jej opanować emocje. Jest jedną z osób, które kupiły papiery upadającego GetBacku i wiedzą, że trudno będzie im odzyskać włożone pieniądze, o zysku nie wspominając. – Słyszałam, że wśród pokrzywdzonych są też piłkarze naszej kadry, gdzieś czytałam, że mogli stracić nawet kilkadziesiąt milionów złotych – kolejna z osób, które przyszły na pikietę pod siedzibę firm Czarneckiego krzywi się, gdy pytamy o kwotę, jaką straciła. – No pewnie nie tyle, ile piłkarze, ale też niemało. Ktoś mówił, że być może przez to tak słabo zagrali na mundialu. Dla nas to lepiej, gdyby oni rzeczywiście byli w gronie pokrzywdzonych. Nie dałoby się tego tak po prostu zamieść pod dywan.

Nabici w obligacje klienci są w trudnej sytuacji. Przychodzą teraz do firm Czarneckiego, bo to one miały duży udział w dystrybucji papierów dłużnych spółki windykacyjnej. Wydawałoby się, że to oczywiste, iż należy się z reklamacją zwrócić do tego, kto ci produkt sprzedał. W tym przypadku jest inaczej, firmy przerzucają się odpowiedzialnością. Najnowsza linia to odpychanie problemu w przyszłość, „bo jeszcze nie wiadomo, czy i ile klienci tak naprawdę stracili". W podobnej sytuacji jest ponad 9 tys. prywatnych osób, które zdecydowały się zainwestować w „pewne papiery" – tak reklamowali je bankowi opiekunowie klientów. – Jacy „doradcy"? To tylko sprzedawcy, handlarze. Pani, która opiekowała się mną od trzech lat, w pewnym momencie zaproponowała, by pieniądze z lokat przełożyć na te obligacje. Powiedziała wprost, że procent jest o wiele lepszy, a zysk gwarantowany – opowiada kolejny z uczestników pikiety. Jest pod wrażeniem tego, jak skutecznie działali naganiacze. Ich rozmach pokazuje lista instytucji, które kupiły obligacje, niektóre zupełnie spoza branży finansowej, np. Ogólnopolski Związek Zawodowy Pielęgniarek i Położnych.

> Nic niepokojącego w GetBacku nie widział ekonomiczny guru III RP Leszek Balcerowicz, ale jeszcze mniej dostrzegali analitycy z Deloitte, jednej z największych firm audytorskich

ZAGŁUSZARKA PREZESA

Z miliardów pozyskanych przez GetBack na sprzedaży obligacji wyparowały grube miliony. Wśród obecnie zarządzających firmą szacuje się, że po odliczeniu pieniędzy, które przeznaczono na zakup portfeli długów i bieżącą działalność firmy, pozostaje „zgubione" 700 mln zł. To – ujmując najogólniej – owoc niegospodarności zarządzających spółką. Mówiąc precyzyjnie: wyprowadzanie pieniędzy do innych własnych firm czy cała góra przepłaconych lub zupełnie lewych faktur, w których dziś próbują się połapać śledczy.

Pierwszym do przeanalizowania jest oczywiście były prezes spółki Konrad K. Prowadził luksusowe życie. Po Polsce poruszał się Porsche Panamera, służbowym. Z karty kredytowej (służbowej) korzystał bez skrępowania. Pozostawił na niej niespłacone 140 tys. zł (wiceprezes Anna P. na swojej – 30 tys.). Wśród jego licznych podróży po świecie ważne miejsce stanowiło Miami. Tam często bywał z Kingą M., o której więcej za chwilę. To popularne miejsce odpoczynku bohaterów tej historii – w tym mieście na Florydzie regularnie bywa też Leszek Czarnecki.

Dla Konrada K. nie było pomysłów nie do zrealizowania, wyjątkowo ekscentrycznych nawet w środowisku finansjery. W ubiegłym tygodniu w siedzibie GetBacku dokonano zaskakującego odkrycia. Okazało się, że w piwnicy znajduje się zamontowana przed kilkoma miesiącami profesjonalna klatka Faradaya – pomieszczenie wyposażone w zabezpieczenia antypodsłuchowe. To tam K. musiał prowadzić najważniejsze rozmowy. Ich treść pozwoliłaby dziś zrozumieć mechanizmy przekrętu.

Wygodne, przyjemne życie dzięki głębokiej sakiewce z GetBacku miała przez chwilę też Kinga M. Kobieta przedstawiała się jako dyrektor zarządzająca w PMPG Polskie Media SA (spółka wydająca m.in. tygodniki „Wprost" i „Do Rzeczy"). Pracę na tym stanowisku rozpoczęła w 2014 r. – wynika z jej profilu w serwisie społecznościowym LinkedIn, przeznaczonym do

eprasa.pl 047454cd83



Fot. Marcin Wziontek/Materiały GetBack

Były prezes GetBacku Konrad K. i były wicepremier Leszek Balcerowicz. GetBack Business Forum 12 października 2017 r.

kontaktów zawodowo-biznesowych. Po jej zatrzymaniu PMPG wydało komunikat stwierdzający, że nie pełniła żadnej funkcji zarządczej w wydawnictwie. Jednocześnie przeczytaliśmy, że umowa z nią została rozwiązana. W jakim zakresie? Oficjalnie nazywało się to doradzaniem zarządowi. W praktyce – była prawą ręką Michała Lisieckiego, m.in. do rozmów w obszarze biznesowo-dziennikarskim ze spółkami skarbu państwa.

– Kinga i jej towarzysze to niezbyt rozgarnięta ekipa. Pokupowali sobie maserati, obnosili się z kasą. Ta pani podpisała w styczniu 2018 r. lewą umowę z GetBackiem na sporządzenie jakiegoś „raportu strategicznego" za 4,3 mln. Wzięła z tego 3,2 mln, a już po zmianie zarządu wystąpiła do spółki z wezwaniem wypłaty pozostałej kwoty. Trzeba mieć niezły tupet i niewiele oleju w głowie – mówi nam osoba znająca kulisy śledztwa.

3 mln od Kingi miały trafić do Radosława K., zatrzymanego tydzień później. Powoływał się on na wpływy w specsłużbach. Miał rozpowszechniać informacje kompromitujące większościowego akcjonariusza GetBacku – fundusz Abris – oraz grozić, że służby wejdą do tejże spółki. Śledczy sprawdzają też, czy Radosław K. jest powiązany ze sprawą tzw. gangu przebierańców, którego członkowie zostali zatrzymani w styczniu br.

Kolejną postacią z już zatrzymanych przez CBA na polecenie prokuratury jest Piotr B. (zgarnięty kilka dni po Konradzie K.). Jego spółka otrzymała z GetBacku 7,3 mln zł. Oficjalnie – za usługi dotyczące bezpieczeństwa w biznesie. Faktycznie – trudno powiedzieć. Być może miał pomóc K. w uzyskaniu azylu w Izraelu. Ma izraelskie pochodzenie, jest znajomym bohatera afery Art-B Andrzeja Gąsiorowskiego, wspólnie z którym (a także PRL-owskimi szpiegami oraz najgorszego sortu wierchuszką cywilnych służb III RP) zaangażował się w tworzenie think tanku Organizacji Byłych Oficerów Wywiadu (pisaliśmy o tym w „Sieci" w 2015 r.). B. podpisał się na protokole zniszczenia sześciu komputerów GetBacku jako wykonujący utylizację (na zlecenie Konrada K.). To też tylko dla picu. Dokument datowany jest na grudzień 2017 r. Śledczy są pewni, że został sfałszowany. Nie tylko dlatego, że według firmowych dokumentów K. miałby przez ostatnie pół roku w ogóle nie używać komputera, lecz zwłaszcza dlatego, że z przesłuchań wynika, iż niszczeniem sprzętu własnoręcznie (przy wykorzystaniu siekiery i kominka) zajęła się Katarzyna M., dyrektor biura zarządu spółki. Rzecz działa się w czerwcu tego roku. Piotr B. miał też grozić Pawłowi Borysowi, szefowi Polskiego Funduszu Rozwoju, gdy PFR zaprzeczył rzekomym rozmowom o wsparciu dla GetBacku.

ILE KOSZTUJE BALCEROWICZ

W maju na portalu wPolityce.pl pierwsi opisaliśmy, że z windykatorem współpracował również Leszek Balcerowicz. Były wicepremier wziął udział w GetBack Business Forum 12 października 2017 r. Tuż po przywitaniu gości przez wiceprezesa spółki Pawła T. wygłosił tam wykład „Dług państwa, dług przedsiębiorstw i wpływ na makroekonomię". Zaraz po nim na scenę wszedł Konrad K. z wystąpieniem „GetBack – wyższy stopień zarządzania wierzytelnościami".

Dziś wiemy już, że wynajęcie Balcerowicza kosztowało 89 tys. zł, płatne w dwóch równych ratach (zaliczka w kwocie 44 501,40 z 21 września i druga transza przelana kilka dni po imprezie).

Gdy do sprawy przed kilkoma dniami wróciła Wirtualna Polska, Balcerowicz tłumaczył się, że płatne wykłady są jego normalną działalnością zarobkową, a dla GetBacku wystąpił „na grubo, zanim jakiekolwiek informacje na temat problemów finansowych tej firmy pojawiły się w sferze publicznej".

Dokładnie takie samo oświadczenie przysłał wcześniej do redakcji wPolityce.pl, dodając m.in. passus o łamaniu przez nas „norm elementarnej przyzwoitości" poprzez próbę „w insynuacyjny sposób" powiązania go „z późniejszymi problemami GetBacku".

Balcerowicz tylko udaje, że nie wie, jak działa PR i jak wykorzystuje się wizerunek. Dość powiedzieć, że we wrocławskiej siedzibie spółki zdjęcie Konrada K. z Balcerowiczem długo wisiało nawet w recepcji. I właśnie dlatego wynajęto profesora. Nie tylko po to, by przez godzinę zabawiał gości konferencji, lecz by korzystając z jego autorytetu, uwiarygodnić firmę.

UMOWY WIDMA

Nic niepokojącego w GetBacku nie widział ekonomiczny guru III RP, ale jeszcze mniej dostrzegali analitycy z Deloitte, jednej z największych firm audytorskich (patrz ramka). W samym 2017 r. zarobiła ona na współpracy z windykatorem 7,4 mln zł (rok wcześniej – „tylko" 1,1 mln). To był kluczowy okres dla zbudowania wiarygodności

eprasa.pl 047454cd83

GetBacku – wejście na giełdę i zyskanie zaufania tysięcy obligatariuszy.

Prokuratorzy obecnie przekopują się przez kartony dokumentów z fakturami GetBacku za lata 2016–2018. Wiele z nich jest zagadką – nie odnaleziono dowodów wykonania świadczeń, które na nich przedstawiono.

Taka sytuacja dotyczy np. współpracy z Adamem Jasserem, sekretarzem stanu w rządzie Donalda Tuska, a później szefa UOKiK. Za doradztwo związane ze strategią rozwoju i polityki konsumenckiej windykatora zarobił 24,6 tys. zł. Drugiej płatności (na taką samą kwotę) już nie zrealizowano, więc dziś Jasser znajduje się na liście wierzycieli.

To drobnostki. Drogie trupy kryją się w szafach z fakturami dla spółek powiązanych z Konradem K. (np. Kingsbridge – tu wspólniczką K. jest Karolina P., która tylko w 2017 r. otrzymała z GetBacku wynagrodzenie przekraczające 6 mln), TFI Altus (o czym za chwilę), firmami z branży IT i baz danych (według szacunków obecnego zarządu przepłacone nawet 10-krotnie) oraz Polskim Domem Maklerskim. Ten ostatni sprzedał obligacje windykatora aż za 700 mln zł. Na konto PDM w latach 2016–2017 wpłynęły z GetBacku 23 mln zł, a za samo „doradztwo" (którego nie ma śladów w dokumentacji) – 2,5 mln zł.

Jest jeszcze znajdująca się w tym samym warszawskim budynku co GetBack spółka MIA (od niedawna na liście ostrzeżeń KNF), która brała udział w transferze danych klientów pomiędzy Idea Bankiem a PDM. Na współpracy z windykatorem zarobiła ok. 70 mln zł.

Wątek Polskiego Domu Maklerskiego jest ciekawy również ze względu na polityczne tło. Jeszcze przed miesiącem w radzie nadzorczej tej spółki zasiadała Magdalena Myrcha, była szwagierka posła PO Arkadiusza Myrchy. Po zatrzymaniu prezesa PDM została z rady usunięta. Najprawdopodobniej także będzie przesłuchiwana. Myrchów łączy nie tylko wspólna rodzinna przeszłość, lecz i interesy. Są bowiem wspólnikami toruńskiej kancelarii Causa Myrcha i Cieciura. Pierwszy o tym wątku napisał portal wPolityce.pl. Po tej publikacji strona kancelarii została zawieszona. Można ją jednak znaleźć w internetowych archiwach i zobaczyć, jak pięknie państwo Myrchowie pozują wspólnie do zdjęć. W rozmowie z jednym z portali poseł PO przekonywał, że od kiedy wszedł do Sejmu, nie ma nic wspólnego z kancelarią. „Nie mam też z nią żadnych formalnych powiązań. Poza tym pani Magda jest członkiem rady nadzorczej Polskiego Domu Maklerskiego, nie prezesem. Zasiada tam chyba od roku, więc to jest temat, który pojawił się, gdy mnie już w kancelarii nie było" – mówi parlamentarzysta. Co innego wynika jednak z jego wszystkich czterech corocznych oświadczeń majątkowych. Również w tym najświeższym, z 25 kwietnia, przyznaje, że ma spółkę partnerską i nawet na niej zarabia.

> Obligatariusze alarmują, że ktoś do nich wydzwania i nakłania ich do inwestycji, które „mają pozwolić odrobić straty". Proponuje przejęcie mało wartych obligacji GetBacku, gdy klient zainwestuje w inne produkty. To może być kolejny przekręt

PRZYKLEJANIE DO PREMIERA

Gdy wokół GetBacku zaczęło się robić naprawdę gorąco, powstał pomysł, by aferę „uwspólnić" z obecną władzą. To wtedy szefostwo firmy wchodziło w sponsoring także prawicowych uroczystości, licząc zapewne na ulgowe traktowanie, i próbowało znaleźć dojście do premiera Mateusza Morawieckiego. Według Sławomira Neumanna, szefa klubu PO, osobą wiążącą „różnego rodzaju sznurki, które biegną do osób najważniejszych w państwie, w tym do premiera Morawieckiego", miał być Igor Janke, współwłaściciel portalu Salon24, think tanku Instytutu Wolności i Agencji PR „Bridge". Do szefa rządu miał docierać poprzez jego ojca. Janke zapewnił, że nigdy nie rozmawiał z Kornelem Morawieckim o GetBacku. „Stanowczo zaprzeczam. Jeśli ktokolwiek będzie powtarzał tego typu insynuacje, rozważę podjęcie kroków prawnych" – napisał. Potwierdził, że instytut współpracował z GetBackiem w latach 2015–2017, ale na kolejne propozycje, już w 2018 r., miał się nie zgodzić. Z naszych informacji wynika jednak, że w 2018 r. otrzymał w ramach tej współpracy ponad 800 tys. zł. Nowy zarząd wezwał go do zwrotu tej kwoty.

Osoby, z którymi rozmawiamy, mówią, że Konrad K. wymyślił sobie, iż będzie wszędzie łapał „przyjaciół", by mieć wsparcie, gdy już wszystko się zawali, a na to od jakiegoś czasu się już zanosiło. Datą graniczną jest 16 kwietnia 2018 r., w opublikowanym tego dnia komunikacie czytamy, że GetBack rozmawia na temat wsparcia z PKO BP i Polskim Funduszem Rozwoju. Reakcja była błyskawiczna, informacja ta szybko została zdementowana (szczegóły w kalendarium), a już 20 kwietnia premier spotkał się w tej sprawie z ministrem koordynatorem służb specjalnych Mariuszem Kamińskim, szefem CBA Ernestem Bejdą i Markiem Chrzanowskim, prezesem KNF. Komisja zawiadomiła prokuraturę, uznając, że komunikat GetBacku może być manipulacją. Prokuratura zleciła działania CBA.

Szybko pojawiły się także głosy, szczególnie polityków opozycji, że konieczne jest w tej sprawie powołanie komisji śledczej. I to już teraz. To wątpliwe z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że sprawa dopiero co wybuchła i jej badanie rozpoczęły organy państwowe. Natomiast sam pomysł prześwietlenia przekrętu wydaje się bardzo interesujący. Niektóre kwestie byłyby zapewne trudne dla osób z obozu Prawa i Sprawiedliwości. Zapytano by, czym się zajmował, pracując dla GetBacku, były minister skarbu Dawid Jackiewicz. – To była działalność doradcza, po wypadnięciu z polityki znalazłem się bez środków do życia, GetBack zgłosił się z ofertą. To była pozytywnie oceniana spółka giełdowa, nikt nie wiedział, co

eprasa.pl 047454cd83

się tam w środku dzieje – mówi nam Jackiewicz. Ale w orbicie zainteresowania śledczych znalazłby się także wspomniany już poseł PO Arkadiusz Myrcha. Poznalibyśmy choć wycinek nieznanego nam świata bankowości, rynku finansowego i ludzi służb specjalnych. I ta wiedza nie byłaby najbardziej obciążająca dla ludzi obecnej władzy.

SAMI ZNAJOMI

W sprawie afery GetBacku natrafiamy na trzy przenikające się środowiska: osób powiązanych z Leszkiem Czarneckim, z Alicją Kornasiewicz oraz z Cezarym Stypułkowskim. Trudno w tym środowisku znaleźć osoby bliskie PiS, znacznie łatwiej zaś odszukać związki z PO. By rozszyfrować wzajemne powiązania, należy się cofnąć do początku tworzenia systemu bankowego w Polsce. Ze zdumieniem można stwierdzić, że mało kto przyglądał się temu procesowi kompleksowo i uczciwie.

Założyciel GetBacku miliarder Leszek Czarnecki nie pojawił się w świecie finansjery znikąd. W archiwach Instytutu Pamięci Narodowej można przeczytać, że od 1980 r. jest związany współpracą ze Służbą Bezpieczeństwa jako TW „Ernest", a od 1982 r. z wywiadem PRL. To jeden z tych, którym nastała w 1989 r. „wolność" bardzo posłużyła, dając nieograniczone wręcz możliwości rozwoju. I zarobku. Gdy w 2012 r. zakłada GetBack, inwestuje w nowe przedsięwzięcie 6 mln zł, to kwota niezauważalna przy jego fortunie. Pomysł jest prosty, Czarnecki ma w swoich bankach tzw. złe kredyty, czyli takie, których najprawdopodobniej nie da się odzyskać. Praktyką jest sprzedawanie tych długów firmom windykacyjnym. Biznesmen postanawia wykonać ruch naprzód i zakłada taką firmę. Po co ktoś ma na tym zarobić, skoro może zarobić on sam. Poprawia więc wymagany przez KNF bilans swoich banków i bierze za to ponad miliard złotych.

Prezesem GetBack zostaje Konrad K., który zaczął karierę w bankowości dzięki Cezaremu Stypułkowskiemu, znanemu w polskiej bankowości od czasów głębokiego PRL. Pnąc się po szczeblach urzędniczej kariery, dochodzi w latach 1987–1988 do funkcji doradcy premiera oraz sekretarza Komitetu Rady Ministrów ds. Reformy Gospodarczej. Nie bez znaczenia są koneksje rodzinne, zdolny finansista był zięciem członka KC PZPR Mariana Krzaka. Jak podaje „Gazeta Finansowa", Stypułkowski w 1988 r. został zarejestrowany jako tajny współpracownik SB „Michał".

Gdy puszczał w świat finansów Konrada K., był prezesem Banku Handlowego, później prezesem PZU, dzisiaj szefuje mBankowi (były BRE Bank). Na pewnym poziomie z tego towarzystwa naprawdę ciężko wypaść z obiegu. K. twierdził zawsze, że wiele nauczył się od Stypułkowskiego, ale naprawdę

Kalendarium Getbacku

Luty 2012 – Powstaje GetBack jako windykacyjna część Getin Holdingu należącego do Leszka Czarneckiego.

Lipiec 2014 – GetBack zostaje sprzedany przez Getin Holding. Nabywcą jest Idea Bank, a więc spółka, której głównym udziałowcem jest Leszek Czarnecki. Cena sprzedaży to 270 mln zł.

Marzec 2016 – Idea Bank podpisuje umowę sprzedaży GetBacku za 850 mln zł. Nabywcy to grupa funduszy, głównym udziałowcem są fundusze zarządzane przez Abris Capital.

Marzec 2017 – GetBack ogłasza, że chce wejść na Giełdę Papierów Wartościowych w Warszawie.

Lipiec 2017 – Debiut GetBacku na giełdzie. Cena, po której sprzedawane były akcje, dawała wartość spółki na poziomie 1,84 mld zł, choć wartość sprzedawanych akcji wynosiła tylko 740 mln zł. Sam debiut – oceniany po skali wzrostu akcji w trakcie pierwszego dnia notowań – nie wypadł dobrze.

Październik 2017 – GetBack publikuje raport finansowy za III kwartał 2017 r. Firma informuje o 180 mln zł zysku, co oznaczałoby wzrost o 50 proc. Do dziś pozostaje ostatnim raportem finansowym złożonym przez spółkę i zatwierdzonym przez audytora.

16 kwietnia 2018 – Z samego rana GetBack publikuje komunikat, według którego prowadzi rozmowy z PKO BP i Polskim Funduszem Rozwoju na temat wsparcia firmy. Jej sytuacja jest zła. Brakuje informacji o wynikach, trwa wyprzedaż akcji spółki. Reakcja rynku na komunikat jest pozytywna, ale tylko do momentu, kiedy pojawia się dementi ze strony obu instytucji. I PKO BP, i PFR zaprzeczają rozmowom. Ponadto prezes PFR Paweł Borys składa doniesienie do pr okuratury dotyczące podawania nieprawdy w komunikacie giełdowym. GPW decyduje o zawieszeniu notowań spółki. To zawieszenie trwa do dzisiaj.

17 kwietnia 2018 – Rada nadzorcza GetBacku odwołuje Konrada K. z funkcji prezesa.

21 maja 2018 – GetBack publikuje szacunki swoich wyników za 2017 r. Spółka informuje, że w 2017 r. poniosła stratę w wysokości ok. 1,2 mld zł.

16 czerwca 2018 – Prezes GetBacku Konrad K. zostaje zatrzymany na lotnisku Okęcie. Trafia do aresztu. Po nim zatrzymani zostali inni członkowie zarządu spółki.

3 lipca 2018 – GetBack publikuje wyniki finansowe za 2017 r. Strata wyniosła 1,3 mld zł. GetBack poinformował także o ujemnych przychodach, jakie zanotował. Ciekawostkę stanowi to, że audytor odmówił podpisania się pod raportem finansowym spółki.

eprasa.pl 047454cd83

rozwinął skrzydła dopiero pod patronatem Czarneckiego. Najpierw pracował przy przejęciu Allianz Banku (dziś Idea Bank), a potem dostał posadę w GetBacku. Czy to koniec tropów wiodących do służb PRL? A skąd! Gdy w 2016 r. GetBack idzie na sprzedaż, partnerem odpowiedzialnym za transakcję z ramienia głównego udziałowca Abris Partners był Paweł Gieryński, który bankowe szlify zdobywał w grupie kierowanej przez Jerzego Hausnera, a doradzającej premierowi Włodzimierzowi Cimoszewiczowi i prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu. Nie można nie dodać, że Gieryński to jeden z młodych wilczków kolejnego ważnego gracza w polskiej bankowości, Sławomira Lachowskiego, który kilka lat temu sam przyznał, że współpracował z wywiadem PRL.

W 2017 r., kiedy GetBack wchodził na giełdę, w jego radzie nadzorczej zasiadała Alicja Kornasiewicz. Wcześniej należała do Unii Wolności, była bliską współpracowniczką Leszka Balcerowicza. W rządzie Jerzego Buzka jako wiceminister skarbu odpowiadała m.in. za prywatyzację banków. To ona nadzorowała sprzedaż Pekao SA włoskiemu UniCreditowi. Co ciekawe, mimo że UniCredit złamał umowę z polskim rządem, dotyczącą losów innego banku (BPH), Kornasiewicz została prezesem Pekao (w 2010 r.), wcześniej zaś szefowała radzie nadzorczej BPH.

W chwili debiutu giełdowego GetBacku była tzw. niezależną członkinią rady nadzorczej. Ale okazało się, że mimo swojej niezależności dostawała wynagrodzenie od GetBacku, co tłumaczyła potem pomyłką firmy. Może to jeden z powodów, dla których Kornasiewicz nie wykryła żadnych nieprawidłowości w funkcjonowaniu windykatora?

Kolejną ważną postacią w układance jest Piotr Osiecki, były podwładny Kornasiewicz w Ministerstwie Skarbu. Osiecki do niedawna był prezesem i znacznym udziałowcem Altus TFI, dzisiaj jest szefem rady nadzorczej towarzystwa. To on miał rekomendować swoją byłą szefową do rady nadzorczej GetBacku. Plotka miejska głosi, że



Leszek Czarnecki to jeden z najbogatszych Polaków. GetBack powstał w lutym 2012 r. jako windykacyjna część Getin Holding należącego właśnie do Czarneckiego

Konrad K. nazywał go „swoim biznesowym bliźniakiem". Niektóre transakcje pomiędzy Altusem i GetBackiem są kwestionowane nie tylko przez nowy zarząd spółki windykacyjnej, lecz także przez KNF. Chodzi o niegospodarność liczoną w setkach milionów złotych. Osoby związane z rynkiem finansowym twierdzą, że Osiecki był zawsze „bardzo ofensywny" i „sprawiał wrażenie, jakby wolno mu było więcej niż innym".

> Gdy wokół GetBacku zaczęło się robić naprawdę gorąco, powstał pomysł, by aferę „uwspólnić" z obecną władzą. To wtedy szefostwo firmy wchodziło w sponsoring także prawicowych uroczystości

ODZYSKAĆ GETBACK?

Co będzie dalej z GetBackiem? To zasadne pytanie, bo w tym momencie firma jeszcze nie upadła, choć już jest niewypłacalna. Sprawę bada 6-osobowy zespół prokuratorów, a na ich zlecenie również CBA. Szukają m.in. powiązań z innymi śledztwami (i znajdują je), np. w sprawie ubiegłorocznej kradzieży danych z państwowej bazy PESEL. Jak wynika z naszych informacji, niektórzy z dotychczas zatrzymanych „wzorowo współpracują" ze śledczymi. Kolejnych kilkadziesiąt osób jest pod lupą organów ścigania.

Obligatariusze alarmują, że ktoś do nich wydzwania i nakłania do dalszych inwestycji, które „mają pozwolić odrobić straty". Proponuje przejęcie mało wartych obligacji GetBacku, ale tylko w przypadku, gdy klient zainwestuje w inne produkty. To może być kolejny przekręt, i to podwójny. Być może ktoś próbuje zagrać na emocjach klientów GetBacku i przy okazji skupić posiadane przez nich papiery za bezcen. Kto to może być? Ktoś, kto wie, że w przypadku wdrożenia – zamiast postępowania sanacyjnego – przyspieszonego postępowania upadłościowego (sąd z zadziwiającym pośpiechem do tego prze) obligacje zamienione zostaną na akcje. Wtedy posiadacz dzisiejszych obligacji mógłby przejąć GetBack. Obligatariusze, z którymi rozmawialiśmy, spekulują nawet, że może to być sam Leszek Czarnecki.

Można spytać, po co mu ta firma? Przecież jej wizerunek legł w gruzach. Owszem, ale przez to jest tania, być może tańsza nie będzie już nigdy. Dla doświadczonego biznesmena to może być okazja do ponownego zarobku. Przypomnijmy, że raz już sprzedał spółkę za 800 mln zł. Wtedy miał z satysfakcją powiedzieć, że „założyliśmy właśnie shorta na GetBack". A jeśli tak, to właśnie domknąłby się scenariusz, który zakładał zarobek na spadku wartości spółki, w której przy okazji gdzieś po drodze, „zgubiły się" toksyczne kredyty – w rzeczywistości zapłacili za nie obligatariusze. Ten mechanizm doskonale pokazany jest w hollywoodzkiej produkcji „The Big Short" z Bradem Pittem i Christianem Bale'em. To może się udać pod warunkiem, że ktoś taki spadek przewidzi. Albo sam go zaplanuje.

Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER

eprasa.pl 047454cd83



Fot. AFP Photo DDP/Henning Kaiser Germany Out

Skarżący do Niemca

Odwoływanie się do Niemców jako ostatecznej instancji, także moralnej, jest jedną z najbardziej perfidnych metod walki z własnym państwem



STANISŁAW JANECKI

Odwoływanie się do Niemiec jako mentora, rozjemcy, sędziego, a wręcz ostatniej instancji w kwestii wewnętrznych problemów Polski nie jest niczym nowym. Taki stan trwa praktycznie od początku istnienia III RP, a na pewno od zjednoczenia Niemiec (3 października 1990 r.). Do Niemiec jako wyroczni i ostatecznego arbitra w kwestiach demokracji w Polsce odwołują się politycy, urzędnicy państwowi, samorządowcy, przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, naukowcy, ludzie kultury (szczególnie pisarze), dziennikarze, celebryci.

Od 1990 r. niemieckie instytucje i organizacje bardzo sprytnie ten „niemiecki arbitraż" inicjują, inspirują, pielęgnują i stymulują, a najbardziej oddani polscy rzecznicy podporządkowania się naszego kraju „niemieckiemu arbitrażowi" są nagradzani, lansowani, drukowani, zapraszani, wręcz wynoszeni na szczyty kariery.

Ekstremalnym tego przykładem jest Donald Tusk na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej. Przygotowaniem do tego awansu polskiego premiera były przyznane mu najważniejsze niemieckie nagrody: 13 maja 2010 r. – Nagroda im. Karola Wielkiego (laudacja Angeli Merkel), 10 listopada 2011 r. – nagroda Złotej Wiktorii dla Europejczyka Roku, 31 maja 2012 r. – Nagroda im. Walthera Rathenaua (laudacja Angeli Merkel). Niedawna (19–20 lipca 2018 r.) wizyta prof. Małgorzaty Gersdorf w niemieckim Karlsruhe i jej wykład oraz konferencja prasowa nie są niczym nowym w praktyce „skarżenia do Niemca".

Włączenie się w „skarżenie do Niemca" byłej I prezes Sądu Najwyższego nie dziwi, skoro z tej instancji korzystał już prof. Andrzej Rzepliński – zarówno jako prezes Trybunału Konstytucyjnego, jak i w roli byłego prezesa oraz sędziego w stanie spoczynku TK. Niemcy oczywiście skorzystali z możliwości wydania ostatecznego werdyktu w sprawie statusu Małgorzaty Gersdorf, czyli uznali swoje prawo do autorytatywnego mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski również w kwestii sądownictwa. Najpierw szefowa Niemieckiego Trybunału Sprawiedliwości Bettina Limperg obwieściła, że ona i jej instytucja uważają Małgorzatę Gersdorf za I prezes, a potem zrobiło to niemieckie MSZ. Dziennik „Sueddeutsche Zeitung" napisał, że ambasada Polski w Berlinie zwróciła się do burmistrza Karlsruhe, aby Małgorzatę

eprasa.pl 047454cd83

Gersdorf tytułować „byłą I prezes Sądu Najwyższego w Polsce". Burmistrz Karlsruhe pytanie w tej sprawie miał przesłać do niemieckiego MSZ, a ono odpowiedziało, iż „nie ma powodu, by uważać, że Małgorzata Gersdorf nie jest już pierwszą prezes". Oficjalnie niemieckie MSZ tego nie potwierdziło, ale to bardzo prawdopodobne.

GERSDORF W KARLSRUHE

Małgorzata Gersdorf wygłosiła w Karlsruhe wykład „Państwo prawa w Polsce – stracone szanse?". Profesor przebywała w Karlsruhe za niemieckie pieniądze, a została zaproszona wtedy, gdy jeszcze była I prezes Sądu Najwyższego. I główne tezy jej wystąpienia mogły już wtedy powstać. Te okoliczności są szokujące, bo I prezes polskiego Sądu Najwyższego ani nie powinna przebywać za granicą za niemieckie pieniądze, ani wygłaszać w Niemczech politycznych manifestów. Nie powinna tego robić także była prezes. Małgorzata Gersdorf stwierdziła: „Społeczeństwa europejskie zostały uprzedmiotowione, sprowadzone do roli maszynek do głosowania. [...] W takiej chwili do głosu dochodzą siły skrajne, wrogie zasadom godności człowieka, wolności jednostki i rządów prawa. Przybierają one maski i szermują oszukańczą retoryką, aby przejąć pełnię władzy". Tak przemawia polityk, a nie niezawisły sędzia. A jeszcze gorzej wypadło to wtedy, gdy prof. Gersdorf odniosła się do Polski: „Obywatelom nie pokazano, co to jest prawo, jak ono działa i dlaczego trzeba go przestrzegać. Przeciwnie: często było ono traktowane jako przeszkoda do szybszej modernizacji państwa, którą nie należy się tak bardzo przejmować". To sprawia, że „zrodzić się może cyniczny gracz, »rentier rewolucji«, perfekcyjnie analizujący słabości społeczeństwa i państwa po to, aby wyzyskać je do zbudowania autokracji". Czyli ciemny lud nie został oświecony przez światłą elitę, co wykorzystała bezwzględna władza, a konkretnie wiadomy „rentier rewolucji", który uderzył także w sądy.

Małgorzata Gersdorf uznała niemieckie Karlsruhe za najlepsze miejsce do piętnowania różnych aspektów funkcjonowania własnego państwa. „Prawnikom nie wolno milczeć w obliczu zła, które zostało wyrządzone polskiemu wymiarowi sprawiedliwości. [...] Zniszczono niezależność polskiego sądu konstytucyjnego, w którym składy są ręcznie ustawiane pod dyktando oczekiwań partii rządzącej. Minister sprawiedliwości – prokurator generalny w jednej osobie ma już w ręku wszystkie instrumenty, które realnie pozwalają wpływać na bieg spraw, szczególnie karnych. Ma poddanych sobie prezesów sądów, a do tego obsadził ponad połowę Krajowej Rady Sądownictwa ludźmi bez mandatu konstytucyjnego, którzy zawdzięczają mu wszystko. [...] W Sądzie Najwyższym przeprowadzono czystkę pod pozorem wstecznej zmiany wieku emerytalnego".

Wszystko to powiedziała osoba będąca stroną konfliktu, osobiście zainteresowana upowszechnianiem czarnej wizji praworządności w Polsce. I powiedziała to w Niemczech, których sądy popełniały w przeszłości niebywałe zbrodnie wobec Polaków. A nawet przyznała Niemcom specjalne prawa do osądzania własnego kraju: „Niektóre rządy państw członkowskich (choć myślę, że akurat nie dotyczy to Niemiec) mają skłonność do traktowania tzw. reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości jako kwestii wewnętrznej, do której nie należy zbytnio się wtrącać". Czyli Niemcy słusznie nie traktują ustroju sądów w Polsce jako sprawy wewnętrznej i powinny jeszcze bardziej się w to wtrącać. A sama Małgorzata Gersdorf zadeklarowała, że najwyżej będzie „pierwszym prezesem na uchodźstwie". Najlepiej na gościnnej niemieckiej ziemi.

WASALE MERKEL

Niemcy jako arbitra i ostateczną instancję (dla Polski, ale i reszty Europy) usankcjonował – jako szef MSZ, ale i upoważniony przez ówczesnego premiera Donalda Tuska – 28 listopada 2011 r. w Berlinie Radosław Sikorski. Wtedy jeszcze liczył na ważne stanowisko w instytucjach Unii Europejskiej, nie wiedząc, że załatwia je dla siebie Donald Tusk. Tezy Sikorskiego wynikały więc zapewne z oczekiwania, że Niemcy to docenią i mu pomogą w międzynarodowej karierze. Sikorski powiedział wtedy: „Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa. Nie możecie dominować, lecz macie przewodzić reformom. Jeżeli włączycie nas w proces podejmowania decyzji, możecie liczyć na wsparcie ze strony Polski". Niemcy Polski w nic oczywiście nie włączyły, ale za rządów Tuska i Sikorskiego zawsze mogły liczyć „na wsparcie ze strony Polski". Bezwarunkowe.

Wystąpienie Sikorskiego w Berlinie zdarzyło się zaledwie siedem tygodni po niebywałym w dziejach dyplomacji liście byłych szefów MSZ III RP do kanclerz Angeli Merkel. Władysław Bartoszewski, Włodzimierz Cimoszewicz, Andrzej Olechowski, Dariusz Rosati i Adam Daniel Rotfeld oddali hołd przywódcy obcego państwa, piętnując jednocześnie byłego premiera własnego państwa – Jarosława Kaczyńskiego. 6 października 2011 r. napisali: „Jako byli szefowie dyplomacji niepodległej RP czujemy się w obowiązku wyrazić głęboki sprzeciw wobec ostatnich wypowiedzi prezesa Jarosława Kaczyńskiego o stosunkach polsko-niemieckich. Szczególny niepokój budzi insynuacja, iż wybór na urząd kanclerza pani Angeli Merkel »nie był wynikiem czystego zbiegu okoliczności«, oraz zdanie: »ważne jest, że od Polski Merkel chce przede wszystkim może miękkiego, ale jednak podporządkowania«. Insynuowanie podejrzanych przyczyn demokratycznego wyboru przywódcy kraju, który jest ważnym partnerem w Unii Europejskiej i z którym łączą nas przyjazne relacje, przez lidera najważniejszej partii opozycyjnej i kandydata na premiera RP, jest dla Polski szkodliwe".

Byli ministrowie jasno napisali, że szkodliwe dla Polski jest umacnianie jej suwerenności i niezależności, także od Niemiec. „Czujemy moralny obowiązek powiedzenia Pani Kanclerz Merkel: solidaryzujemy się z Panią" – napisali. Tak wiernopoddańcze listy kierowano wcześniej tylko do carycy Katarzyny. W tym sensie list do Merkel przypomina fragmenty deklaracji założycielskiej konfederacji targowickiej:

eprasa.pl 047454cd83

„Nic innego nie zostaje, tylko uciec się z ufnością do Wielkiej Katarzyny, która narodowi sąsiedzkiemu, przyjaznemu i sprzymierzonemu, z taką sławą i sprawiedliwością panuje. […] To są nasze zamiary, te abyśmy dokonać zdołali, dzielnej pomocy tej wielkiej monarchini wzywamy, która ozdobą i chlubą wieku naszego będąc, […] szczęśliwość narodu cenić umie i im pomocną podaje rękę".

Podpisany pod listem do Angeli Merkel Władysław Bartoszewski wcześniej Niemcom się wprawdzie nie skarżył, lecz był bardzo promowany i lansowany, pełniąc funkcję swego rodzaju parawanu dla niemieckiej polityki wobec Polski. W sprawozdaniu z działalności Fundacji Roberta Boscha za lata 1974–2000 można przeczytać: „Fundacja wspiera pracę Władysława Bartoszewskiego nad jego wspomnieniami na temat porozumienia niemiecko-polskiego jako ważnego dokumentu czasów i przeznaczyła na ten cel 132 000 DM". O sfinansowanie tego projektu w latach 1997–2001 występowała działająca w Polsce Fundacja Roberta Schumana. W 2002 r. Fundacja Roberta Boscha zakomunikowała, że wesprze wydanie wspomnień Bartoszewskiego – ukazały się pt. „Und reiß uns den Hass aus der Seele" („I wyrzuć nienawiść z dusz naszych"). Na niemieckie wsparcie Władysław Bartoszewski mógł liczyć także wtedy, gdy sprawował funkcję ministra spraw zagranicznych. Poza tym przez lata był zapraszany przez różne niemieckie organizacje na dobrze płatne wykłady, do niemieckich mediów.

WSPANIALI NIEMCY, OKROPNI POLACY

Twórcy czy naukowcy „skarżyli do Niemca", najczęściej komentując bieżące wydarzenia w Polsce. Zostało to niejako zinstytucjonalizowane w grudniu 2015 r., gdy w serwisie Zeit Online, należącym do wydawcy niemieckiego dziennika „Die Zeit", powstał blog o sytuacji w Polsce. W roli blogerów zatrudniono dziennikarzy „Gazety Wyborczej" – Michała Kokota, Romana Imielskiego i Pawła Wrońskiego. Blog początkowo nosił tytuł „Jak powstaje państwo autorytarne".

Najmocniej krytykował Polskę Michał Kokot – jako państwo quasi-autorytarne na wzór Turcji. Jeszcze gorliwszy, choć poza Zeit Online, okazał się dziennikarz „GW" Bartosz Wieliński. Poza własnym „skarżeniem do Niemca" dawał głos takim osobom jak szef Związku Wypędzonych Bernd Fabritius czy syn zbrodniarza wojennego, generalnego gubernatora Hansa Franka – Niklas. W lutym 2016 r. Niklas Frank szczerze się martwił stanem demokracji w Polsce. Z kolei w kwietniu 2017 r. Bernd Fabritius „z dużym niepokojem" obserwował „postępujące ograniczanie wolności prasy u naszych polskich sąsiadów". I deklarował: „Będę pomagał, gdzie się tylko da".

> Była I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf uznała niemieckie Karlsruhe za najlepsze miejsce do piętnowania różnych aspektów funkcjonowania własnego państwa. Wygłosiła tam wykład „Państwo prawa w Polsce – stracone szanse?"

Długo przed dziennikarzami „Gazety Wyborczej", bo jeszcze w latach 90., najważniejszym komentatorem polskich spraw był w Niemczech pisarz Andrzej Szczypiorski. W niemieckich mediach pokazywał on „dobrych Niemców", np. autora zamachu na Hitlera Klausa von Stauffenberga. Dobrzy Niemcy pojawili się też w powieści „Początek", która ukazała się najpierw po niemiecku – jako „Piękna pani Seidenman". Tą powieścią Szczypiorski przypieczętował status najważniejszego komentatora polskich spraw w Niemczech, Austrii i Szwajcarii. W latach 90. „Piękna pani Seidenman" trafiła na listę szkolnych lektur, a autor dostał za nią ważną nagrodę niemieckich katolików. W 1995 r. Szczypiorski został członkiem kapituły orderu Pour Le Merit. Pisarz nie tyle „skarżył do Niemca", ile mówił Niemcom to, co najbardziej chcieliby o Polsce usłyszeć. A chcieli usłyszeć głównie krytykę, przede wszystkim w kwestiach historycznych dotyczących współodpowiedzialności Polaków za Holokaust.

Drogą Szczypiorskiego podążył potem pisarz Andrzej Stasiuk. Promując w Niemczech swoją powieść „Dojczland", odbył liczne spotkania autorskie (sam pisał o 216). Już w 1997 r. wydano po niemiecku książkę Stasiuka „Biały kruk", a w kolejnych latach jeszcze ponad 10 innych. Za mówienie Niemcom o Polsce tego, co chcieli usłyszeć, Stasiuk dużo zarobił, z czego był zresztą dumny. W ślady Szczypiorskiego i Stasiuka poszła Olga Tokarczuk. W 2015 r. mówiła: „Myślę, że też możemy uczyć się od Niemców. Oni po wojnie zostali zmuszeni do tego, żeby naprostować swoją historię. My też nie możemy tkwić w takich sennych oparach i opowiadać sobie, jacy to byliśmy wspaniali". Czyli Niemcy rozliczyli się z okropną przeszłością, a Polacy wręcz przeciwnie. Nic lepszego Niemcy od polskiego pisarza nie mogli usłyszeć.

„Skarżenie do Niemca" ma szczególnie ohydną wymowę, gdyż historyczna ofiara uznaje w ten sposób wyższość moralną oprawcy, który rzekomo odpokutował za swoje ogromne winy. Pozwalało to Niemcom wybielać przeszłość, a z Polaków czynić współodpowiedzialnych – za Holokaust czy wypędzenia. Niemieckie władze i media „skarżenie do Niemca" wykorzystywały jako argument przeciwko jakimkolwiek polskim roszczeniom, z domaganiem się odszkodowań za II wojnę światową na czele. Współsprawcom oraz tym, którzy nie odrobili lekcji historii, żadne odszkodowania się przecież nie należą. „Skarżenie do Niemca" jest dlatego jedną z najbardziej perfidnych metod walki z własnym państwem, na czym korzystają wyłącznie Niemcy: zarówno w polityce historycznej, jak i w dyplomacji oraz w relacjach gospodarczych.

eprasa.pl 047454cd83

Zadymiarze w akcji

Kolejna nowelizacja ustaw sądowych i chaos wokół Sądu Najwyższego wywołały następną falę protestów antyrządowych. I choć ich skala jest o wiele mniejsza niż przed rokiem, to radykalizm haseł i zachowań nabiera coraz większego tempa. Jak wyglądały kulisy manifestacji i co będzie się działo po wakacjach? Oto, o czym szepcze się w kuluarach parlamentu

Fot. Andrzej Wiktor



MARCIN FIJOŁEK

Słoneczne lipcowe przedpołudnie na Wiejskiej. Przed Sejmem szereg ustawionych barierek i kilkadziesiąt, może kilkaset, głośno protestujących osób. Dziennikarze chcący relacjonować prace parlamentu są legitymowani, ale zanim dokonają tego strażnicy, mamy do czynienia ze „społecznym" sprawdzeniem ich przez Obywateli RP. Przedstawiciele tygodnika „Sieci", Radia Maryja czy wPolsce.pl nie są wpuszczani, muszą obejść dookoła cały kompleks sejmowy. Policjanci i strażnicy bezradnie rozkładają ręce.

To jednak tylko małe dziennikarskie niedogodności w porównaniu z tym, z czym mierzą się urzędnicy pracujący przy Wiejskiej. – W zasadzie nie ma dnia, by nie dochodziło do incydentu, próby wtargnięcia na teren Sejmu lub jakiejś prowokacji. Tylko w ostatnim miesiącu naliczyliśmy kilkadziesiąt takich zdarzeń – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" jeden z urzędników pracujących w Kancelarii Sejmu. O większości z tych historii ani media, ani służby nie są informowane, ponieważ Straż Marszałkowska działa dość sprawnie i bez rozgłosu. Ci zaś, którzy przekraczają prawo, trafiają na listę osób mających zakaz przebywania w kompleksie budynków przy Wiejskiej. Tak było choćby z Pawłem Kasprzakiem, liderem Obywateli RP. W tym konkretnym przypadku w ostatnich dniach doszło do próby złamania tego zakazu; próby określanej mianem kabaretowej, ale otwierającej naprawdę niebezpieczne furtki na przyszłość.

PRZEKROCZENIE KOLEJNEJ GRANICY

Chodzi oczywiście o głośne już przewiezienie wspomnianego Kasprzaka oraz Wojciecha Kinasiewicza (innego działacza Obywateli RP) na teren parlamentu. Gdy kilkaset osób protestowało na Wiejskiej przeciw zmianom w Sądzie Najwyższym, Kasprzak i Kinasiewicz spróbowali się dostać za barierki i szlabany – na teren przewidziany dla posłów, dziennikarzy i gości. Pierwsza próba – nieudana – odbyła się w samochodzie Joanny Scheuring-Wielgus, kiedy mężczyźni ukryli się na miejscach pasażerów. Gdy Straż Marszałkowska grzecznie zakomunikowała im, że znajdują się na liście objętych zakazem wstępu, obaj przesiedli się do... bagażnika auta posłanki Joanny Schmidt i w ten sposób ominęli zakaz.

Osoba znająca kulisy całej akcji opowiada nam, w jak dużym szoku byli strażnicy, którzy przeglądali nagrania. – To było przekroczenie kolejnej granicy. Strażnicy byli naprawdę zdezorientowani: skoro posłowie, co do których mamy, musimy mieć elementarne zaufanie, decydują się na takie rzeczy, to jaką mamy pewność, że kolejnym razem nie zostaną wwiezione na przykład materiały pirotechniczne, petardy hukowe, granaty dymne? Efekt byłby przecież o wiele większy, a wszystkich parlamentarzystów kontrolować nie możemy – mówi nam jeden z urzędników. Inny dodaje, że istnieje obawa przed scenariuszem, w którym huk petardy mógłby zostać potraktowany przez protestujących jako wystrzał, a tłum po prostu nie wytrzyma i zacznie działać nieracjonalnie.

Sam Kasprzak, który na teren parlamentu dostał się w bagażniku, w rozmowie z portalem wPolityce.pl mówił o jeszcze innym scenariuszu, który w końcu miał umiarkowanie skuteczną realizację: stworzenia z posłów opozycji specjalnych szpalerów (na wzór piłkarskich na boiskach), w których środku znalazłyby się osoby znajdujące się na liście z zakazem wstępu. „Tak byśmy chcieli. Żeby zatrzymanie Obywateli RP wymagało koniecznie od policji przerwania tego poselskiego szpaleru. Cofną się ci policjanci albo nie. Zdaje się, że obaj wiemy, że raczej się nie cofną!" – mówił tuż przed najbardziej gorącym momentem protestu. Pomysł na poselskie szpalery nie do końca zdał egzamin – głównie dlatego, że w szeregach opozycji nie znaleziono wystarczającej liczby osób chętnych do takich przygód; w PO i Nowoczesnej po wspomnianych akcjach pojawiła się konsternacja.

OPOZYCJA I TAK, I PRZECIW

Z jednej strony trudno wydobyć jednoznaczne odcięcie się od wandalizmu i zwykłego chuligaństwa (przy okazji doszło do wypisywania wulgarnych haseł na ścianach budynków sejmowych), ale gdy wyłączamy dyktafony, to co bardziej przytomni politycy Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej przyznają, że akcje w stylu „bagażnikowej" przynoszą więcej złego niż dobrego. Pytam o sprawę kolejnych incydentów Marka Biernackiego, byłego ministra spraw wewnętrznych w rządzie Platformy, dziś – jak sam mówi – „poza aparatem partyjnym" tego ugrupowania. Kiedy wspominam o ostatniej akcji duetu Schmidt–Scheuring-Wielgus kwaśno się uśmiecha: – Dla mnie to nie powinno mieć miejsca... Na przewożenie w bagażniku i tego rodzaju historie poważni politycy nie powinni się decydować – tłumaczy. Andrzej Halicki z PO mówi bez ogródek: – Tego rodzaju happeningi służą głównie promocji jednego czy drugiego polityka, który walczy o uwagę mediów... Wolałbym, by jednak protestować w inny sposób – podkreśla poseł Platformy.

Ale do organizatorów tamtego wydarzenia tego rodzaju argumenty po prostu nie trafiają. Nazajutrz po historii z bagażnikiem Ryszard Petru z żarem w oczach opowiadał dziennikarzom w Sejmie, że „zbierał euforyczne reakcje" od wyborców, zarazem żaląc się, że Straż Marszałkowska cofnęła mu pozwolenie na wjazd samochodem na teren parlamentu. Kierująca feralnym samochodem posłanka Schmidt zapytana, czym usprawiedliwia wwożenie ludzi do Sejmu w bagażniku, odparła jedynie: – Dobijany jest Sąd Najwyższy. Potrzebne są mocne symbole.

Między opozycją a kierownictwem Sejmu trwa również spór co do ograniczenia wstępu na wspomniany teren obiektów sejmowych, który jeszcze do niedawna był dostępny, a spacerowali po nim nawet kibice Legii Warszawa udający się na znajdujący się nieopodal stadion „wojskowych". Dziś to niemożliwe. Kancelaria Sejmu przekonuje,

eprasa.pl 047454cd83



Fot. Andrzej Wiktor

że to profilaktyka po poprzednich próbach „puczów", opozycja – że to wyraz słabości i strachu marszałka Marka Kuchcińskiego.

GORĄCA JESIEŃ

Jakkolwiek by było, to tylko pretekst do kolejnych akcji Obywateli RP. Z ustaleń „Sieci" wynika, że jesienią, gdy ruszy kampanijny maraton wyborczy, możemy się spodziewać nowych incydentów. Mówi się o tym choćby wśród urzędników pracujących w Sejmie, gdzie jest wielu takich, którzy zostali zainstalowani przy Wiejskiej jeszcze w czasach rządów Sojuszu Lewicy Demokratycznej czy Platformy Obywatelskiej. Ale nawet oni, pozostając w kontakcie ze swoimi kolegami z opozycyjnych wobec PiS ugrupowań, nie mają złudzeń: takiego poziomu emocji jeszcze nie było. Usłyszeliśmy od nich stugębną plotkę, że jesienią planowane jest ponowienie protestu nawiązującego do tego, co widzieliśmy wiosną przy okazji okupacji parlamentu przez niepełnosprawnych. – Tym razem miejsce niepełnosprawnych mogliby zająć rolnicy albo seniorzy. I choć Straż Marszałkowska otrzymała jednoznaczne wytyczne w sprawie wynoszenia z Sejmu tych, którzy chcieliby okupować parlament, to jednak z łatwością wyobrażam sobie sytuację, w której część protestujących jest niepełnosprawna albo chora – trudno będzie wtedy o decyzję ostrej, zdecydowanej reakcji strażników – słyszymy.

Jest też w tym wszystkim kontekst polityczny: rządzący są przekonani co do tego, że każdy przejaw chaosu i agresji mógłby zostać negatywnie odebrany przez wyborców – zwłaszcza tych umiarkowanych, nieinteresujących się na co dzień polityką. Chodzi o uniknięcie poczucia, że sytuacja w Polsce jest „wybuchowa", że mamy do czynienia z czymś na kształt stanu wyjątkowego. To m.in. dlatego – jak słyszymy – funkcjonariusze policji, którzy w ostatnich tygodniach pilnują parlamentu, reagują tylko w naprawdę nadzwyczajnych przypadkach. Ale dochodzi i do nich, co natychmiast jest wykorzystywane przez skrajnie radykalne środowiska jako dowód na represje. Internet regularnie obiegają zdjęcia osób, które miały zostać w brutalny sposób potraktowane przez funkcjonariuszy. Policjanci odpowiadają, że w tłumie znalazło się kilku protestujących, którzy naruszyli nietykalność fizyczną funkcjonariuszy, i że w trakcie szarpaniny otarcia czy siniaki są naturalną konsekwencją.

Jesienny czas zapowiada się w polskiej polityce gorąco z wielu powodów. Zanim jednak przyjdzie wrzesień, który rozpocznie kampanijny maraton wyborczy (na pierwszy ogień pójdą wybory samorządowe), w parlamencie – i przed nim – na kilka tygodni zapanuje spokój. Posłowie i senatorowie rozjechali się na wakacje, a życie na Wiejską wróci w połowie września. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że będzie to czas obfitujący w wiele gorących wydarzeń.

eprasa.pl 047454cd83



Spokój pilnie potrzebny

Zmiany instytucjonalne w sądownictwie niebezpiecznie się rozciągają. Trwają już bardzo długo – dłużej, niż planowano. Dalsze przewlekanie sprawy może wywołać wrażenie, że w kraju panuje chaos – mówi **prof. Waldemar Paruch**, szef rządowego Centrum Analiz Strategicznych, w rozmowie z Jackiem Karnowskim

Jak Polacy, zwłaszcza elektorat prawicy, przyjęli korektę ustawy o IPN i związany z tym kompromis polsko-izraelski? Emocji wokół tej sprawy nie brakowało.

Waldemar Paruch: Trzeba pamiętać, że Polacy nie wykazują wielkiego zainteresowania polityką zagraniczną. W tej konkretnej sprawie dużo ważyło filoamerykańskie nastawienie polskiego społeczeństwa, sen o Ameryce wciąż jest żywy. To miało znaczenie, bo w chwili, gdy ustawa o IPN zaczęła zagrażać stosunkom polsko-amerykańskim, nie można było już czekać. Ta sprawa mogła naruszyć poczucie bezpieczeństwa Polaków, co mogłoby przynieść poważne konsekwencje polityczne. Tym bardziej że PiS jest identyfikowane jako partia ukierunkowana na wzmacnianie sojuszu polsko-amerykańskiego i współpracy w Sojuszu Północnoatlantyckim. W tym kontekście PiS musiało być wiarygodne.

Amerykanie naciskali na Polskę?

Amerykanie domagali się od obu zainteresowanych państw zawarcia strategicznego kompromisu, bo i Polska, i Izrael są polityce amerykańskiej niezbędne. Proszę zauważyć, jak wiele powściągliwości zachowała administracja amerykańska, zwłaszcza prezydent. W ocenie tej sprawy warto zwrócić uwagę na skuteczność i szybkość działania rządu w tych dniach. Z badań wynika, że Polacy bardzo lubią władzę, która skutecznie działa, skutecz-

eprasa.pl 047454cd83



Fot. Andrzej Wiktor

nie rozwiązuje problemy i nie wikła się w sprawy w odbiorze społecznym uważane za nieistotne. To był ważny element.

Sprawa walki o dobre imię Polski nie jest, zdaniem Polaków, ważna?

Z badań wynika, że polityka godnościowa nie jest wskazywana przez Polaków jako priorytet. Jest daleko w tyle za takimi sprawami jak służba zdrowia, stan dróg, pomoc dla osób niepełnosprawnych. Po prostu kwestie historyczne, tożsamościowe nie wpływają na codzienne życie. Nie znaczy to, że nie są to sprawy ważne; od tego zależą podmiotowość i siła naszego państwa, lecz w długiej perspektywie. To problem istotny, ale dla elit intelektualnych. Jednak jednocześnie wyraźnie w latach 2015–2018 w świadomości Polaków wzrosło znaczenie obrony interesów Polski. Tego oczekuje się od partii politycznych uwikłanych w spór polityczny.

Ale tu chodziło o kwestie polsko-żydowskie, zawsze szczególnie drażliwe i szeroko dyskutowane.

Poziom zaangażowania strony żydowskiej w krytykę Polski był tak duży, że znalazło to odzwierciedlenie w mediach i tym samym rzeczywiście dotarło do Polaków. Ale ważniejszy był kontekst międzynarodowy. Spór z Izraelem – i pośrednio z Ameryką – bardzo osłabiał pozycję Polski także na forum unijnym, europejskim. A mamy sprawę art. 7, mamy dyskusję budżetową. Trzeba było skrócić front. Żadne państwo nie jest w stanie prowadzić dwóch intensywnych sporów jednocześnie, do tego sporów toczonych na odcinkach strategicznych. Izrael jest partnerem strategicznym nie tylko poprzez odniesienie do Stanów Zjednoczonych. Śp. prezydent Lech Kaczyński, do którego myśli obóz rządzący nawiązuje w swojej polityce, wyraźnie uważał Izrael za strategicznego partnera Polski. Rządy PiS do tego nawiązują.

> PiS – ani w sporze z Unią, ani w sporze wewnątrzpolskim – cofnąć się nie może, bo to oznaczałoby rezygnację ze zmian instytucjonalnych i personalnych

Po zmianie ustawy o IPN nie brakowało głosów, że rząd ugiął się jednak pod presją. Czy to wpłynie np. na poziom poparcia dla narodowców?

Żadne sondaże nie wskazują, aby jakkolwiek definiowany obóz narodowy wiele zyskał z powodu sposobu rozwiązania sprawy nowelizacji ustawy o IPN. Rodzi się też pytanie, gdzie ten obóz dziś jest. Najwięcej wątków narodowych widzimy w formacji Kukiz'15. Z badań nie wynika, aby istniało wielkie poparcie nawet dla hipotetycznej endecji. Sympatie narodowe są za to obecne w szeroko definiowanym obozie Prawa i Sprawiedliwości. To jest obóz złożony z milionów wyborców i siłą rzeczy są w nim obecne różne wątki ideowe. Od samego początku Jarosław Kaczyński budował PiS jako partię wielonurtową.

Jaką część obozu PiS mogą stanowić ludzie o poglądach narodowych? Jedną trzecią? Jedną czwartą?

W rozumieniu klasycznym, którego symbolem jest Roman Dmowski, to zdecydowanie mniej. Jeśli mówimy o wyborcach świadomie rozumujących w kategoriach narodowodemokratycznych, jest to najwyżej kilka punktów procentowych.

Jeden z sondaży – Kantar Public – wykazał ostatnio spadek poparcia dla PiS o 7 pkt, do poziomu 34 proc., i wzrost poparcia dla PO do 23 proc. Czy to może być echo wycofania się z niektórych przepisów ustawy o IPN?

Trudno odczytywać jeden wyizolowany sondaż w ten sposób. Nie znamy kontekstu, pytań torujących, metody. Z innych badań przeprowadzonych w tym czasie, zsumowanych i zważonych, wychodzi nam znacznie wyższy poziom poparcia dla PiS – między 40 a 44 proc. I jeszcze jedna uwaga: nie ma przepływu elektoratu między PiS a PO. To jest przepływ na poziomie błędu statystycznego. Jeśli PiS popełnia błędy, to nie zyskuje na tym Platforma.

Kto zyskuje, gdy PiS wpada w kłopoty?

Trochę SLD, trochę Kukiz, w pewnych segmentach PSL, ale też nie za dużo, ponieważ dla wyborców PiS partią drugiego wyboru nie są ludowcy. Tak jak nie jest nią PO, na którą, gdyby nie było PiS, zagłosowałoby tylko 3 proc. wyborców partii rządzącej. Rolę partii

eprasa.pl 047454cd83

drugiego wyboru wobec PiS odgrywa przede wszystkim Kukiz'15, ale tylko na poziomie ok. 40 proc. Również przepływ między SLD a PO jest mało prawdopodobny; wyborcy Sojuszu są bardzo antyplatformerscy, co pokazuje, że strategia liderów SLD, konsekwentnie odmawiających wejścia do zjednoczonej koalicji, jest słuszna.

SLD wyraźnie zyskuje. Dlaczego? To jakaś nowa konfederacja sierot po PRL?

Nie. Biologia robi swoje. Owszem, pewne kody przechodzą z pokolenia na pokolenie, ale musimy pamiętać, że myślenie ideologiczne w państwie demokratycznym dotyczy ok. 25 proc. ogółu wyborców. Pozostałych 75 proc. rozumuje kontekstowo, w zakresie własnych interesów, emocjonalnie. Te paradygmaty historyczne, w których jesteśmy wychowani, zaczynają kruszeć. PiS złożyło wyborcom bardzo mocną ofertę konserwatyzmu solidarystycznego, w którym każdy człowiek ma swoje miejsce, każda grupa jest potrzebna. Dlatego wygrało. Nie dlatego, że wywodzi się z „Solidarności". Dzisiaj „Solidarność" jest postrzegana w formule związku zawodowego, a nie wielkiego ruchu politycznego.

Czy kolejna fala protestów przeciw reformie sądownictwa, coraz bardziej gorących, może zaszkodzić PiS?

Zmiany instytucjonalne w sądownictwie niebezpiecznie się rozciągają. Trwają już bardzo długo – dłużej, niż planowano. Moim zdaniem należało jasno założyć, że będzie fundamentalny opór tych grup, które w publicystyce określa się jako „kastę sędziowską" czy – szerzej – prawniczą. Ten opór jest wzmacniany medialnie, dowartościowany moralnie, rozszerzany na kolejne grupy.

To chyba przewidywano, choć pewnie nie w takiej skali.

W każdym razie dalsze przeciąganie sprawy może wywołać wrażenie, że w kraju panuje chaos. Weszliśmy w okres wakacyjny, ludzie chcieliby spokojnie pożyć, wypocząć. A we wszystkich telewizjach mamy ostry spór uliczny, bardzo intensywny, który zaczyna wyborców męczyć. To jednocześnie spór, którego nie da się uniknąć, jeśli chce się przeprowadzić reformę do końca. PiS – ani w sporze z Unią, ani w sporze wewnątrzpolskim – cofnąć się nie może, bo to oznaczałoby rezygnację ze zmian instytucjonalnych i personalnych. A bez tego nie da się zrealizować ważnej obietnicy poprawy funkcjonowania sądownictwa. Polacy na tę poprawę naprawdę czekają. Te oczekiwania są bardzo precyzyjne i jasno uchwytne w badaniach.

> Nie ma przepływu elektoratu między PiS a PO. To jest przepływ na poziomie błędu statystycznego. Jeśli PiS popełnia błędy, to nie zyskuje na tym Platforma

Kiedyś Polacy o ten praktyczny wymiar zapytają.

Na pewno. Jednocześnie emocje społeczne towarzyszące protestom wokół Sądu Najwyższego są relatywnie niskie. To grupy maksymalnie kilkusetosobowe, złożone z tych samych osób. W 2017 r. to były jednak tysiące.

Ludzi jest mniej, ale protesty są dla rządzących mimo to groźne?

Tak. Bo w świadomości społecznej to władza jest odpowiedzialna za stabilność. Mamy wyraźne oczekiwanie stabilizacji.

Nawet jeśli grupy bojowe szturmują parlament, to winna jest władza?

W odbiorze społecznym tak. Na przykład na spotkaniach w terenie ludzie obwiniają rządzących o wszystkie możliwe nieszczęścia. Słabo rozróżniają władzę samorządową, wykonawczą, ustawodawczą. Jest Warszawa, i jesteśmy my, tu, na dole. To jest trwały schemat rozumowania.

Poprzednie fale protestów, choć bardziej liczne, nie szkodziły jednak Prawu i Sprawiedliwości. Dlaczego uważa pan, że teraz może być inaczej?

Bo zmieniła się rzeczywistość. Prawo i Sprawiedliwość jest w pewnej mierze ofiarą własnego sukcesu. Wskaźniki ekonomiczne są bardzo dobre, Polska sprawnie dyskontuje międzynarodową koniunkturę, budżet ma więcej pieniędzy dzięki zredukowaniu luki VAT, wzrastają wynagrodzenia. Polacy oczekują, aby te dobre wiadomości, o których przecież wiedzą, przełożyły się na ich portfele. Polacy są dziś wielkimi optymistami w zakresie konsumpcji prywatnej i swojej sytuacji życiowej. Uważają, że ich aspiracje będą zaspokajane. Wskaźniki apetytów konsumpcyjnych są najwyższe od 2007 r. Władza nie może burzyć tych wyobrażeń społecznych.

Rok 2007 brzmi w tym kontekście złowieszczo. Wówczas też wszystkie wskaźniki rosły, a PiS straciło władzę.

Tak działa mechanizm rozumowania przy urnie wyborczej. Skoro rządzący nagromadzili zasoby, ale nie słuchają wysyłanych impulsów społecznych, to wybieramy tych, którzy przynajmniej obiecują, że wysłuchają. Dziś różne grupy społeczne i środowiska domagają się zysków materialnych dla siebie. Chcą nowej regulacji płac. Opozycja (PO) też to wie i dlatego np. stara się unikać polityzacji różnych protestów, przykładem niech będzie protest osób niepełnosprawnych. PO liczyła, że PiS popełni ten błąd i samo upolityczni tę sprawę. Podobnie było w sprawie pielęgniarek – opozycja liczyła, że rząd pójdzie na starcie. A rząd zachował się inaczej – podjął skuteczne rozmowy w obu przypadkach. Wybrał bardzo intensywny dialog.

eprasa.pl 047454cd83

Nie wszystkie postulaty płacowe i socjalne da się jednak zrealizować.

Niektóre postulaty są nierealne ze względów budżetowych i nie tylko. Tym bardziej że PiS zobowiązało się także do olbrzymich wydatków rozwojowych, w tym infrastrukturalnych. Na to są potrzebne miliardy. W ciągu czterech lat nie da się zbawić świata, naprawić wszystkich błędów III RP, nie da się rozwiązać wszystkich problemów społecznych. Szczególnie że rząd Mateusza Morawieckiego eksponuje strategie średnio- i długoterminowe.

Jak zatem wyjść z tej pułapki: zmęczenie obywateli wrażeniem chaosu, roszczenia płacowe, dyscyplina budżetowa?

Na pewno należy się wsłuchiwać w oczekiwania społeczne. Nie można powtórzyć błędu z 2007 r., gdy w dużym stopniu zignorowano oczekiwania społeczne. Wówczas nacisk położono na mobilizację społeczną na rzecz kolejnych głębokich zmian. A dziś wiemy, że wówczas także znaczna część społeczeństwa oczekiwała „grillowania" i miłego życia. PiS nie miało dla nich oferty, a PO zaproponowała wówczas „ciepłą wodę w kranie".

Dziś PiS niemal otwarcie głosi, że wyhamowuje, a sądownictwo to ostatnia duża reforma w tej kadencji. Gdyby nie weta prezydenta, sprawa byłaby już za nami.

Słowo „wyhamowywanie" nie jest tu najlepsze. Reformy bezwzględnie trzeba przeprowadzać i muszą one być głębokie, ale nie mogą od razu dotyczyć wszystkich segmentów życia społecznego, bo okażą się niewykonalne. Najważniejsze obietnice z 2015 r. zostały zrealizowane, do tego dochodzi reforma sądownictwa, ale pozostałe reformy muszą być wprowadzane bardzo racjonalnie.

Z tego, co pan mówi, strategia maksymalnej wstrzemięźliwości służb porządkowych, ograniczania się do biernej ochrony budynków, nie-reagowania na zaczepki i prowokacje, jest jedynym możliwym rozwiązaniem. Każda ostrzejsza reakcja byłaby na rękę opozycji.



Fot. Andrzej Wiktor

Pytanie jest następujące: co zrobić, jeśli dla 36 proc. wyborców w Polsce bardzo ważne jest przestrzeganie prawa, a jednocześnie wielu polityków opozycji łamie prawo lub zapowiada jego łamanie? Stroną broniącą prawa jest dziś obóz rządzący. To tworzy dylemat, z którego nie ma łatwego wyjścia. Trzeba dużo rozwagi. Dlatego w sprawie wymiaru sprawiedliwości zmiany pozytywistyczne, związane z jakością i tempem pracy sądów, muszą się dokonywać równolegle ze zmianami instytucjonalnymi. W odbiorze społecznym to, co dzieje się w KRS, nie jest istotne. Ważny jest efekt „na wyjściu", który musi być widoczny, i to szybko.

Czy zarzut łamania konstytucji, podnoszony przez opozycję, rezonuje społecznie? A może jest to inwestycja na przyszłość, w nadziei, że przyjdzie jakaś dekoniunktura i wówczas rząd zostanie nie tylko obalony, lecz wręcz zmieciony przez jakąś mutację kolorowej rewolucji?

Też mam wrażenie, że opozycja „modli się" o kryzys gospodarczy, z którym rząd sobie nie poradzi.

eprasa.pl 047454cd83

Na razie buduje coś w rodzaju alternatywnego państwa. Mamy „I Prezes Sądu Najwyższego na uchodźstwie", co pani profesor Gersdorf ogłosiła w Niemczech. Odmawia się uczestnictwa w Zgromadzeniu Narodowym z okazji 550-lecia parlamentaryzmu, co oznacza, że wspólnych obchodów 100-lecia też nie będzie. Opozycja ma własne media, zamyka się w równoległej bańce, buduje alternatywny świat.

Media mają od zawsze.

To prawda, ale bliższe przyjrzenie się preferencjom politycznym widzów poszczególnych stacji pokazuje, jak daleko zaszedł ten proces. 71 proc. oglądających TVN to wyborcy Platformy. Z kolei w TVP większość widzów popiera PiS, a znaczna część Kukiz '15. Polsat jest bardziej zrównoważony, ale z kolei aż 45 proc. widzów tej stacji deklaruje, że nie pójdzie na wybory samorządowe.

Jak to wygląda w przypadku internetu?

Z badań przeprowadzonych w Warszawie wynika, że 20 proc. wyborców nie ogląda żadnej telewizji, więc czerpie wiedzę z innych źródeł, zapewne z internetu. W tej grupie poparcie dla PiS wynosi ok. 40 proc., czyli bardzo dużo. To pokazuje znaczenie komunikacji bezpośredniej, którą perfekcyjnie posłużył się Donald Trump, objeżdżając kluczowe hrabstwa i korzystając z mediów społecznościowych. Dzięki temu zbudował wrażenie, że zwraca się bezpośrednio do każdego wyborcy. Podobnie działał w czasie swojej kampanii Andrzej Duda. To było komunikacyjne źródło sukcesu obu tych polityków.

W najbliższych wyborach rola internetu będzie pewnie jeszcze większa?

Paradygmaty wyborcze wiele się nie zmienią. Znaczenie telewizji nie będzie tak istotne jak w przeszłości, ale wciąż będzie duże. Ważne, że mamy pluralizm i przekaz stacji telewizyjnych oraz radiowych jest różny, a często wręcz skrajnie różny. To powoduje, że widzowie czy słuchacze wybierają takie przekazy, które potwierdzają ich wizję świata.

W kontekście mediów nie brakuje, również na prawicy, opinii, że przekaz TVP jest zbyt mocny, że szkodzi obozowi rządzącemu.

Nie zgadzam się z tą opinią. Bo cechą pluralizmu mediów w Polsce jest wyraźna dominacja strony opozycyjnej. Z wyjątkiem segmentu tygodników tak jest na rynku prasy codziennej i wielkich portali internetowych. W tych warunkach trudno, aby TVP nie dostarczała wyborcom PiS argumentów, wiedzy, informacji. Bez tego będą oni bezradni w codziennych sporach.

> W świadomości społecznej to władza jest odpowiedzialna za stabilność. Mamy wyraźne oczekiwanie stabilizacji

PiS nie poparło propozycji prezydenta w sprawie referendum konsultacyjnego. Dlaczego? Czy rzeczywiście termin 10–11 listopada był takim problemem?

Termin rzeczywiście był problemem, bo 100-lecie świętuje się raz. Referendum wzmacniałoby i tak silną polaryzację. Do tego dochodzi problem pytań, dla wielu ludzi trudnych, często pewnie niezrozumiałych. Nie wiadomo też, jak należałoby odczytać wyniki referendum. Dla kogo i do czego byłyby zobowiązaniem?

Czy programy socjalne, zwłaszcza 500+ i 300+, wciąż istotnie stabilizują poparcie dla obozu rządzącego?

500+ jest symbolem realizacji obietnic wyborczych, nakręca też gospodarkę, bo to przecież w istocie przekazanie ponad 20 mld zł rocznie grupom dotąd wykluczonym. Ale to już jest, to prawo nabyte. 300+, a także Piątka Morawieckiego, to dopiero zapowiedzi, które trzeba zrealizować. Tego jeszcze w odbiorze społecznym nie ma. Dochodzą nowe wyzwania, np. sytuacja w rolnictwie, a więc susza i załamanie się rynku owoców miękkich, wzrost cen paliw. Rząd musi zareagować, bo na wsi pojawiła się obawa o własne dochody. Rolnicy stanowią 10–11 proc. Polaków, ale na wsi mieszka 40 proc. obywateli. Sytuacja w rolnictwie wpływa na całą tę grupę.

Można odnieść wrażenie, że to lato jest politycznie bardzo ważne.

Najbliższe tygodnie ustawią kampanię samorządową. Bój o sejmiki wygra ten, kto zapanuje nad agendą sporu politycznego. PiS potrafiło to zrobić w 2015 r., teraz musi to powtórzyć.

Być może z powodu sezonu ogórkowego niektóre media zaczęły pisać o rzekomym przejmowaniu władzy w PiS przez premiera Morawieckiego. Wszystko to już było, ale wciąż wraca.

Prawem i Sprawiedliwością rządzi Jarosław Kaczyński. Nic mi nie wiadomo, aby prezes PiS utracił sterowność nad własnym obozem politycznym. To informacje nieprawdziwe, celowo wprowadzane do obiegu społecznego, być może życzeniowe. Ich celem jest wykreowanie podziałów w Zjednoczonej Prawicy. Jarosław Kaczyński skutecznie stabilizuje scenę polityczną w Polsce i to nie tylko po prawej stronie, lecz jest także odniesieniem dla polityków opozycji. Niekiedy mam wrażenie, że jedynym. Tak się dzieje w niemal każdym wystąpieniu w Sejmie. Proszę sobie przypomnieć także ostatni wywiad Donalda Tuska. Jeśli w PiS jest jakieś pytanie, to dotyczy ono tego, jak wypełnić dotkliwą lukę związaną ze zmniejszoną czasowo, ze względów zdrowotnych, aktywnością publiczną pana prezesa. Nie dotyczy to jednak zarządzania partią. To fantasmagoria. Być może niektórzy dziennikarze mają po prostu słabe rozpoznanie rzeczywistości lub starają się ją kreować.

eprasa.pl 047454cd83



Mamy w Ameryce prezydenta rozumiejącego powody, dla których Polacy zmienili władzę w 2015 r., bo on sam z podobnych powodów zdobył Biały Dom. I – co ważne – jego wrogowie są naszymi wrogami

Fot. Andrzej Wiktor

Polacy, stójcie przy Trumpie

Michał Karnowski rozmawia z Ryszardem Czarneckim, politykiem Prawa i Sprawiedliwości, posłem do Parlamentu Europejskiego

Czy polscy patrioci, patrząc na działania prezydenta Donalda Trumpa, mają powody, by zawołać: „pomyliliśmy się! To jest jednak dla naszej ojczyzny niedobre”? Taki przekaz sufluje wiele mediów, wskazując na ostre słowa na szczycie NATO, wymieniane z Putinem komplementy. Ciekaw jestem pana spojrzenia, bo wrócił pan właśnie z Waszyngtonu, za panem kilkanaście spotkań z przedstawicielami polityki amerykańskiej.

Ryszard Czarnecki: Absolutnie nie. Każdemu, komu przyszłoby takie zawołanie do głowy, polecam napicie się zimnej wody, a może i lodowaty prysznic. Najlepiej zaś pogłębienie wiedzy o prawdziwych, a nie relacjonowanych przez liberalno-lewicowe media, działaniach prezydenta Donalda Trumpa. Patrzmy na jego działania z punktu widzenia czynów, a nie słów. Słowa bywają zwodniczym narzędziem oceny.

W jakim sensie?

Przypomnę, w jakim kontekście padły słynne i ważne dla Polaków słowa prezydenta Ronalda Reagana o sowieckim imperium zła. Otóż była to prośba skierowana do przywódców ZSRS, by nie stawali po stronie imperium zła. Dziś prezydent Trump czyni podobnie: prosi, namawia, wciąga w rozmowy, a czasami nagle wstaje od stołu, ale nie zmienia kursu. Z polskiego punktu widzenia jego działania są znakomite, zarówno jeśli chodzi o relacje z Rosją, jak i z Niemcami.

Z Niemcami – być może. Ale w odniesieniu do relacji amerykańsko-rosyjskich to odważna teza.

Tak? Mamy amerykańskie bazy w Polsce i konsekwentne zwiększanie liczby żołnierzy, którzy przebywają w nich na półrocznych zmianach.

eprasa.pl 047454cd83

Mamy potwierdzoną otwartość prezydenta Trumpa na utworzenie tutaj stałych baz. Mamy decyzje NATO, ze wsparciem USA, o przyjęciu do sojuszu Macedonii, kolejnego państwa bałkańskiego po Czarnogórze. W obu przypadkach Rosja bardzo ostro, włącznie z próbami przewrotów, próbowała ten proces zablokować. Dla Putina to naprawdę ważna rzecz, a jednak Trumpowi nawet powieka nie drgnęła. Podobnie jak wtedy, gdy wyrzucał ze Stanów Zjednoczonych aż 60 rosyjskich „dyplomatów". A z najświeższych wiadomości – kolejny pakiet 200 mln dol. wsparcia wojskowego dla Ukrainy.

Zgoda, to ważne konkrety, ale można też założyć, że to skutki poprzedniej amerykańskiej polityki, która jednak, wskutek zbliżenia Trumpa z Putinem, może się zmienić. Musimy uważać, by nasze myślenie życzeniowe nie przysłoniło nam tej ewentualnej korekty.

Z myśleniem życzeniowym mieliśmy do czynienia w niedawnej przeszłości, gdy znaczna część polskiej klasy politycznej zakochała się po prostu w prezydencie Baracku Obamie. Przykładem było puszczenie mimo uszu skandalicznych słów o „polskich obozach śmierci", które – co zawsze warto przypominać – były zorganizowane przez państwo niemieckie na okupowanych ziemiach polskich. A co się działo, gdy w 2009 r. pani sekretarz stanu Hillary Clinton wraz z ministrem spraw zagranicznych Rosji Siergiejem Ławrowem ogłaszali słynny reset? Pełen zachwyt ówcześnie rządzącej Polską koalicji PO-PSL. Działo się to już po agresji na Gruzję. Śp. prezydent Lech Kaczyński takich złudzeń nie miał.

Z resetu jednak się wycofano.

Zgoda, trzeba przyznać Obamie, że podczas swojej drugiej kadencji, gdy zorientował się w końcu co do charakteru prawdziwych działań i intencji Rosjan, zmienił stanowisko. Uważam jednak, że obu tych działań – resetu z 2009 r. i obecnych działań prezydenta Trumpa – porównywać nie można. Wtedy była to naiwna próba ustanowienia miłosnych relacji z Moskwą, a dzisiaj mamy do czynienia z twardą taktyką negocjacyjną.


Fot. Andrzej Wiktor

Wspomniał pan też o dobrych dla Polski działaniach Trumpa wobec Niemiec. Gdzie konkretnie to widać?

W zerwaniu z toksyczną zasadą prezydenta Baracka Obamy – w gruncie rzeczy w ogóle niezainteresowanego Europą – że Niemcy i pani kanclerz Angela Merkel są pośrednikiem, z którym załatwia się wszystkie sprawy z Unią Europejską. Mówiąc Kissingerem: tam się dzwoni, gdy chce się połączyć z Europą.

Jedyny kanał komunikacji i negocjacji?

Dokładnie. Dla Niemiec była to sytuacja wymarzona, wzmacniająca i tak już ogromną ich pozycję wewnątrz Unii Europejskiej. Prezydent Trump z tym zerwał, postawił na politykę inną: dostrzega inne państwa, chce z nimi rozmawiać, szuka partnerów. Zyskują na tym takie stolice jak Warszawa, traci Berlin. Nie dziwi mnie więc wcale zła prasa, jaką ma tam 45. prezydent USA.

Taką samą politykę wobec UE ma Rosja – nie dostrzegać całej Unii jako partnera, wybierać sobie to, co wygodne. Dzielić.

To prawda, tak się dzieje. I to jest dla Polski niedobre. Unia to jednak milcząco akceptuje. Czyli agresywnej Rosji na to pozwala, demokratycznej Ameryce już nie? Warto podkreślić, że w relacjach polsko-amerykańskich bardzo nam pomógł Brexit. To zła decyzja w kontekście przyszłości Unii, bo tracimy sojusznika, który podobnie widział przyszłość wspólnoty; który sprzeciwiał się dążeniom do przekształcenia UE w jakieś superpaństwo, na dodatek o ambicjach wychowywania obywateli. Ale w tym jednym obszarze okazało się to pozytywne, bo USA, szukając nowego sojusznika w Unii po Brexicie, w sposób oczywisty wybrały Polskę jako kraj duży, z odpowiednim potencjałem gospodarczym i ludnościowym, jednocześnie proamerykański.

A zatem przyjmując Donalda Trumpa tak hucznie i jednocześnie naprawdę entuzjastycznie w lipcu ubiegłego roku, nie popełniliśmy błędu?

To był świetny ruch, który długo jeszcze będzie procentował. Donald Trump widzi, że Polacy witają go sercem, nie jest to ustawka, że naprawdę kochają Amerykę, a jego szanują. Po czym jedzie do Hamburga na szczyt G20, gdzie witają go największe w Europie demonstracje przeciwników,

16/0718/F

eprasa.pl 047454cd83

gdzie jego żona nie jest w stanie opuścić oblężonego przez wrogi tłum hotelu. To zderzenie jeszcze zwiększyło kontrast i zostało zapamiętane.

To działo się w chwili, gdy nasza totalna opozycja i jej media rozpędzały już na całego akcję psucia polskiej reputacji za granicą, przypisywania rządom prawicy cech „reżimowych", ale apogeum akcji było wciąż przed nami. Do prezydenta Trumpa też to dociera.

Tak, co wcale nie musi działać na naszą niekorzyść. Musimy mieć świadomość, że europejski i amerykański obóz „antytrumpowski" tworzą ci sami ludzie, te same siły, które z taką zaciekłością atakują obecny rząd w Warszawie, próbują wymusić jego upadek.

Tak, ale wątpliwości pozostają. Po spotkaniu Trump–Putin w Helsinkach mamy publicznie stawiane pytania, czy nie doszło tam do jakiejś nowej Jałty, tajnego podziału wpływów na świecie. I nie padło tam jednak publicznie słowo potępienia aneksji Krymu, agresji na Ukrainę.

Kilka dni później mieliśmy jednoznaczne potępienie tej aneksji przez Departament Stanu, więc znowu trzeba podkreślić, że w sferze faktów nie ma żadnej korekty. Istotą tych wszystkich pytań jest to, od czego zaczęliśmy naszą rozmowę: stawianie bardzo wyrazistych ocen w oparciu o opis wrogich prezydentowi Trumpowi mediów czy automatyczne uznawanie własnych lęków za potwierdzone. Tak w ocenie polityki międzynarodowej czynić nie wolno. Patrzmy na czyny, nie słowa.

No, to patrzymy na czyny. Po co w ogóle rozmawiać z Putinem, który napada na sąsiadów?

Z punktu widzenia Ameryki nie da się nie rozmawiać z Rosją, choć oczywiście można to robić w różny sposób. Za dużo jest punktów stycznych, by ją pominąć. Musimy pamiętać, że strategicznie Amerykanie mają dzisiaj dwa cele do osiągnięcia: ograniczanie roli Chin i roli Rosji. A także poprawienie wyraźnie negatywnego bilansu handlowego z Europą. W tym ostatnim przypadku chodzi głównie o Niemcy, z którymi Stany Zjednoczone mają bardzo niekorzystny bilans eksportu i importu. Musimy też pamiętać, że Donald Trump wniósł do Białego Domu specyficzny, bardzo biznesowy, model działania. W tym modelu rozmawia się, czasami bardzo miło, także z konkurentami. Stół negocjacyjny, zaskoczenie przeciwnika, nagłe zwody są w świecie biznesu normą. I Putin jest właśnie konkurentem, którego Trump tak traktuje, nie gubiąc jednak z oczu podstawowego celu.

Jednak po spotkaniu w Helsinkach w debacie publicznej pojawia się temat „referendum w Donbasie". Każdy, kto coś takiego usłyszy, powinien wstać i powiedzieć, że nie robi się w dzisiejszym świecie referendów na terenach okupowanych.

REKLAMA



eprasa.pl 047454cd83

Tak? To zapytam przekornie: a kiedy coś takiego powiedziały Niemcy? Nie słyszałem. Słusznie Trump rzucił im w twarz, że budując rury gazowe z Rosją, pompują tam miliardy dolarów, dzięki którym potem Rosja się zbroi, a na końcu żądają od USA, by broniły Europy, w tym Niemiec, przed Rosją właśnie. Przecież to czysta hipokryzja. Inne pytanie: co zrobiła Wielka Brytania po serii zabójstw brytyjskich obywateli dokonanych przez rosyjskich agentów na jej terytorium, poczynając od Litwinienki? Bardzo niewiele, choć było to straszliwe upokorzenie. Udawała, że nie została opluta, ale deszcz pada. Oficjalnie nawet nie mówiono o morderstwach, tylko padały różne eufemizmy. Ostra reakcja nastąpiła dopiero w tym roku po próbie zabicia eksagenta Skripala i jego córki.

Czego to dowodzi?

Że stosujemy różne miary wobec Trumpa i innych liderów. Powtarzam: polityka amerykańska, którą widzi się w Waszyngtonie, to, co wyłania się z moich spotkań w ostatnim tygodniu, a właśnie dopiero co wróciłem ze stolicy USA, jest zupełnie inne niż medialny obraz. Warto osobiście czytać wpisy Donalda Trumpa, słuchać, co nam mówi, a nie to, co o nich opowiadają media.

Te serie wpisów internetowych Donalda Trumpa pana nie zadziwiają? Nie niepokoją?

W ogóle. Są całkowicie zrozumiałą i mądrą reakcją na potworny atak mediów i establishmentu, którego doświadcza od pierwszego dnia swojej prezydentury, a wcześniej w kampanii. Ponieważ każdy jego komunikat, każda decyzja czy choćby pomysł są przekręcane, manipulowane, ponieważ ciągle przypisywane mu są rzeczy, których nie zrobił, on po prostu omija media, komunikuje się z wyborcami bezpośrednio przez Twittera.

I to działa?

Działa bardzo dobrze. Mało się o tym w Polsce mówi, ale Donald Trump ma wśród amerykańskich wyborców poparcie tak mocne, jakie miał George W. Bush w chwili, gdy naród jednoczył się wokół niego po zamachach islamistów w roku 2001. Ma dużą szansę na kolejną kadencję, w ogromnej mierze dzięki temu, że dotrzymał słowa i rozkręcił gospodarkę do poziomu niepamiętanego od dekad. To widać w trakcie kampanii wyborczej do Kongresu, która odbywa się właśnie w Stanach. Nawet establishment Partii Republikańskiej zrozumiał, że te wybory można wygrać, nie tyle odcinając się od prezydenta, jak to było w drugiej połowie kadencji George'a W. Busha, ile właśnie pod sztandarem trumpizmu. Wszystkie te sztormy i burze medialne nie dotyczą spraw najważniejszych dla wyborców.

> Donald Trump wniósł do Białego Domu specyficzny, bardzo biznesowy, model działania. Zaskoczenie przeciwnika, nagłe zwody są tam normą. I Putina Trump tak traktuje, nie gubiąc jednak z oczu podstawowego celu

Media w tym przypadku nie rządzą?

Elektorat republikański rozumie, że dominująca ocena medialna nie jest uczciwa. W Waszyngtonie widać też wyraźnie proces przesuwania się Partii Demokratycznej bardziej na lewo, radykalizacji, choćby w sprawie otwarcia granic dla imigrantów. To zachwyca może niektóre media w Polsce, ale w rzeczywistości bardzo osłabia szanse demokratów na odzyskanie władzy. I jeszcze mocniej oddala ich od tego, czym żyją zwykli Amerykanie, co ich boli, czego oczekują.

To akurat przypomina sytuację w Polsce, z obecną radykalizacją opozycji odrzucaną przez milczącą większość Polaków. Myślę, że to doskonale wie nominowana na nową ambasador USA w Polsce pani Georgette Mosbacher. Naprawdę przestrzegam wszystkich przed uleganiem antytrumpowej histerii. Nie ma ona żadnych podstaw w faktach. Odwrotnie – fakty, czyny prezydenta Trumpa wskazują, że powinniśmy stać przy Trumpie, że to się Polsce i Polakom opłaci.

Szkoda, że nie wybrzmiało to w czasie kryzysu wokół ustawy o IPN.

Było odwrotnie: prezydent Trump nie dał się wciągnąć w nagonkę na Polskę. Oczywiście jego administracja miała w tej sprawie swoją opinię, ale publicznie nie wykonała żadnego wrogiego gestu. Musimy też pamiętać, że niemała część i dyplomacji, i administracji amerykańskiej jest z ducha liberalna, ukształtowana w czasie rządów prezydenta Obamy, co ma swoje konsekwencje. Ale pobrzmiewa w pana pytaniu sugestia, że te relacje mogą być idealne. Trzeba dążyć, by były jak najlepsze, ale zawsze będą napięcia. I musimy umieć, kiedy trzeba, także postawić na swoim. Jeśli zauważamy, że Amerykanie próbują się wtrącać w nasze sprawy wewnętrzne, trzeba to jasno komunikować. Jeśli gdzieś mamy różne punkty widzenia, również.

Podsumowując, mówi pan: Polacy, stójcie przy Trumpie?

Tak, Polacy, polscy patrioci, stójcie przy Trumpie! Mamy wspólnotę wielu interesów, mamy partnera, mamy w Białym Domu prezydenta, który wie o nas, o naszej historii sto razy więcej niż prezydent Obama. Mamy w Ameryce prezydenta, który rozumie powody, dla których Polacy zmienili władzę w 2015 r., bo on sam z podobnych powodów zdobył Biały Dom. I – co ważne – jego wrogowie są naszymi wrogami. Musimy to wszystko widzieć w szerszym kontekście. Trump to może być dopiero początek wielkiej zmiany. W wielu miejscach świata dochodzi do głosu nowe pokolenie, które odrzuca dławiącą wolność polityczną poprawność, które chce mówić o prawdziwych problemach, które się nie boi lewicowo-liberalnych mediów.

eprasa.pl 047454cd83



Fot. Shutterstock

Polska polityka wschodnia nie ma możliwości manewru w jakąkolwiek stronę. Ale to nie jest niczyja wina. To okoliczności wymuszają pasywność na Warszawie

Czas dekoniunktury

eprasa.pl 047454cd83



PIOTR SKWIECIŃSKI

Polska polityka wschodnia, realizowana za czasów rządów PiS, jest dyżurnym chłopcem do bicia. W stopniu, dodajmy, znacznie wyższym niż wszystkie inne polityki obecnego rządu. Bo choć, tak jak i one, jest pokryta totalnym ogniem zaporowym opozycji i jej medialnego zaplecza, to w odróżnieniu od nich również wielu obserwatorów wcale nie antypisowskich, a nawet z wewnątrz formacji IV RP, deklaruje rozczarowanie nią.

Nie uważam owej polityki za genialną, nie sądzę też, aby jej architekci i wykonawcy koniecznie byli artystami w swym fachu. Sam wielokrotnie dawałem wyraz krytycyzmowi wobec niektórych jej aspektów. Trzeba jednak znać miarę. I zauważyć, po pierwsze, uwarunkowania ograniczające – chyba najbardziej od '89 r. – skuteczność owej polityki. A także to, że jest ona zakładnikiem sprzecznych z sobą oczekiwań.

Rozczarowanie polską polityką wschodnią, deklarowane przez osoby z wewnątrz formacji IV RP, ma jedno ze źródeł w pewnym założeniu. Założeniu bardzo charakterystycznym dla krytyki polityki wschodniej rządów PO, dokonywanej przez ówczesną opozycję przed przełomem 2015 r.

Pryncypialnie krytykowano wtedy nieudany – i nieefektywny – dokonywany przez Tuska reset w relacjach z Moskwą, a także widoczne w latach 2007–2012 zmniejszenie znaczenia tradycyjnie przywiązywanego przez Warszawę do relacji z poradzieckimi państwami, leżącymi pomiędzy naszym krajem a Rosją. Krytykowano poniekąd słusznie. Ale w sposób sugerujący, że wszystkie fiaska, jakie ponosiła polityka Sikorskiego, są całkowitą winą ekipy PO, jej złej woli lub nieudolności i że kiedy rządy przejmie „formacja niepodległościowa", polska sprawczość na Wschodzie zwiększy się zasadniczo. Tymczasem nie tylko się nie zwiększyła, lecz wręcz spadła, co przy wcześniejszym rozkręceniu oczekiwań musi boleć. I skłaniać do szukania winnych.

BRAK MANEWRU

Niemniej ów brak sukcesu jest efektem przyczyn obiektywnych. Po pierwsze, typu „nie mamy armat" – czyli po prostu słabego polskiego potencjału. Mówiąc wprost, partnerom na Wschodzie mamy bardzo mało marchewki do zaoferowania, a również nasz kij nie robi zbyt groźnego wrażenia.

Teoretycznie mogłoby być inaczej, gdyby zdecydować się na działania drastyczne. Gdyby na przykład zaoferować Rosji wycofanie naszego sprzeciwu wobec Nord Stream 2, to może coś by się w zamian od niej uzyskało. A wobec Ukrainy nie tylko i nie tyle wycofać polskie tradycyjne dla niej poparcie, lecz na terenie międzynarodowym rozpocząć aktywne działania na jej szkodę. Tylko że to są pomysły w oczywisty sposób i z wszystkich możliwych przyczyn niewykonalne. Podobnie jak niemożliwe byłoby np. pójście w zupełnie odwrotnym kierunku i dodatkowe wyeskalowanie, zaostrzenie działań (choć chyba wyłącznie retorycznych) antyputinowskich czy proukraińskich. Absolutnie niemożliwe jest bowiem podjęcie przez rząd PiS w dziedzinie polityki wschodniej jakichkolwiek działań bardziej zdecydowanych – niezależnie od ich kierunku.

> Nie jesteśmy dla Wschodu bardzo ważni – ale te nieliczne aktywa, które mamy, wykorzystujemy, nie stwarzając sobie nawet możliwości ich politycznego zdyskontowania

Dlaczego? Dlatego, że dowolne zdecydowane działanie w tej sferze spowodowałoby wściekłą kampanię opozycji, tej politycznej i tej medialnej, przy czym stopień tej wściekłości byłby dokładnie taki sam, niezależnie od tego, co PiS by zrobiło. Podejmuje działania przeciw Ukrainie i/lub zmierza do normalizacji stosunków z Rosją? Znaczy – sprzedają Polskę Putinowi i pewnie od dawna świadomie działają na jego rzecz. Zwiększają pomoc dla Ukrainy? Znaczy – są niepoczytalni i chcą wywołać wojnę z Rosją. Pewnie o wrak.

Ale przecież PiS nie dało się poznać jako partia nadmiernie wrażliwa na skierowane przeciw niej kampanie. Uznanie więc, że z racji obawy przed kolejną takową stało się w dziedzinie polityki wschodniej niewolnikiem status quo, nie jest przekonujące – powiedziałby ktoś.

Sęk w tym, że akurat w tej dziedzinie taka kampania mogłaby być skuteczna, i PiS dobrze o tym wie. Zdaje sobie bowiem sprawę, że jeśli idzie o relacje ze Wschodem, poglądy Polaków są bardzo rozbieżne, a ich emocje i obawy – ogromne. Co więcej – że dotyczy to elektoratu PiS w takiej samej mierze jak całego społeczeństwa. Dlatego jakiekolwiek zdecydowane działania akurat w sferze polityki wschodniej, inaczej niż w innych sferach, mogłyby PiS bardzo zaszkodzić. Lepiej więc dryfować. Zwłaszcza – dodajmy – obecnie, kiedy partia została postawiona w stan przedwyborczy i dziesięć razy się zastanowi, zanim uczyni cokolwiek niebezdyskusyjnie koniecznego, co mogłoby zantagonizować jakąś grupę, dotąd niezantagonizowaną.

KOSZT NIEBYCIA LITWĄ

Tym bardziej że przecież instrumenty rząd ma tu wyjątkowo marne. Marniejsze niż rządy poprzednie.

To truizm, ale trzeba go powtarzać, by nie zapomnieć: pozostawanie w konflikcie z UE i najważniejszymi państwami „starej Unii" zmniejsza naszą atrakcyjność dla potencjalnych partnerów na Wschodzie niemal do zera. Rosjanie wiedzą, że w tej sytuacji możemy im zaszkodzić w jeszcze mniejszym stopniu niż niegdyś. Ukraińcy wiedzą,

eprasa.pl 047454cd83

że nasz patronat nic im nie da, co więcej – może zaszkodzić w oczach tych, którzy mogą im pomóc naprawdę. Istnieje stara teza Piłsudskiego, że nasze znaczenie na Zachodzie jest pochodną tego, co sobie samodzielnie zdobędziemy na Wschodzie. Ta formuła jest już nieaktualna; dziś jest właśnie odwrotnie.

Mająca potencjał wielokrotnie mniejszy od Polski Litwa jest nieproporcjonalnie do nas aktywniejsza na Białorusi i Ukrainie. Na tej pierwszej stała się punktem odniesienia i dla władz, i dla opozycji. Na tej drugiej... ktoś, kto po ostatniej wizycie prezydenta Dudy na Wołyniu zrobił prasówkę w kijowskich dziennikach, nie natknął się niemal na żadne o niej informacje. Natknął się natomiast na dwa obszerne wywiady z dwoma byłymi premierami Litwy. Ot tak... o historii i polityce.

Ba, tylko że Litwa wywalczyła sobie w Brukseli zostanie operatorem dużego pomocowego funduszu dla Ukrainy. Rozdaje tam brukselską kasę – to oczywiste źródło i popularności, i wpływów. Czy Polska, z jej obecnymi relacjami z zachodnimi elitami, mogłaby realistycznie liczyć na otrzymanie takiej misji? To niestety pytanie wyłącznie retoryczne.

Trzeba też dostrzec, że z naszymi specyficznymi interesami i obawami dotyczącymi Rosji jesteśmy w regionie niemal osamotnieni. Czego spektakularnym dowodem (jeśli ktoś potrzebował dowodów) była obecność na mundialu w Moskwie głów państw – naszych partnerów z Wyszehradu i Trójmorza, przy demonstracyjnym bojkocie ze strony Warszawy. Czym, dodajmy, trudno było być zaskoczonym – wszyscy (może w jakimś zakresie poza Rumunią) nasi partnerzy z tych inicjatyw należą do nich nie ze względu na ich, zamierzony przez Warszawę, antyrosyjski wymiar, tylko pomimo tego wymiaru – z innych przyczyn.

NIEUNIKNIONE KONSEKWENCJE

Skonstatowawszy to, podkreślmy – to nie jest argument na rzecz tezy, jakoby obecny rząd powinien kapitulować na zachodnim froncie, by zyskać większą efektywność i manewrowość na wschodnim. Bynajmniej tak nie uważam. Centralny ośrodek dyspozycji politycznej uznał, że wywalczenie większej dozy suwerenności wobec zachodnich elit ma priorytet, i nie jest to założenie absurdalne. Tym bardziej że stopień zagrożenia Polski przez Rosję nie jest taki, żeby uzasadniał robienie absolutnie wszystkiego – na przykład dla zyskania obrony przed nią, wkupywania się za wszelką cenę w łaski wielkich zachodnich mocarstw albo poświęcenia wszystkiego dla wsparcia Ukrainy, ani też odwrotnie – zmierzania za wszelką cenę do polepszenia relacji z Kremlem. Niemniej jednak trzeba zdawać sobie sprawę z nieuniknionych konsekwencji świadomej decyzji o zostaniu, w oczach zachodnich elit, państwem heretyckim.



Fot. Shutterstock

Czy z tego wynika, że po prostu nic nie można zrobić, wszystko da się usprawiedliwić okolicznościami zewnętrznymi, można więc spokojnie poczuć się dobrze i spokojnie trwać, może bez poczucia sukcesu, ale i bez przesadnego dyskomfortu? Też nie. Bo można odnieść wrażenie, że nie wykorzystujemy nawet tych skromnych środków, które mamy do dyspozycji.

Kiedy w okresie wojny donbaskiej wróciłem z frontu do Kijowa, ze zdumieniem się zorientowałem, że spośród moich ukraińskich rozmówców, a byli to głównie dziennikarze zajmujący się polityką, niemal nikt w ogóle po prostu nie wie o skali humanitarnej pomocy polskich organizacji społecznych dla Ukrainy. A to czasy, gdy była ona naprawdę spora, gdy na front szły całe transporty polskich kamizelek kuloodpornych i innych elementów wyposażenia, a młodzi polscy dziennikarze i aktywiści (ba – niekiedy też politycy) pod bombami, na pierwszej linii, dzielili los ukraińskich żołnierzy. O tym wszystkim w Kijowie po prostu nie wiedziano.

I takie sytuacje są, niestety, częste. Nie jesteśmy dla Wschodu bardzo ważni – ale te nieliczne aktywa, które mamy, wykorzystujemy, nie stwarzając sobie nawet możliwości politycznego ich zdyskontowania. Jeśli polskie pieniądze są, nawet nie bezpośrednio, tylko w ramach programów międzynarodowych, używane dla wsparcia jakichś sektorów publicznego życia na Ukrainie, to beneficjenci powinni jednak o tym wiedzieć. A bywa, że nie wiedzą.

Przede wszystkim jednak trzeba uznać fakty. A te mówią, że połączenie okoliczności obiektywnych, od Polski niezależnych, i subiektywnych, czyli przez Polskę zawinionych (ale często też nieuniknionych – bywa, że robi się, nawet w pełni świadomie rzeczy, które przynoszą niekorzystne skutki uboczne na jednym polu, bo służą grze na drugim, uznanym za istotniejsze), weszliśmy na Wschodzie w okres trwania i defensywy. Trzeba ograniczać wynikające z tego straty, przełknąć gorycz niespełnienia się wielkich ambicji, robić to, co w tych niekorzystnych warunkach da się zrobić. I czekać na zmianę koniunktury.

Tak niestety po prostu bywa w polityce państw niebędących mocarstwami.

eprasa.pl 047454cd83



Tak cyfryzujemy

Jak zarejestrować narodziny dziecka on-line, kiedy wejdzie w życie e-dowód, czy od 1 października będziemy mogli jeździć samochodem bez dowodu rejestracyjnego?

Z Markiem Zagórskim, ministrem cyfryzacji, rozmawia Dorota Łosiewicz

Nie tęskni pan w resorcie cyfryzacji za rolnictwem?

Marek Zagórski: Tu, gdzie jestem, mam tyle absorbujących i czasochłonnych zajęć, że nie starcza już czasu na takie tęsknoty. Natomiast bardzo miło wspominam okres pracy w Ministerstwie Rolnictwa.

Trafił pan do trudnego resortu. Musi pan współpracować z innymi ministrami, którzy ewentualne sukcesy chętnie wezmą na siebie, tylko ewentualnych porażek nikt raczej nie będzie chciał z panem dzielić.

Na szczęście raczej nie generujemy porażek. A jeśli będą sukcesy, to dlaczego się nimi nie podzielić? A zupełnie serio, to owszem, cyfryzacja rzeczywiście jest taką dziedziną, która jest horyzontalna i przechodzi w poprzek wszystkich innych dziedzin. Od administracji po zdrowie. I jeśli w innych resortach pojawiają się sprawy, w których możemy być pomocni, zawsze staramy się to robić.

Słychać w cyfryzacji echa wojny o Sąd Najwyższy?

Często nie mam czasu oglądać telewizji ani śledzić tego, co się dzieje, za to służbowo śledzę wydarzenia w internecie. Mój resort jest nieco na uboczu tej awantury. Ministerstwo Sprawiedliwości tym sporem żyje na pewno bardziej. To, co widzę ze strony opozycji, napełnia mnie po prostu zażenowaniem. Opozycja potrzebuje mitu, żeby pokazać zło rządzących Polską. Pokazał to już pan Kramek, który rzucał się pod samochód, aby udowodnić tezę o opresyjnym państwie i usprawiedliwić rozpaczliwe wołanie do mitycznego Zachodu o ratunek. Tymczasem protestujący udowadniają jedno: demokracja kwitnie, każdy ma prawo protestować, o ile nie przekracza prawa, np. napadając na policjantów. Spójrzmy, jak reaguje policja we Francji czy w USA na akty wandalizmu. Można powiedzieć, że polska policja zachowuje bezgraniczną cierpliwość.

Jak rozumieć wycofanie poparcia dla Kazimierza Michała Ujazdowskiego przez PO we Wrocławiu?

Tak, że wygra tam kandydat PiS. Widać, że w Koalicji Obywatelskiej są duże tarcia. Wycofanie kandydata, który zaczął z dużym rozmachem, to nic innego jak sygnał do wyborców, że PO nie traktuje ich poważnie. Po ludzku to nawet szkoda mi w tym wszystkim Kazimierza Michała Ujazdowskiego, który wiązał z tym startem jakieś plany i dał się po prostu ograć.

Będzie cenzura internetu?

Nie ma tematu cenzury w internecie. Nie ma żadnego projektu, który wprowadzałby jakieś ograniczenia. Pojawiają się pomysły, by ograniczać dostęp do stron, które pomagają omijać lub wręcz łamać prawo (jak to było w przypadku afery hazardowej). Mamy rejestr stron prowadzony przez Ministerstwo Finansów, więc Ministerstwo Cyfryzacji na wniosek operatorów telekomunikacyjnych zaproponowało, aby był jeden rejestr. Można byłoby z niego korzystać, gdyby np. pojawił się pomysł walki z handlem dopalaczami w sieci. Wówczas dzięki rejestrowi byłoby to łatwiejsze. Nie ma to jednak nic wspólnego z cenzurą w internecie.

eprasa.pl 047454cd83



Fot. Andrzej Skwarczyński

Polskę

Takiej intencji ani nie było, ani nie ma. Posądzanie Ministerstwa Cyfryzacji o to, że niby chciałoby wprowadzać jakąś cenzurę, jest grubym nieporozumieniem! Ale ostatecznie zrezygnowaliśmy nawet z tego technicznego pomysłu i nie ma tematu.

Może więc Komisja Europejska zechce cenzurować internet? Przed wakacjami głośno było o ACTA 2, czyli o przegłosowanym 20 czerwca 2018 r. przez Komisję Prawną Parlamentu Europejskiego projekcie dyrektywy dotyczącej ochrony praw autorskich w internecie. Niektóre artykuły tej dyrektywy budzą szczególne emocje.

Mówimy o instrumencie, który – jeśli zostałby wprowadzony – ograniczyłby nadawcom możliwość rozwoju poprzez stworzenie bariery ekonomicznej. Popularne linkowanie, cytowanie, czyli internet, jaki znamy, wiązałoby się z opłatami, na które wielu mniejszych nadawców nie byłoby stać. To byłoby ograniczenie dostępu do źródeł i groziłoby upadkiem mniejszych nadawców, a skutkiem tego byłaby monopolizacja treści. W tym sensie te przepisy są niebezpieczne. Jednak analogia do ACTA nie jest uzasadniona. Proces legislacyjny jest w toku. Komisja Prawna Parlamentu Europejskiego zaproponowała zaostrzenie przepisów, które wynikały z niedoskonałego kompromisu. Polska nie zgadzała się na ten kompromis, tym bardziej na te restrykcyjne zapisy. Posłowie, którzy głosowali przeciw tym przepisom, zachowali się czujnie.

Skoro przy internecie jesteśmy, to kiedy wszystkie szkoły w Polsce będą mieć bezpłatny, szybki i bezpieczny internet?

Mam nadzieję, że zgodnie z planem, czyli do 2021 r. Teraz pracujemy zgodnie z harmonogramem, przyłączamy pierwsze szkoły do sieci OSE. W 2018 r. będzie to 1,5 tys. lokalizacji, w których są szkoły, co da ponad 2 tys. szkół. Teraz przyłączamy 570 szkół, podpisujemy z placówkami umowy, zdecydowana większość będzie przyłączona w sierpniu i we wrześniu. Mamy wykonawców, mamy zagwarantowane kwestie techniczne. W roku 2019 podłączonych zostanie 12 tys. lokalizacji i reszta w 2020.

2 mln profili zaufanych. To dużo czy mało?

Z tej liczby jestem dumny głównie dlatego, że od stycznia do dziś przybyło ich 700 tys. Ten wzrost wiąże się także z programem Dobry Start. W ciągu jednego weekendu przybyło nam 100 tys. profili. Wzrost ich liczby cieszy, zwłaszcza że gdy przejmowaliśmy władzę w 2015 r., było ich 450 tys. Profil zaufany to nasza cyfrowa tożsamość, czyli bezpłatne narzędzie, dzięki któremu można potwierdzać swoją tożsamość w internecie (służy jako elektroniczny podpis). Za jego pomocą można łatwo, szybko i bezpiecznie wysyłać oraz sprawdzać dokumenty w różnych serwisach urzędowych. To taki nasz klucz, przepustka do cyfrowego świata. Każdy, kto już ma profil zaufany, przekonał się, że to narzędzie, które bardzo ułatwia życie i daje sporą oszczędność czasu.

Czy dzięki temu profilowi można zarejestrować nowo narodzone dziecko w urzędzie?

Można. Taką możliwość mają Polacy od 1 czerwca 2018 r. Wtedy resort cyfryzacji uruchomił nową usługę – rejestracja narodzin dziecka on-line. Wszystko, czego potrzebuje rodzic, to aktualny profil zaufany i kilka minut. Na zarejestrowanie narodzin dziecka rodzice mają 21 dni od dnia wystawienia karty urodzenia. Do tej pory mieli tylko jedną opcję – wizyta w urzędzie. Od 1 czerwca mają wybór – biec do urzędu albo spędzić ten czas z nowym członkiem rodziny. Pamiętam, że sam kiedyś jechałem autobusem godzinę w jedną i drugą stronę. Teraz już nie trzeba tracić czasu. W ciągu niecałych dwóch miesięcy z tej możliwości

eprasa.pl 047454cd83

skorzystało prawie 6 tys. Polaków. Poza wygodą to usługa, która wykorzystuje wszystkie dane o obywatelu, jakie mamy w rejestrach, więc skorzystanie z niej jest naprawdę proste i do wypełnienia mamy praktycznie kilka pól.

Kiedy wejdzie w życie mityczny e-dowód?

Zgodnie z terminem wyznaczonym przez KE w marcu 2019 r. Robimy wszystko, by się udało. E-dowód to wspólny projekt Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Ministerstwa Cyfryzacji. Mam nadzieję, że uda się nadrobić wstyd i zapóźnienie w tej materii, bo projekt ruszył w 2007 r.

Jak będzie wyglądała wymiana dowodów?

Proces wymiany dowodów będzie naturalny, rozłożony na 10 lat. Oczywiście posiadacz dowodu osobistego obecnego wzoru będzie mógł go wymienić na dowód osobisty z warstwą elektroniczną, jeżeli jeszcze przed upływem ważności posiadanego będzie chciał się posługiwać dowodem elektronicznym.

W planach macie także wprowadzenie m-legitymacji szkolnej i studenckiej. Na jakim etapie są te prace? I czy to rzeczywiście potrzebne?

Jesteśmy w okresie testów, a od września wchodzimy w pilotaże. Czy to potrzebne? Wystarczy popatrzeć na studentów i dzieciaki w szkołach. Oni po prostu nie rozstają się ze smartfonami. Mają tam muzykę, filmy, gry, media społecznościowe... Dlaczego nie mieliby mieć swojej legitymacji? To po prostu wygodne rozwiązanie. Ale żadnego przymusu nie będzie. Jeśli ktoś będzie chciał korzystać z takiej legitymacji jak dotąd – proszę bardzo.

Esemes z ostrzeżeniem – czy to skutek tragedii w Suszku?

Poniekąd. W czerwcu wystartował pilotaż systemu ostrzegania esemesami przed zagrożeniami. Dzięki podpisanemu porozumieniu między Ministerstwem Cyfryzacji, Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Administracji, Rządowym Centrum Bezpieczeństwa a przedstawicielami operatorów informacja o niebezpieczeństwie dotrze do wszystkich mieszkańców zagrożonego województwa.

Czy to prawda, że od 1 października będziemy mogli jeździć samochodem bez dowodu rejestracyjnego?

Tak jest! Kierowcy nie będą musieli wozić wspomnianych dokumentów, bo dane pojazdu i informacje o zawartej polisie gromadzone są w CEPiK (Centralna Ewidencja Pojazdów i Kierowców). Uprawnione służby (np. policja, straż miejska czy inspekcja transportu drogowego) podczas kontroli sprawdzą dane w jednej z baz CEPiK, a dokładniej w Centralnej Ewidencji Pojazdów. Nie ma potrzeby, by kierowcy musieli wozić te dokumenty z sobą. Szczególnie że dowód rejestracyjny jest takim dokumentem, który potrafi przysporzyć wiele problemów. Zwłaszcza tym, którzy jednym autem dzielą się z innymi. A przecież takich przypadków jest mnóstwo.

> Nie ma tematu cenzury w internecie. Nie ma żadnego projektu, który wprowadzałby jakieś ograniczenia

Co to jest e-doręczenie i kiedy wejdzie w życie?

E-doręczenie to takie rozwiązanie, które uwolni nas od konieczności odbierania przesyłek poleconych na poczcie. Jeśli ktoś będzie chciał, nadal będzie oczywiście mógł odbierać listy polecone osobiście, ale ci, którzy nie mają czasu albo zwyczajnie nie lubią chodzić na pocztę, będą je mogli dostawać w formie elektronicznej. I to tak, jakby odebrali je osobiście. Przesyłki sądowe czy prokuratorskie również. E-doręczenia zaczniemy wdrażać w przyszłym roku. Dla wielu osób na pewno będzie to spora wygoda. Jednocześnie będzie to znacząca zmiana dla administracji, która stopniowo będzie przechodziła na w pełni elektroniczny obieg korespondencji.

„Zero wykluczenia" to hasło przewodnie ustawy o dostępności cyfrowej, która w lipcu tego roku trafiła do konsultacji społecznych. Co z niej wynika?

Ci z nas, którzy nie mają takich ograniczeń, często nie zdają sobie sprawy, z jak wielkimi problemami muszą się zmagać osoby niepełnosprawne, które chcą korzystać z internetu. Zapoznanie się z treścią prostego dokumentu często jest dla nich wyzwaniem nie do przejścia. Chodzi więc o to, by te bariery stopniowo wyeliminować i by osoby niepełnosprawne też mogły korzystać ze stron administracji publicznej bez ograniczeń. Tym bardziej że czasem wystarczy kilka prostych zabiegów, by osoba, która np. nie widzi, mogła bez problemu korzystać ze strony.

Senat RP przyjął ustawę o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa, implementującą do polskiego prawa dyrektywę w sprawie środków na rzecz wysokiego wspólnego poziomu bezpieczeństwa sieci i systemów informatycznych na terytorium Unii (tzw. dyrektywę NIS). Co to oznacza dla użytkowników cyberświata?

Że będą mieli większą ochronę. Nie jest żadną tajemnicą, że cyberataki to obecnie jedne z najpoważniejszych zagrożeń. Sieć niesie oczywiście wiele korzyści, ale jak to w życiu bywa, niesie też zagrożenia. Chodzi więc o to, by je minimalizować. System, który wprowadza ustawa o cyberbezpieczeństwie, na to pozwala. W jej ramach powstaną trzy zespoły szybkiego reagowania na incydenty w sieci, które będą współpracować. MON zajmie się kwestiami militarnymi, ABW – infrastrukturą krytyczną, a NASK – cywilną. Na pewno da nam to lepszą ochronę i większe możliwości reagowania w razie ataków.

58/0118/F

eprasa.pl 047454cd83

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Najlepszy plan na życie?
Życie pełnią zdrowia

PZU PLAN NA ZDROWIE

eprasa.pl 047454cd83



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gdy Bałtyk kwitnie

Na razie trwa spór nawet co do tego, czym są i jak je zaklasyfikować. Do odkrycia wszystkich tajemnic tych organizmów jest jeszcze bardzo daleko. Śmiała hipoteza mówi, że przybyły przed miliardami lat na Ziemię z Kosmosu. Tymczasem jednak inne ich zagadki mogą się okazać dużo ciekawsze

prasa.pl/47454ed83



Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER

Jeżeli sinice interesują nas jedynie jako wakacyjna uciążliwość, jesteśmy jak dinozaury, które dowiadując się o nadlatującej w stronę Ziemi asteroidzie, narzekałyby, że zepsuje im urlop. Za pojawiającymi się coraz częściej zakwitami kryją się treści dużo poważniejsze niż kolejna zamknięta plaża, będące sygnałem procesów zachodzących w ekosystemie – nie tylko Morza Bałtyckiego.

Najbardziej pouczające jest spojrzenie na sinice i ich sezonowe, masowe pojawy, nazywane zakwitami, z punktu widzenia ekologii. Ekologii rozumianej tradycyjnie, o starogreckim źródłosłowie sięgającym pojęć: oikos – dom oraz logos – nauka; nauka dążąca do poznania funkcjonowania otaczającej nas przyrody, której częścią jesteśmy my sami.

CZYM JESTEŚ, SINICO?

Sinice to liczne gatunki organizmów jednokomórkowych lub tworzących kolonijne struktury o postaci nici albo bezkształtnej masy zawieszonej w śluzie. Cechą wyróżniającą sinice jest samożywność wynikająca ze zdolności do fotosyntezy, podczas której energia słoneczna wykorzystywana jest do produkcji substancji odżywczych – podobnie jak robią to rośliny. Komórki sinic, tak jak komórki bakterii, do których obecnie sinice są zaliczane, pozbawione są jąder komórkowych. Sinice to jedyne organizmy bezjądrowe zdolne do fotosyntezy. Przynależność systematyczna sinic jest niejasna i sporna – zanim przyporządkowano je do bakterii, zaliczane były do roślin, lecz tak naprawdę nie pasują do końca do żadnej z tych grup.

Niekiedy sinice włącza się do grupy określanej jako glony, ewentualnie w formie synonimu jako algi, do której zalicza się... różne bezkształtne rośliny, z którymi botanicy nie wiedzą, co zrobić. Mówienie na zmianę o glonach, algach i sinicach powiększa tylko zamieszanie, gdyż za zakwity wody odpowiedzialne są nie tylko sinice, lecz również niektóre inne spośród owych glonów.

SINICOWA TEORIA ŻYCIA

Przez znaczną część swojej historii Ziemia pozbawiona była życia, aż pojawiły się... sinice. Najdawniejsze ślady ich występowania sięgają ponad 2 mld lat i tym samym organizmy te zaliczane są w poczet jednych z pierwszych na naszej planecie. Zwróćmy uwagę na zdolność sinic, która ujawniła się już w tych pradawnych czasach: zdolność do fotosyntezy.

Według jednej z teorii, nazywanej „teorią endosymbiozy", dawno, dawno temu sinice zostały wchłonięte przez komórki innych organizmów lub w nie wniknęły. Tak powstały rośliny. Sinice, wyposażone w zielony barwnik chlorofil, zachowały swoją zdolność do fotosyntezy, stając się częścią komórek roślinnych – zielonymi chloroplastami odpowiedzialnymi za fotosyntezę.

Jeżeli więc teoria byłaby prawdziwa, sinicom zawdzięczalibyśmy życie na Ziemi, a przynajmniej jego oszałamiającą różnorodność, która nie mogłaby istnieć bez fotosyntezy i zielonej masy roślin.

KIEDY WYMYKAJĄ SIĘ SPOD KONTROLI

Od kilkudziesięciu lat przedmiotem zainteresowania naukowców stała się nieobserwowana wcześniej na taką skalę zdolność sinic do bardzo szybkiego, masowego namnażania się, nazywanego zakwitem i – w przypadku niektórych gatunków – produkcji silnych toksyn.

Trucizny wytwarzane przez sinice porażają system nerwowy, uszkadzają narządy wewnętrzne i są niebezpieczne dla ludzi zarówno w przypadku kąpieli w opanowanej przez sinice wodzie, spożywania samej wody, ryb i owoców morza z niej pochodzących, a nawet w przypadku bliskiego sąsiedztwa porażonych zbiorników. Toksyny te mają tendencję do akumulowania się w porażanych organizmach, osiągając coraz wyższe stężenie w kolejnych ogniwach łańcucha pokarmowego. O truciznach produkowanych przez sinice wciąż jeszcze wiemy niewiele. Zdarza się, że w obrębie jednego gatunku występują szczepy toksyczne i nietoksyczne.

Zakwity sinic mają także konsekwencje dla ekosystemów, a jednocześnie są sygnałem zaburzeń w nich zachodzących. Należy zwrócić uwagę na to, że Bałtyk, morze niewielkie, płytkie i niemal zamknięte, ma wyjątkowo mały potencjał obronny przeciwko takim zagrożeniom i wymaga szczególnej ochrony oraz szybkiego reagowania. Powierzchnia Bałtyku porównywalna jest z powierzchnią Morza Kaspijskiego i Czarnego, jednak podczas gdy średnia głębokość Morza Kaspijskiego to 184 m, a Czarnego aż 1149 m, średnia głębokość Bałtyku

eprasa.pl 047454cd83

to zaledwie 60 m. Cykl wymiany wody w nim to 24 lata.

Masowe zakwity sinic, połączone często z zakwitem innych glonów, zagrażają ekosystemowi nie tylko poprzez wydzielane toksyny. Olbrzymia masa, przykrywając powierzchnię, odcina dostęp światła do głębszych warstw wody. Fotosynteza na niższych poziomach wówczas ustaje, ilość tlenu w wodzie spada. Tlen pochłaniany jest dodatkowo podczas rozkładu obumierających sinic. Woda bez tlenu zamienia się w pustynię.

Wymiana wody z Morzem Północnym jest bardzo ograniczona. Większe wlewy słonych wód północnych zdarzają się tylko co kilka lat. Jako bardziej słone i cięższe wody z Morza Północnego opadają na dno, odświeżając przydenne poziomy bałtyckie. Jednak nawet bez zakwitu sinic zapasy tlenu przy dnie kończą się po pół roku. Masowe pojawienie się sinic znacznie pogłębia te problemy, sprawiając, że olbrzymie obszary naszego morza stają się martwe – całkowicie. Obumierają i tak rzadkie na Bałtyku podwodne łąki, stanowiące ostoję bioróżnorodności. Giną wszelkie morskie organizmy, a rozkład powiększa jeszcze spustoszenie, pochłaniając resztki tlenu i podnosząc stężenie trujących gazów, w tym siarkowodoru.

Dlaczego w ogóle dochodzi do zakwitów? To zjawisko nowe, obserwowane od kilkudziesięciu lat. Dużą rolę odgrywa z pewnością eutrofizacja wody, czyli niekorzystne zwiększanie jej żyzności, sprzyjające rozwojowi glonów i sinic. Ponad jedna trzecia wody trafiającej każdego roku do Bałtyku, tj. 470 km^3, pochodzi z rzek, które w większości są skażone, w tym zanieczyszczeniami organicznymi. Duży udział w przekraczaniu żyzności Bałtyku mają nawozy sztuczne spłukiwane z pól do rzek.

EFEKT DOMINA

Zakłócenia ekosystemowe mają samonapędzający się charakter. Zniszczenie jednego elementu jest jak potrącenie kostki domina. W bałtyckich problemach duży udział mają także zaburzenia właściwej struktury i proporcji poszczególnych poziomów troficznych. W ekosystemie, stosując model uproszczony, u podstawy znajdują się producenci przechwytujący energię słoneczną i przetwarzający ją na biomasę. W morzu funkcję tę pełnią przede wszystkim glony (zostańmy przy tym nieprecyzyjnym, lecz wygodnym, określeniu). Glonami, czyli planktonem roślinnym (fitoplanktonem), żywi się zooplankton. Sam z kolei jest pożywieniem dla drobnych ryb i całej masy morskich organizmów, na szczycie których znajdują się duże drapieżniki: w przypadku Bałtyku są to zarówno większe ryby – dorsze czy łososie – jak i foki szare, rzadkie morświny, ptaki morskie itp.

> Masowe zakwity sinic, połączone często z zakwitem innych glonów, zagrażają ekosystemowi nie tylko poprzez wydzielane toksyny

Zaburzenia poszczególnych poziomów przenoszą się na pozostałe, powodując dalekosiężne, nieprzewidywalne i w dużym stopniu niepoznane konsekwencje. Pamiętając, że każdy ekosystem ma swoją specyfikę, warto się przyjrzeć modelowemu przykładowi fińskiego jeziora Vesijärvi, opisanemu w monumentalnej „Biologii Campbella". Przez wiele lat, w okresie powojennym, jezioro zanieczyszczone było ściekami. W latach 70. XX w. zanieczyszczenia zlikwidowano, jednak wkrótce po tym, od roku 1986, zaczęło dochodzić do masowych zakwitów sinic. Jednocześnie zaobserwowano wielokrotne zwiększenie liczebności płoci.

Mogłoby się wydawać, że po zlikwidowaniu zanieczyszczeń wzrost liczby ryb jest dobrym znakiem. Niekoniecznie. Płocie pożerają zooplankton, który z kolei żywi się fitoplanktonem, czyli glonami i sinicami. Zbyt liczne płocie wytępiły zooplankton. Pozbawione naturalnego regulatora glony i sinice mnożyły się ponad miarę, jezioru groziła katastrofa. Zdecydowano się na drastyczną – wydawałoby się – ingerencję, usuwając z jeziora 80 proc. płoci (ponad milion kilogramów ryb). Jednocześnie zwiększono liczebność drapieżnych sandaczy polujących na płocie. Wraz ze spadkiem liczebności płoci ponownie wzrosła ilość zooplanktonu, który przywrócił do normy glony i sinice – zakwity ustały. Ten przykład tzw. biomanipulacji – przy założeniu, że przedstawiony jest w uproszczeniu; że każdy ekosystem jest inny i że nieprzemyślana ingerencja kończy się dużo gorszą katastrofą (Finowie postawili nie tyle na ingerencję, ile na przywrócenie naturalnych proporcji) – pokazuje, iż źródłem zakwitów sinic w Bałtyku może być m.in. zaburzenie zależności pomiędzy poszczególnymi elementami: od alg, przez meduzy, omułki, śledzie, aż po ludzi.

Swój udział w zakwitach sinic mogą mieć również zmiany temperatury wody i niekoniecznie należy od razu rozpoczynać dyskusję, czy klimat się ociepla, czy też nie. Wystarczy zaburzenie prądów morskich albo jeszcze prostsza przyczyna – zwiększenie ilości zawiesin w wodzie, zmiana jej zabarwienia i w konsekwencji zwiększenie absorpcji promieniowania słonecznego.

O JEDEN MOST ZA DALEKO?

Środowisko morskie kryje przed nami wiele tajemnic, tak samo jak zagadką jest nasz wpływ na nie. Każdy ekosystem, również ekosystem całej naszej planety, ma ograniczoną pojemność i odporność. Gdzieś znajduje się granica, którą da się przekroczyć – w jedną stronę.

Z niektórymi zjawiskami, takimi jak zakwity sinic, mierzymy się już teraz. Na razie skala żadnego z nich nie zagroziła życiu na Ziemi jako całości. Z innymi, w przypadku których nie ma żadnych wątpliwości co do naszej za nie odpowiedzialności – w tym z wszechobecnością molekuł plastiku w morzach i oceanach, nawet w największych ich głębiach i najdalszych zakątkach – przyjdzie nam się zmierzyć już wkrótce. Czy konsekwencje ich lekceważenia nas nie przerosną? A może raczej: za którym razem?

25/0718/F

eprasa.pl 047454cd83



Złap Waszą piłkę!

Tankuj, kupuj i odbierz w atrakcyjnej cenie!*

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych lub 4900 punktów VITAY.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

*Sprzedaż promocyjna do 05.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orlen.pl.

eprasa.pl 047454cd83

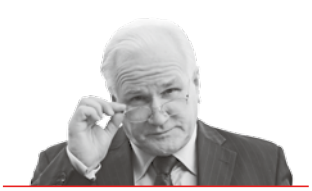


„Jestem Niemcem, gdy wygrywamy; gdy przegrywamy, staję się imigrantem” – poskarżył się Mesut Özil, zanim ogłosił swą rezygnację z występowania w piłkarskiej kadrze Niemiec

Fot. Shutterstock

Czysty Niemiec

„No i dobrze, Özil od lat grał gównianą grę” – skwitował rezygnację piłkarza tureckiego pochodzenia z gry w niemieckiej reprezentacji szef klubu piłkarskiego Bayern Monachium Uli Hoeness. Za sprawą tego „tureckiego Niemca” między Odrą a Renem na nowo rozgorzała burzliwa dyskusja o tym, kto może być Niemcem i co to znaczy



PIOTR CYWIŃSKI

Kim jest Mesut Özil? Jest niemieckim Turkiem albo tureckim Niemcem – jak się określa w RFN dzieci imigrantów nawet w trzecim pokoleniu. Ten do tej pory reprezentacyjny piłkarz, z którym niemiecka kadra zdobyła w Brazylii mistrzostwo świata, urodził się i dorastał w dzielnicy Bismarcka w Gelsenkirchen. Jego ojciec Mustafa i brat Mutlu pomagali mu w karierze w roli sportowych doradców i menedżerów”.

Ojciec Mesuta miał dwa lata, gdy jego rodzice, czyli dziadkowie piłkarza, dotarli z Turcji do Nadrenii Północnej-Westfalii. Z racji pochodzenia młody Özil miał turecki paszport, który oddał dopiero w 2007 r., przy ubieganiu się o niemieckie obywatelstwo. Czy urodzony i wychowany w Niemczech czuł się Niemcem? Czy będąc piłkarzem niemieckiej reprezentacji, śpiewał niemiecki hymn? Nie śpiewał, a na pytania o tożsamość narodową odpowiadał wymijająco: „W moim życiu więcej czasu spędziłem w Hiszpanii niż w Turcji, czy w związku z tym stałem się niemiecko-tureckim Hiszpanem czy hiszpańsko-niemieckim Turkiem? Dlaczego ciągle myślimy w kategoriach granic? Chcę być mierzony jako piłkarz, piłkarstwo jest międzynarodowe, to nie ma nic wspólnego z rodzinnymi korzeniami”.

Czy rzeczywiście nie ma? Czy rzeczywiście piłka łączy i zaciera narodową tożsamość? Formalnie, z chwilą powołania np. do reprezentacji – owszem, ale nieformalnie można mieć uzasadnione wątpliwości.

TERAPIA STADIONOWA

Starania Mesuta Özila o niemieckie obywatelstwo zbiegły się z fenomenem odradzania się u naszych zachodnich sąsiadów tłumionego od czasu II wojny światowej poczucia dumy narodowej, a równocześnie ze szczytowym okresem zachłyśnięcia się eksperymentem budowy społeczeństwa multikulturowego. Wbrew pozorom jedno nie wyklucza drugiego.

Niemcy byli wówczas organizatorami piłkarskich mistrzostw, kraj ogarnęło flagowe szaleństwo – czarno-czerwono-złote barwy widniały w oknach, na samochodach, na twarzach kibiców, a nawet na piersiach i pośladkach niemieckich turystek na włoskim wybrzeżu czy Wyspach Kanaryjskich. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że do odzyskania poczucia tożsamości, więzi narodowej, wspólnoty przez niemieckie społeczeństwo przyczyniła się reprezentacja, której siłę stanowili piłkarze obcego pochodzenia, co nie bez znaczenia, zwycięscy piłkarze. Zwolennicy multikulti przeżywali swoje najlepsze dni: oto wielobarwnej drużynie Joachima Löwa udało się uzyskać to, czego latami nie potrafili osiągnąć politycy...

Mistrzostwa piłkarskie sprzed dziesięciu lat stały się zbiorową terapią Niemców z powojennej „samoudręki”

eprasa.pl 047454cd83

i historycznych kompleksów. Renomowany historyk Hans-Ulrich Wehler, autor pięciotomowej „Historii niemieckiego społeczeństwa", zafascynowany fenomenem odrodzenia wśród rodaków wiary we własne siły i poczucia wartości, komentował: „Emocje sportowe to taki niegroźny erzac nacjonalizmu. Piłkarscy kosmopolici uczą kibiców, że narodowa identyfikacja nie musi oznaczać ani rasy, ani więzów krwi, ani koloru skóry czy różnic wyznaniowych".

Teoretycznie narodowościowe różnice w ówczesnej drużynie Löwa zostały zatarte, reprezentacja RFN wyglądała jak włoska pizza: turecki Niemiec Mesut Özil, polscy Niemcy Mirosław Klose i Łukasz Podolski, brazylijski Niemiec Cacau (Claudemir Jeronimo Barretto), tunezyjski Niemiec Sami Khedira, nigeryjski Niemiec Dennis Aogo, ghański Niemiec Derek Boateng itd. „I Löw you!" – wypisywali Niemcy ogarnięci bezgraniczną miłością do swego zwycięskiego trenera Joachima Löwa. Ile w tym było prawdziwej euforii, a ile obłudy?

ZA, A NAWET PRZECIW

Można odpowiedzieć pytaniem: a co by było, gdyby kolorowa reprezentacja RFN odpadła w przedbiegach, jak na niedawnych mistrzostwach w Rosji? Atmosferę z 2006 r., sprzed niemieckiego mundialu, ilustruje transparent umieszczony na stadionie w Dortmundzie, w ramach odgórnie zarządzonej walki z rasizmem i ksenofobią – wielki napis głosił: „Nie mam nic przeciw obcokrajowcom!", pod którym ktoś domalował: „Póki strzelają dla nas bramki!". Na zewnątrz wyglądało wszystko cacy, ale cacy nie było. Przed rozpoczęciem rozgrywek neonaziści ze Związku Ochrony Niemiec (Schutzbund Deutschlands) rozlepili w miastach podobizny reprezentanta RFN, pochodzącego z Ghany piłkarza Schalke 04 Geralda Asamoaha, z podpisem: „Ty to nie Niemcy!". Było to odniesienie do medialnej akcji pod hasłem: „Ty jesteś Niemcami!" („Du bist Deutschland!"), krzewiącej „nowoczesny patriotyzm" w coraz bardziej zróżnicowanym społeczeństwie RFN.

Jak wyglądał ten „nowoczesny patriotyzm" w praktyce, mógłby opowiedzieć ciemnoskóry piłkarz FC Sachsen-Leipzig Adebowale Ogunbure, który po meczu w Halle został obrzucony przez „narodowców" bananami i wyzwiskami: „Czarna małpo, won do Afryki!". Zirytowany Ogunbure wzniósł w ich kierunku rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Kilka minut później leżał skopany na trawie. Obiektem ataku był też ciemnoskóry reprezentant RFN Patrick Owomoyela. Obecna w wielu landowych władzach komunalnych Narodowodemokratyczna Partia Niemiec (NPD) wydrukowała ulotki z jego numerem i dopiskiem: „Biały nie tylko na koszulce!". „I to ma być ten czysty Niemiec...?" – kpili jej działacze. Owomoyela, syn Niemki i Nigeryjczyka, złożył skargę do prokuratury o podżeganie do nienawiści rasowej. Policja zabrała z centrali NPD w berlińskiej dzielnicy Köpenick kilka tysięcy takich ulotek przygotowanych do wysyłki.

Fala napaści na cudzoziemców zobligowała byłego rzecznika rządu federalnego Uwe-Karstena Heyego do ostrzeżenia ciemnoskórych gości piłkarskich mistrzostw w RFN, że z niektórych miejsc „mogą nie ujść z życiem". Na rzecznika spadł grad krytyki za kalanie własnego gniazda. Niemieccy politycy starali się zamieść nabrzmiały problem pod dywan. Początkowo berlińskie MSW rozważało wydrukowanie dla obcokrajowców mapek z zaznaczonymi no-go-areas, których powinni unikać z uwagi na wzmożoną aktywność neonazistów. W języku tych ostatnich są to „narodowoczyste strefy", skąd udało im się wygonić imigrantów. Ostatecznie rząd zrezygnował z ostrzegania, które „byłoby szkodliwe dla wizerunku Niemiec" i na mundial 2006 wybrano hasło: „Niemcy – krajem gościnnym".

DZWONKI ALARMOWE

„Jestem Niemcem, gdy wygrywamy; gdy przegrywamy, staję się imigrantem" – poskarżył się Mesut Özil, zanim ogłosił swą rezygnację z występowania w piłkarskiej kadrze RFN. Problem jednak także w tym, na ile on sam czuł się Niemcem, a na ile... Turkiem. Przed rozgrywkami w Rosji Özil i jego kolega İlkay Gündoğan, również urodzony w Gelsenkirchen (obaj grają dziś w lidze angielskiej), pozowali do zdjęć z goszczącym na wyspach prezydentem Recepem Tayyipem Erdoğanem. Było to jak manifestacja ich poparcia dla tureckiego satrapy. Na Özila i Gündoğana spadły w Niemczech lawina krytyki (wyraziła ją nawet kanclerz Angela Merkel) i żądania usunięcia z reprezentacji. Jedynie trener Löw usiłował tłumaczyć, że kadrowicze obcego pochodzenia mają rozterki, bo w ich piersiach „biją dwa serca". Można rzec, bardzo ładnie opakowany konflikt lojalności...

Integracja nie jest jezdnią jednokierunkową. „To katastrofa" – zareagował ostrymi słowami prezes Bayernu Hoeness. W jego oczach Özil był „alibi-piłkarzem", co „nie ma nic wspólnego ze sportem", i jako sportowiec nie miał „nic do szukania w reprezentacji narodowej". Na te słowa zareagowała federalna minister kształcenia Anja Karliczek z chadeckiej partii CDU, która zaleciła przeprowadzenie „integracyjnej debaty" w... Niemieckim Związku Piłki Nożnej (DFB). Tak jakby problemy z integracją napływowej ludności z różnych kręgów kulturowych do Niemiec były kłopotem tylko tej instytucji. Głos w sprawie zabrała na Twitterze także federalna minister sprawiedliwości, socjaldemokratka (SPD) Katarina Barley – można rzec: „Po linii i na bazie"... Jej zdaniem rezygnacja Özila z gry w kadrze to „dzwonki alarmowe", bo źle się dzieje, jeśli piłkarz nie czuje się dobrze... W rozgorzałej dyskusji nie zabrakło też reakcji Ankary. Turecki minister sportu Mehmet Kasapoglu skomentował z uznaniem: „Z całego serca popieramy honorową postawę naszego brata Mesuta Özila". Gratulacje złożył mu również minister sprawiedliwości Abdulhamit Gül, rzecznik Erdoğana Ibrahim Kalin przekazał zaś radość prezydenta z chęci ponownego spotkania z niemieckim piłkarzem.

Poseł rządzącej w Turcji, prezydenckiej partii AKP, de facto wychowany w Niemczech syn tureckiego gastarbeitera, Mustafa Yeneroğlu, który po studiach prawniczych wrócił do kraju pochodzenia, podsumowuje, że afera z Özilem obnaża o wiele większy i poważniejszy problem, jaki Niemcy mają z akceptacją tożsamości milionów imigrantów. To akurat prawda, tyle że każdy rozumie ją po swojemu...

eprasa.pl 047454cd83

Krajobraz po upadku rewolucji



Chociaż syryjski tyran rękami Rosjan i Persów spacyfikował skierowane przeciw sobie powstanie, to cena, jaką za to musi dziś płacić, jest straszliwa



JAN ROKITA

Po siedmiu latach krwawych zmagań dobiega końca ostatni akt rewolucji arabskiej. Rządowa armia syryjska likwiduje właśnie krok po kroku powstańcze enklawy, którym – tak jak w południowo-zachodniej prowincji Dara – udawało się utrzymać przez całe siedem lat. W mediach można oglądać zdjęcia żołnierzy sił rządowych zatykających czerwono-biało-czarne flagi z zielonymi gwiazdami, zarówno w Darze na pograniczu jordańskim, jak i na Wzgórzach Golan, w maleńkiej prowincji Kunejtra, tuż nad samą granicą Izraela. Z tej niewielkiej części Wzgórz Golan, jaką Syrii udało się zachować po wojnie Jom Kippur z 1973 r., widać Galileę wraz z ewangelicznym Jeziorem Tyberiadzkim, a ostrzeliwać można stamtąd co najmniej 1/3 terytorium Izraela. We władaniu powstańców pozostaje coraz bardziej izolowana zachodnia prowincja Idlib, położona na północ od Damaszku, nad granicą turecką, i tam też reżim Asada przymusowo deportuje tych spośród pokonanych powstańców, którzy składają akty kapitulacji.

Poza kontrolą wojsk Baszszara Asada oraz jego rosyjskich i perskich sprzymierzeńców pozostaje spora część północnej Syrii, a więc kurdyjska Rożawa, gdzie bazy lotnicze mają Amerykanie i Francuzi, oraz pograniczna turecka strefa okupacyjna, zajęta w wyniku antykurdyjskiej operacji zarządzonej przez prezydenta Recepa Erdoğana. Tu i ówdzie znajdują się jeszcze minimalne enklawy powstańcze bronione przez Amerykanów, spośród których politycznie najciekawszą jest pustynna oaza Al-Tanf, przy samej granicy syryjsko-irackiej, której wyjątkowość polega na tym, iż blokuje ona autostradę prowadzącą z Damaszku przez Bagdad do Teheranu. Ilekroć zbliżają się tam wojska Asada, tylekroć są bombardowane przez Amerykanów, którzy najwyraźniej nie zamierzają na razie otwierać drogi dla handlu i transportu perskiego.

„ROSYJSKI PROTEKTORAT"?

W nowej sytuacji dogasającej rewolucji i wojny domowej Waszyngton ma w Syrii dwa jasno sprecyzowane interesy polityczne. Pierwszym i najważniejszym jest zapewnienie bezpieczeństwa Izraelowi. W Jerozolimie nie tyle obawiają się zwycięskiego Asada, z którym państwo żydowskie pozostaje w formalnym stanie niezakończonej wojny od 1973 r. Chociaż syryjski tyran rękami Rosjan i Persów spacyfikował skierowane przeciw sobie powstanie, to cena, jaką za to musi dziś płacić, jest straszliwa: przeobrażenie bogatego niegdyś kraju w gigantyczne gruzowisko oraz całkowita zależność od obu „aliantów", którzy na dobre zainstalowali się w jego kraju. Trudno więc przypuszczać, aby w takich warunkach Asad myślał o wznowieniu wojny z Żydami w jakiejkolwiek formie.

> Amerykańscy wojskowi konsekwentnie odkładają na bliżej nieokreśloną przyszłość termin wyjścia swoich żołnierzy z Syrii

Izraelski premier Beniamin Netanjahu też nieźle się zabezpieczył w Moskwie, trzykrotnie w ciągu ostatniego półrocza odwiedzając na Kremlu Władimira Putina i zyskując odeń nie tylko gwarancje bezpieczeństwa od strony operujących w Syrii wojsk rosyjskich, lecz także co najmniej przyzwolenie na atakowanie na terytorium syryjskim wojsk perskich i sprzymierzonych z nimi milicji szyickich, takich jak Hezbollah, który od lat walczy z państwem żydowskim na śmierć i życie. Największa zbrojna akcja, jaką Izrael przeprowadził przeciw nim w ciągu tego roku, nastąpiła w lutym, bezpośrednio po pierwszych odwiedzinach Kremla przez Netanjahu. Izraelskie dowództwo przestrzegało wtedy, że „Syryjczycy igrają z ogniem, pozwalając Iranowi na atakowanie Izraela ze swego terytorium". Zarówno w Jerozolimie, jak i w Waszyngtonie boją się naprawdę tego, że perscy ajatollahowie, przyparci na powrót do muru amerykańskimi sankcjami, zechcą wykorzystać nową sytuację w Syrii, aby wziąć odwet na izraelskich miastach i nękać je nieustannymi atakami rakietowymi.

Taki scenariusz byłby prawdziwą polityczną klęską Amerykanów w Syrii. Nie dziwota, że w trakcie sławetnej konferencji prasowej w Helsinkach Donald Trump przyznał, iż w rozmowie w cztery oczy z Putinem nalegał na rosyjskiego prezydenta, aby nie dopuścił do takiego rozwoju zdarzeń. Wynik tych nalegań na razie nie jest wystarczająco jasny, chociaż w mediach mnożą się spekulacje na temat oddania Syrii Putinowi jako „rosyjskiego protektoratu" w zamian za nową antyirańską politykę Kremla. Obszernie pisał o tym m.in. John Bradley na łamach „The Spectator", ale wszystko to bardziej wygląda na publicystyczne klechdy niźli realną politykę. To, co w tych klechdach pozostaje twardą polityczną realnością, to fakt, iż eliminacja Iranu z rynku surowców energetycznych za pomocą amerykańskiej blokady jest wspólnym

Fot. quetions123/Shutterstock.com

eprasa.pl 047454cd83

interesem zarówno Amerykanów, jak i Rosjan. Tym bardziej że tym ostatnim wizja dostaw perskich do Europy wyraźnie przeszkadza w dalekosiężnych planach uzależnienia Turcji i Unii Europejskiej od surowców rosyjskich.

Ekspansywna polityka Teheranu stwarzająca zagrożenie dla dwóch kluczowych sojuszników Ameryki w regionie – Izraela i Arabii Saudyjskiej – legła u podstaw powrotu Ameryki do represyjnej polityki blokady ekonomicznej Iranu. Zrywając zawarty przez Obamę układ z Persami, prezydent Trump chełpił się nieco na wyrost, iż wznowienie blokady rychło zmusi Teheran do powrotu do stołu i zgody na amerykańskie warunki nowej umowy o denuklearyzacji kraju. Na razie jednak nic na to nie wskazuje. Uważany za polityka umiarkowanego perski prezydent Hasan Rouhani ostrzegł właśnie Amerykanów, iż „wojna z Persją jest matką wszystkich wojen", po czym dzień później zagroził wojskową blokadą cieśniny Ormuz, jeżeli Ameryka rzeczywiście zmusi świat do niekupowania perskiej ropy naftowej. „Jeśli ropa z Iranu nie będzie eksportowana, żaden kraj w regionie nie będzie jej eksportować" – zapowiada Rouhani. Najwyższy przywódca kraju zaś ajatollah Chamenei publicznie zakazuje rządowi jakichkolwiek negocjacji z USA, gdyż – jak mówi – „podpis Ameryki pod traktatami nie jest nic wart".

Ale Persowie zdają sobie doskonale sprawę z tego, że próba zaminowania przesmyku Ormuz oznacza nieuchronne starcie zbrojne z Ameryką, czego raz już doświadczyli w 1988 r. Tymczasem sekretarz stanu Michael Pompeo otwarcie przyznaje, iż w Waszyngtonie wyczekuje się na rewolucyjne obalenie reżimu przez samych Persów. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że są to tylko oderwane od realiów pobożne życzenia ekipy Trumpa. Albo raczej celowa propaganda, będąca częścią amerykańskiej wojny hybrydowej prowadzonej przeciw Teheranowi. Tak czy owak blokowanie rozrastających się wpływów perskich jest (obok zapewnienia bezpieczeństwa Izraelowi) drugim priorytetowym interesem politycznym USA w całym bliskowschodnim regionie.



Fot. Tomas Davidov/Shutterstock.com

AMERYKAŃSKIE DYLEMATY

Zaostrzający się konflikt odbija się pośrednio na sprzymierzonym z Ameryką Iraku. Po tym, jak majowe wybory wygrał tam nawrócony na sojusz z Zachodem Muktada as-Sadr, zwolennik szyickiej polityki prowadzonej niezależnie od Teheranu, w połowie lipca Persowie zablokowali dostawy elektryczności do Iraku i w szczycie letniej suszy zmniejszyli poziom wody w dopływach Tygrysu, przebiegających z Iranu do Iraku. Podobne ograniczenia dopływu wody zastosowali Turcy, nieoczekiwanie rozpoczynając napełnianie wielkich zbiorników tamy Ilisu na Tygrysie. Efektem stały się sprowokowane brakiem wody i prądu rozruchy w Iraku, w których są już pierwsze ofiary śmiertelne. Charyzmatyczny, ludowy przywódca irackich szyitów, jakim jest dziś Muktada as-Sadr, nazwał te rozruchy „rewolucją głodnych". Podzielony wewnętrznie Irak nie jest w stanie wyłonić po wyborach nowego rządu, a na dodatek stoi w obliczu katastrofalnej suszy i rewolty socjalnej. Tymczasem żaden z sąsiadów Iraku nie jest dziś zainteresowany, aby w Bagdadzie umocniła się suwerenna i sprzymierzona z Amerykanami władza, zdolna do odbudowy kraju, a zwłaszcza jego wielkiego potencjału naftowo-gazowego. Podczas czerwcowego Polsko-Irackiego Forum Biznesowo-Inwestycyjnego w Warszawie iracki minister ds. ropy Dżabbar Luajbi przewidywał, że wkrótce jego kraj będzie zdolny stać się drugim (po Arabii) producentem ropy naftowej na świecie. Potężni sąsiedzi z Teheranu, Ankary i Moskwy nie są tym jednak zupełnie zainteresowani.

Od kilku miesięcy trwają też spekulacje na temat całkowitego wycofania się wojsk amerykańskich z Syrii, rozbudzone głośną zapowiedzią Trumpa w kwietniu podczas wiecu w stanie Ohio („Soon, very soon"). Helsińska dwugodzinna konferencja Trumpa z Putinem w cztery oczy jeszcze bardziej rozbudziła tego rodzaju przewidywania. Jest jasne, że w obliczu likwidacji Państwa Islamskiego oraz militarnego zwycięstwa Rosjan Trump chętnie zdjąłby z Ameryki wszelką odpowiedzialność za dalszy polityczny los Syrii i konieczną odbudowę zrujnowanego kraju. Jednak dwa kluczowe interesy USA w Syrii – tzn. bezpieczeństwo Izraela i blokowanie Iranu – pozostają w sprzeczności z pragnieniem Trumpa. Amerykańscy wojskowi (w tym sekretarz obrony gen. James Mattis) konsekwentnie odkładają na bliżej nieokreśloną przyszłość termin wyjścia swoich żołnierzy z Syrii. Ostatnio zaś najważniejszy doradca prezydenta John Bolton, odpowiedzialny teraz także za organizację następnej konferencji Trumpa z Putinem, sformułował (zapewne z premedytacją) niemożliwy do spełnienia warunek wycofania się Amerykanów. Jego zdaniem będzie to możliwe „tylko wówczas, jeśli Iranu nie będzie już w ogóle w Syrii".

Tymczasem zdeterminowani na konfrontację perscy ajatollahowie właśnie w Syrii, skąd mogą grozić Izraelowi, upatrują punkt swojej strategicznej przewagi nad Ameryką. Mało prawdopodobne, aby któraś ze stron rychło ustąpiła tutaj pola znienawidzonemu wrogowi.

eprasa.pl 047454cd83

Odc. 7/12

Cykl dodatków o niezwykłych ludziach, którym Polska zawdzięcza Niepodległość



Herold naszej świętej sprawy

niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU
PARTNERZY DODATKU

PZU
ALIOR BANK
Bank Pekao
LOTOS
PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

fot. NAC

Mecenas Stanisław Patek

Obrońca Polaków i Polski

Tomasz Łysiak

Założył w roku 1905 Koło Obrońców Politycznych. Polscy adwokaci zrzeszeni w Kole bronili patriotów, bojowców i rewolucjonistów stawianych przed obliczem sądów rosyjskich i oskarżanych w procesach, w których groziła (zasądzana często) kara śmierci. Byli w tym Kole tacy słynni członkowie międzywojennej palestry jak Leon Berenson i Eugeniusz Śmiarowski. Sam bronił w licznych procesach polskich patriotów – stawał na linii między żywiołem polskim a rosyjskim aparatem sądowniczym, urzędniczym i siłami represji okupanta. Wielu wybronił od śmierci, innych ochraniał słowem do samego końca, nawet gdy nie udawało się uniknąć najgorszego. Ale zawsze przy okazji walk sądowych mówił o tych wartościach, które przyświecały Polakom walczącym o niepodległość, i w tej mierze stawał się nie tylko bojownikiem na polu prawa, lecz także heroldem „naszej świętej sprawy”

Nie sposób mówiąc o nim, nie wspomnieć o tych wspaniałych prawnikach, którzy bronili Polaków oskarżanych przez sądy PRL za działalność podziemną, o postaciach pokroju mec. Andrzejewskiego czy mec. Johanna. Takie porównanie do współczesnej rzeczywistości zawsze przybliża i otwiera wyobraźnię na wagę i siłę działań adwokatów na początku XX w. – gdy wyroki śmierci szły w dziesiątki i setki. Ale mec. Stanisław Patek (1866–1944), który jest głównym bohaterem tego odcinka cyklu, zapisał się w historii Polski nie tylko jako obrońca bijący się na wokandzie o swoich rodaków, lecz także, już po 1918 r., jako znakomity dyplomata.

„Od 1905 r. współpracował z Józefem Piłsudskim i jako jego przedstawiciel brał udział w konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r. – przedstawia go we wstępie do biografii prof. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska. – W czasie wojny z bolszewikami w 1920 r. pełnił funkcje ministra spraw zagranicznych. W latach 1921–1926 był posłem w Tokio, a do 1924 r. w Pekinie, w latach 1927-1932 w Moskwie, a od 1933 do 1936 r. ambasadorem w Waszyngtonie i posłem na Kubie. W 1936 r. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej powołał go do Senatu RP”.

Mecenas Stanisław Patek jest jednak właściwie nieznany i jego nazwisko niewiele mówi Polakom. Dzisiejsza o nim opowieść to hołd dla niego jako przedstawiciela wspaniałych polskich prawników oraz dyplomatów, którzy walczyli także, chociaż nie z karabinem w dłoni, o niepodległą Polskę.

„Dziki oberwaniec”

Piłsudski pojawił się w mieszkaniu Patka na ul. Królewskiej w Warszawie jako ukrywający się przed szukającymi go Rosjanami rewolucjonista. Sytuację opisał będący również kilkukrotnym gościem w domu Patka Konrad Wrzos, który przeprowadził z adwokatem wiele rozmów, by potem zamieścić je w książce „Piłsudski i piłsudczycy”. „Służący adwokata, dziś antykwariusz, znany w high-life warszawskim, Jan Czaja, nie chce wpuścić »podejrzanie« wyglądającego pana z brodą do mieszkania, w którem odbywa drzemkę poobiednią jego pan. Gospodarz słyszy przez sen głośną rozmowę, wstaje i wychodzi w szlafroku do przedpokoju. Poznaje przybysza, który mu daje tajemniczy znak, by się nie zdradził przed służącym jakimś

eprasa.pl/04/454cd83



„Śmierć jest niewątpliwie największym i najbezwzględniejszym absolutem, z jakim się człowiek w życiu spotyka. Tem straszniejsza jest ona, gdy jest przymusowa i zadawana z zimną krwią, »w imieniu prawa«. Tem boleśniejsza, gdy dotyczy jednostek działających w imię idei, których broniliśmy niemal w przeddzień ich powieszenia”

Mecenas Stanisław Patek

fot. NAC

okrzykiem. Adwokat przyjmuje gościnnie wędrowca – uciekiniera z więzienia i zjada z nim kolację. Służba dziwi się w kuchni, że »pan mecenas« siedzi przy stole »z takim oberwańcem z brodą«; co więcej, ten spędza kilka dni i nocy w mieszkaniu adwokata. Aż wreszcie decyduje się jechać w dalszą drogę. Adwokat odwozi ze służącym Piłsudskiego na dworzec. I kiedy wracają do domu, zjawia się w mieszkaniu, przy ul. Królewskiej policja rosyjska, szukając szpiega".

Piękna scena, w której „dziki oberwaniec" Piłsudski ukrywa się w mieszkaniu mecenasa, to początek długiej drogi, przyjaźni i zaufania, jakim Marszałek miał przez długie lata obdarzać Patka. Jego udział w grupie polskich delegatów na konferencję w Paryżu, a potem misje dyplomatyczne w najtrudniejszych z politycznego punktu widzenia miejscach (Japonia, Rosja, USA) świadczą o tym, że był dyplomatyczną prawą ręką Piłsudskiego. Mówił o nim zresztą: „Jako redaktor, organizator, wódz, mąż stanu, szef państwa itd. miał jeden wspólny mianownik i jeden cel. Celem tym była niepodległość Polski. To dawało mu możność poznania sprawy niepodległości z każdego punktu widzenia, przewidywania niezbędnych konieczności dla jej zrealizowania i planowego doprowadzenia jej do skutku na każdym polu przy wzajemnem różnych punktów współdziałaniu". A potem dodał: „Poza tym, będąc ośrodkiem tej ogromnej pracy, umiał on sobie dobrać na każdym polu pierwszorzędnych współpracowników. Każdy z nich starał się o maksimum własnej wydajności, a On starał się nie tylko o ich należyte uzgodnienie, ale opieranie swojego programu i dokonanych już czynności na najsolidniej zorganizowanych siłach polskiego narodu, jak: wojsko, sejm, senat, dyplomacja i.t.d.".

I faktycznie tak było, sam Patek zaś był właśnie istotną składową tego zespołu ludzkiego, którym otoczył się Marszałek. Rozumiał program Piłsudskiego i pracował na jego rzecz.



Art. 279 rosyjskiego Kodeksu karnego

Po roku 1904 w Cytadeli Warszawskiej powieszono, w wyniku zasądzonych wyroków warszawskich sądów, ponad 800 ludzi. Aby zrozumieć skalę i bardzo ostry wymiar tych batalii sądowych, w których mordowano Polaków, odwołać się można do statystyki podanej przez Halinę Kiepurską w pracy „Adwokaci warszawscy w okresie rewolucji 1905–1907", czyli właśnie wtedy, gdy działało założone przez Patka Koło Obrońców Polskich. Dane dotyczą jedynie wyroków wydanych przez warszawski sąd wojskowy: „W 1906, od 1 (14) stycznia do 1 (14) grudnia warszawski okręgowy sąd wojenny osądził 180 spraw, w których spośród 448 oskarżonych skazano: na karę śmierci 90 osób, na ciężkie roboty 149, na osiedlenie 36, na zamknięcie w wieży 4, do rot aresztanckich 16, na więzienie 19, na kary dyscyplinarne 18, uniewinnio-

eprasa.pl/04/454cd83



Konferencja w Wilnie w sprawie podpisania paktu o nieagresji pomiędzy Polską i ZSRS

fot. NAC

no 116. W następnym zaś roku w czasie od 1 (14) stycznia do 24 sierpnia (6 września) sąd wojenny osądził 175 spraw, w których spośród 578 oskarżonych skazano: na karę śmierci 112 osób, na ciężkie roboty 132, na osiedlenie 32, na zamknięcie w fortecy 11, do rot aresztanckich 25, na więzienie 19, na kary dyscyplinarne 12, uniewinniono 235. Z wykazu tego wynika, że w roku 1906 uniewinniono blisko 1/4 oskarżonych, w roku zaś następnym (do 6 września) około 2/5. Liczby te nabierają wyrazistości, gdy się zważy, że wielu podsądnym groził art. 279 rosyjskiego kodeksu karnego, przewidujący jedną tylko karę: karę śmierci".

Gra toczyła się zatem o najwyższą stawkę – o życie ludzkie. I w takim świetle należy patrzeć na misję Patka oraz grupy pracujących z nim mecenasów. Bili się oni o to, by uchronić rodaków przed szubienicą. „Śmierć jest niewątpliwie największym i najbezwzględniejszym absolutem, z jakim się człowiek w życiu spotyka – mówił mecenas Stanisław Patek. Tem straszniejsza

eprasa.pl 047454cd83

„Mam prawo twierdzić, że sprawiedliwość – to jeszcze nie okrucieństwo, mam prawo myśleć, że sędziowie nawet w wojennym sądzie polowym – są ludźmi, którzy mają surowy kodeks w ręku, ale mają i serce w piersi”

jest ona, gdy jest przymusowa i zadawana z zimną krwią, »w imieniu prawa«. Tem boleśniejsza, gdy dotyczy jednostek działających w imię idei, których broniliśmy niemal w przeddzień ich powieszenia”.

Pośród znanych postaci, niejako legendarnych, których bronił Patek, byli Stefan Okrzeja i Józef Mirecki „Montwiłł”.

„Precz z sądami wojennymi!”

Stefan Okrzeja urodził się w rodzinie stróża drogowego i od dziecka wychowywał się na warszawskiej Pradze, dokąd przenieśli się jego rodzice ze wsi Dębe. Został członkiem PPS, przyjmując pseudonim Witold. Protestował przeciwko aresztowaniu Marcina Kasprzaka, demonstrując z napisem na transparencie: „Precz z sądami wojennymi!”. Te właśnie sądy, przeciwko którym protestował, miały go potem skazać na karę śmierci. W trakcie listopadowych demonstracji w 1904 r. na pl. Grzybowskim strzelał się z żandarmerią, a w lutym następnego roku szykował zamach na gubernatora warszawskiego Czertkowa. Został wyznaczony przez Aleksandra Prystora – wielką legendę ruchu PPS-owskiego – do organizowania i zakładania Organizacji Spiskowo-Bojowej PPS. Później, w marcu 1905 r., wziął



Stanisław Patek, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny RP w ZSRS

fot. NAC

ALIOR BANK

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

RACHUNEK 4×4: DOSTRAJASZ KORZYŚCI DO POTRZEB FIRMY



www.aliorbank.pl

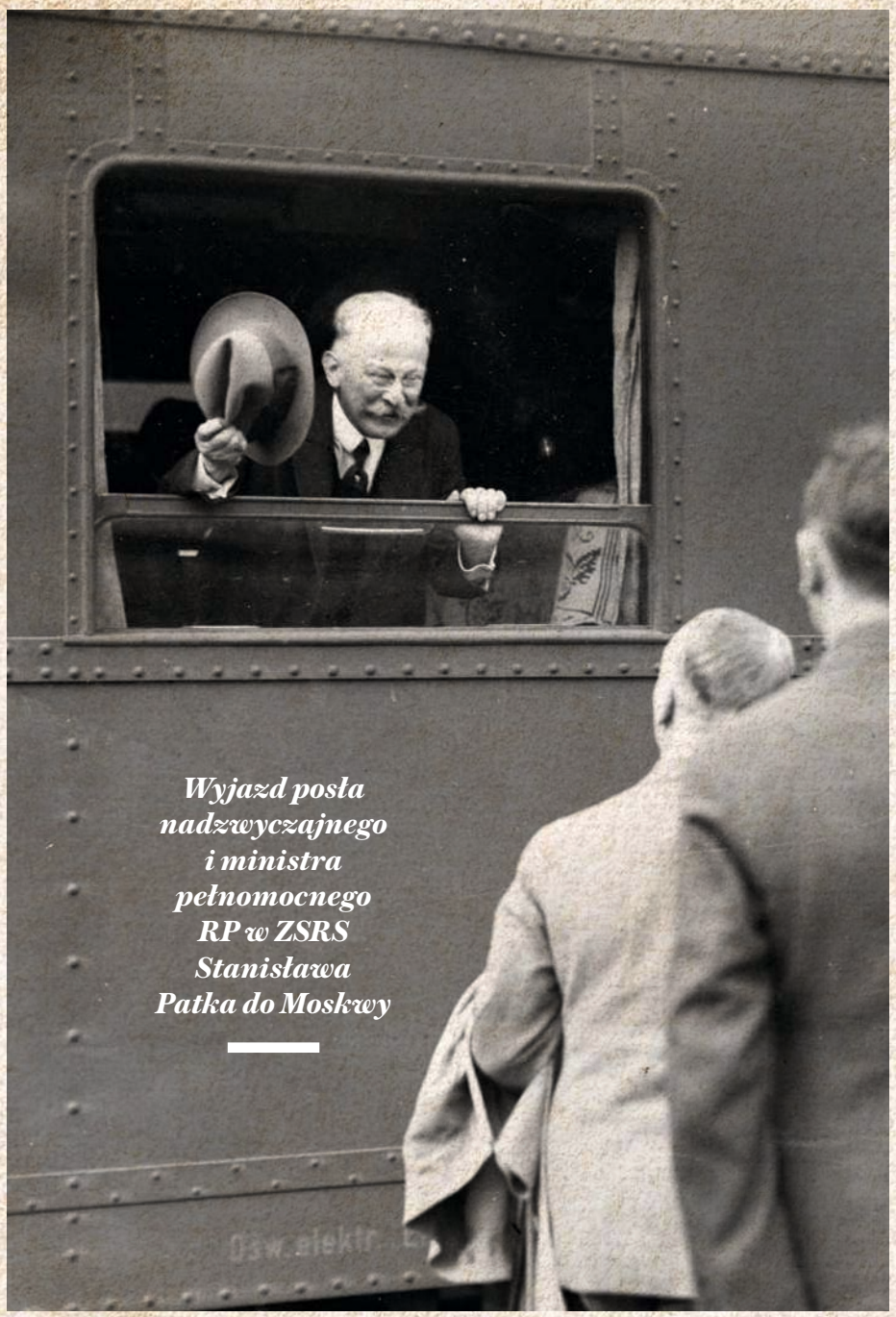
0 zł za prowadzenie Rachunku 4×4 dotyczy jego wersji podstawowej, wydania pierwszej karty debetowej i miesięcznej opłaty za korzystanie z niej, przelewów do ZUS/US realizowanych za pośrednictwem bankowości internetowej oraz korzystania z aplikacji księgowej online na portalu zafirmowani.pl. Miesięczna opłata za każdy z pakietów: Gotówkowy, Krajowy, Zagraniczny i Oszczędny wynosi 10 zł. Oferta dla nowych klientów biznesowych Alior Banku.

eprasa.pl 047454cd83

udział w słynnym zamachu na oberpolicmajstra płk. barona Karola Nolkena. Plan był prosty – najpierw miał się rozegrać atak „pozorowany", atak „przynęta" na VII praski cyrkuł policji przy ul. Wileńskiej. Zamachowcy mieli zaatakować Nolkena, gdy ten będzie gnał na miejsce wybuchu, by zobaczyć i samemu ocenić szkody. Jednak nie wszystko powiodło się tak, jak zakładali – Nolken odbił ręką lecącą bombę. Młodziutki Okrzeja, który miał wykonać „akcję przynętę", niósł bombę w puszce po kawie, z tasiemką owiniętą o palec i rzucił ją w stronę cyrkułu. Jednak zrobił to ze zbyt małej odległości, nie zdążył odbiec i został ogłuszony wybuchem. Oszołomiony, zagubiony, pomylił kierunki, wpadł na podwórze domu, ostrzeliwał się, ale w końcu Rosjanie dopadli go, pobili i zamknęli w Cytadeli. Miał 18 lat.

Niech żyje Polska niepodległa!

Józef Mirecki ps. Montwiłł, urodzony w ziemiańskiej rodzinie pod Radomiem, był wychowywany w kulcie powstania styczniowego. Wstąpił do PPS w 1900 r., a dwa lata później, gdy zaczął służbę w batalionie saperów lejbgwardii, został aresztowany i wsadzony do więzienia w Piotrkowie. Skazany w 1904 r. na zesłanie na Syberię trafił do guberni ołonieckiej. Zwiał po ośmiu miesiącach. Gdy wrócił, wstąpił do Organizacji Bojowej PPS. W sierpniu 1905 r. w Warszawie odbywała się tajna konferencja PPS, a „Montwiłł" w niej uczestniczył. Nagle ktoś wszczął alarm – kocioł! Dom został szczelnie otoczony przez agentów ochrany. Mirecki zaczął uciekać przez dach. Ostrzeliwał się. Rozgrywały się sceny niczym z sensacyjnego filmu. W końcu, widząc, że nie ma już dla niego ucieczki, przyłożył do skroni pistolet i pociągnął za spust. A jednak... przeżył. Wyjaśnień dostarczyły pamiętniki mecenasa Patka – w chwili strzału Mirecki poślizgnął się na spadzistym dachu i kula przeszła przez szczękę. Ciężko ranny trafił na Pawiak. Przewieziono go do szpitala św. Ducha, gdzie miał być operowany. Uciekł stamtąd, korzystając z pierwszej nadarzającej się okazji. I znowu nastąpił w jego życiu okres akcji bojowych, w tym ataki na pociągi wiozące carskie pieniądze – pod Rogowem i Łapami. W końcu, w listopadzie 1908 r., został schwytany przez żandarmów rosyjskich, a właściwie wydany w ich ręce przez prowokatora Charewicza. Przed nim były ostatnie chwile – pawilon w Cytadeli, proces i szubienica. Zginął w tym samym miejscu, w którym powieszono Okrzeję. Na ścianach Cytadeli można dzisiaj znaleźć tablicę upamiętniającą ich śmierć. Jak podawał Adam Próchnik, „Montwiłł" napisał w celi ostatni list, w którym znalazły się takie słowa: „Śmierć moja położy wreszcie kres oszczerczym plotkom, że naczelnicy umieją tylko innych wysyłać na śmierć, a sami w ogień nie idą. Po drugie, doda bodźca pozostałym bić się aż do zwycięstwa. Jest u nas w zwyczaju umierać z krzykiem. Krzyków w ogóle nie lubię, jeśli jednak wydać go padnie, to będzie nim jedynie: »Niech żyje Polska niepodległa!«". Jego przedwojenną legendę przekreśliło potem w oczach polskich patriotów



Wyjazd posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego RP w ZSRS Stanisława Patka do Moskwy

fot. NAC

eprasa.pl/04/454cd83

627/0118/F

Załóż Konto Oszczędnościowe



www.pekao.com.pl
801 365 365 (opłata wg cennika operatora)

Bank Pekao
Docenisz różnicę

Promocyjne oprocentowanie 3% w skali roku do 20 tys. zł na okres 12 miesięcy dotyczy Konta Oszczędnościowego, które zostanie otwarte do 29.09.2018 r. przez osobę fizyczną posiadającą Konto Przekorzystne. Z promocji mogą skorzystać wyłącznie osoby fizyczne, które w okresie 1.01-30.06.2018 r. nie były związane z bankiem żadną umową o rachunek bankowy lub przynajmniej przez jeden dzień między 1.01-30.06.2018 r. posiadały w naszym banku jeden lub więcej rachunków bankowych, na których w każdym miesiącu kalendarzowym posiadania tych rachunków w podanym okresie, suma średnich miesięcznych sald rachunków wynosiła od 0 zł do 50 zł. Każda osoba może być posiadaczem tylko jednego Konta Oszczędnościowego w Banku Pekao S.A. Pełne informacje dotyczące promocji są dostępne w oddziałach Banku Pekao S.A.

Bank Pekao S.A.

eprasa.pl 047454cd83

(podobnie jak wypadku Okrzei) wzięcie nazwisk rewolucjonistów na sztandary przez komunistów w epoce PRL. Tymczasem trzeba zawsze pamiętać, że owego wczesnego socjalizmu i bojowników PPS nie można porównywać z rzeczywistością, która wytworzyła się po rewolucji bolszewickiej.

Groza wyroków

„Samo widzenie się po wyroku z człowiekiem skazanym na śmierć jest straszne – wspominał mecenas. – Patrzy się w jego oczy i myśli się mimo woli, że te oczy jutro – pojutrze zgasną na zawsze. Patrzy się na jego młodzieńcze, różowe usta i myśli się: »Zbledną ci one niedługo«. Szuka się nowego pomysłu, jakiegoś sposobu powstrzymania wyroku. Liczy się na skutek kasacji, na odesłanie sprawy do wyższej instancji, do Petersburga. Zawsze to jeżeli nie wygrana, to zwłoka, to ewentualna możność znalezienia jakichś nowych dowodów, to chociażby zestarzenie się sprawy, odjęcie jej siły aktualności. Zamiana wyroku śmierci na Sybir lub ciężkie roboty, chociażby dożywotnie, było wtedy marzeniem naszem. Dawała czas i stwarzała możność dalszych starań. Przecież stan taki nie mógł trwać wiecznie. Byleby nie dopuścić do wykonania wyroku, byleby zerwać postronek! A gdy już wszystko spaliło na panewce, myśl o możliwości powieszenia skazanego zganiała sen z powiek, gasiła w człowieku wiarę w swe siły i chęć do dalszej pracy. Ale to tylko na chwilę, bo zaledwie wstało się nazajutrz, już czekali nowi ludzie, nowe sprawy, nowa groza podobnych wyroków". Niezwykła jest opowieść Patka, zwierzającego się Wrzosowi – emocjonalna, prawdziwa, ludzka. Na ogół patrzymy na adwokatów jak na chłodnych intelektualistów, którzy ze spokojem podchodzą do kolejnych problemów i zawiłości procesowych. Co się jednak dzieje w środku? Co się działo w głowie Patka?! Opowiedział o tym sam, relacjonując burzę myśli, obaw, nadziei i lęków, przeżywanych niejako razem ze swoim podopiecznym.

Ofiarom nie było granic

Stracono setki osób, wielu nie udało się wybronić, ale też Patek i jego ludzie wyciągnęli spod stryczka jeszcze więcej – uratowali ich tysiące. Stawał Patek przed księciem Imertyńskim, z notesem zawsze pełnym nazwisk, a Rosjanin pytał: „Ile numerów ma pan dzisiaj w swojej »mierzawce«?". To był cały katalog, spis setek spraw, którymi zajmował się mecenas.

„Gdy wspomnę sprawę Okrzei. Montwiłła, Owczarkówny i tylu innych – opowiadał adwokat – gdy pomyślę o tem, co się działo w więzieniach i na etapach, o tem, co przeżywano na zesłaniach i katorgach, o tem, co przechodziły tu rodziny uwięzionych i zesłanych, a wreszcie o tem, co musieliśmy przecierpieć my sami, żyjąc wśród tych spraw i tych ludzi – to same wspomnienia smutkiem swym obarczają mi duszę. [...] Ofiarom nie było granic ni końca".

Adwokaci Koła Obrońców Politycznych walczyli przed rosyjskimi sądami o oskarżonych Polaków w blisko 260 sprawach

W wielu sprawach oczywiście nie bronił sam Patek. O oskarżonych walczyli i inni adwokaci Koła Obrońców Politycznych. Sekretarką w Kole była Stefania Sempołowska, dziennikarka, pisarka, działaczka oświatowa, wielokrotnie szykanowana, aresztowana, osadzana w więzieniach. Spotkania i narady odbywały się w mieszkaniu Patka przy ul. Królewskiej 25. Adwokaci Koła walczyli przed rosyjskimi sądami o oskarżonych Polaków w blisko 260 sprawach. Gdy w 1907 r. odbywał się sąd nad 67 członkami Organizacji Bojowej PPS, bronił ich polski zespół prawników. W jego składzie znalazło się 12 adwokatów. Warto przypomnieć więc nazwiska owych „12 dzielnych ludzi": Bershona, Wacława Brokmana, Wiktora Krypskiego, Bronisława Kułakowskiego, Czesława Mejry, Leona Papieskiego, Stanisława Patka, Emila Rappaporta, Jerzego Skokowskiego, Kazimierza Sterlinga, Trejdosiewicza i Zlasnowskiego. Podobnie, jak to bywało w wypadku adwokatów z epoki „Solidarności", także tamci mecenasowie z roku 1907 byli szykanowani przez ówczesne władze. Rewizje w mieszkaniach, a nawet aresztowania stały się udziałem: Skokowskiego, Śmiarowskiego, Szyszkowskiego, Szterlinga, Świeszewskiego i kilku innych. Stefan Frankenstein-Sieczkowski odmówił w sądzie składania przysięgi w języku rosyjskim, chciał to zrobić w języku ojczystym. Został za to skreślony z listy adwokatów przysięgłych. Stanisław Patek borykał się z ciągłymi postępowaniami dyscyplinarnymi, a w końcu go po prostu... aresztowano i wsadzono do Cytadeli!

Zamach na Skałona

Jedną z najdonioślejszych spraw, w jakich przyszło Patkowi bronić Polaków, była sprawa dotycząca zamachu na Gieorgija Skałona, generała-gubernatora warszawskiego, który odznaczał się wyjątkowym okrucieństwem. Tropił i niszczył wszelkie przejawy buntu, spisków czy działań rewolucyjnych. Zamach został poprzedzony akcją składek społecznych „na bombę dla Skałona". Do wykonania akcji zgłosiły się kobiety: Wanda Krahelska, Zofia Owczarkówna i Albertyna Helbertówna. Tak przygotowanie zamachu wspominał jeden z jego organizatorów, ówczesny członek Organizacji Bojowej PPS, gen. Stefan Dąbkowski: „Inwigilowałem Skałona w Alejach. Przy ustaleniu planu, którego wykonanie było niesłychanie trudne, ze względu na stałą opiekę tajnej policji nad Skałonem, siedząc z Mańkowskim w jakimś mieszkanku na ulicy Świętojańskiej, wspominaliśmy dzień, w którym Skałon złożył wizytę w którymś konsulacie zagranicznym, celem udzielenia satysfakcji. Jakiś oficer rosyjski obraził bowiem publicznie jedno z państw ościennych czy też jego reprezentanta i Skałon musiał z tego powodu przeprosić konsula. Mówiąc o tem, przyszło mi na myśl, aby sprowokować znowu tego rodzaju sytuację, w której Skałon zmuszony byłby odwiedzić jakiś konsulat. Przyszła mi mianowicie myśl, aby któryś z naszych ludzi, przebrany za oficera rosyjskiego, obraził członka konsulatu niemieckiego. W ten sposób zmusilibyśmy Skałona do przeproszenia konsula. I tak się stało. Wykonanie

eprasa.pl/a/454cd83



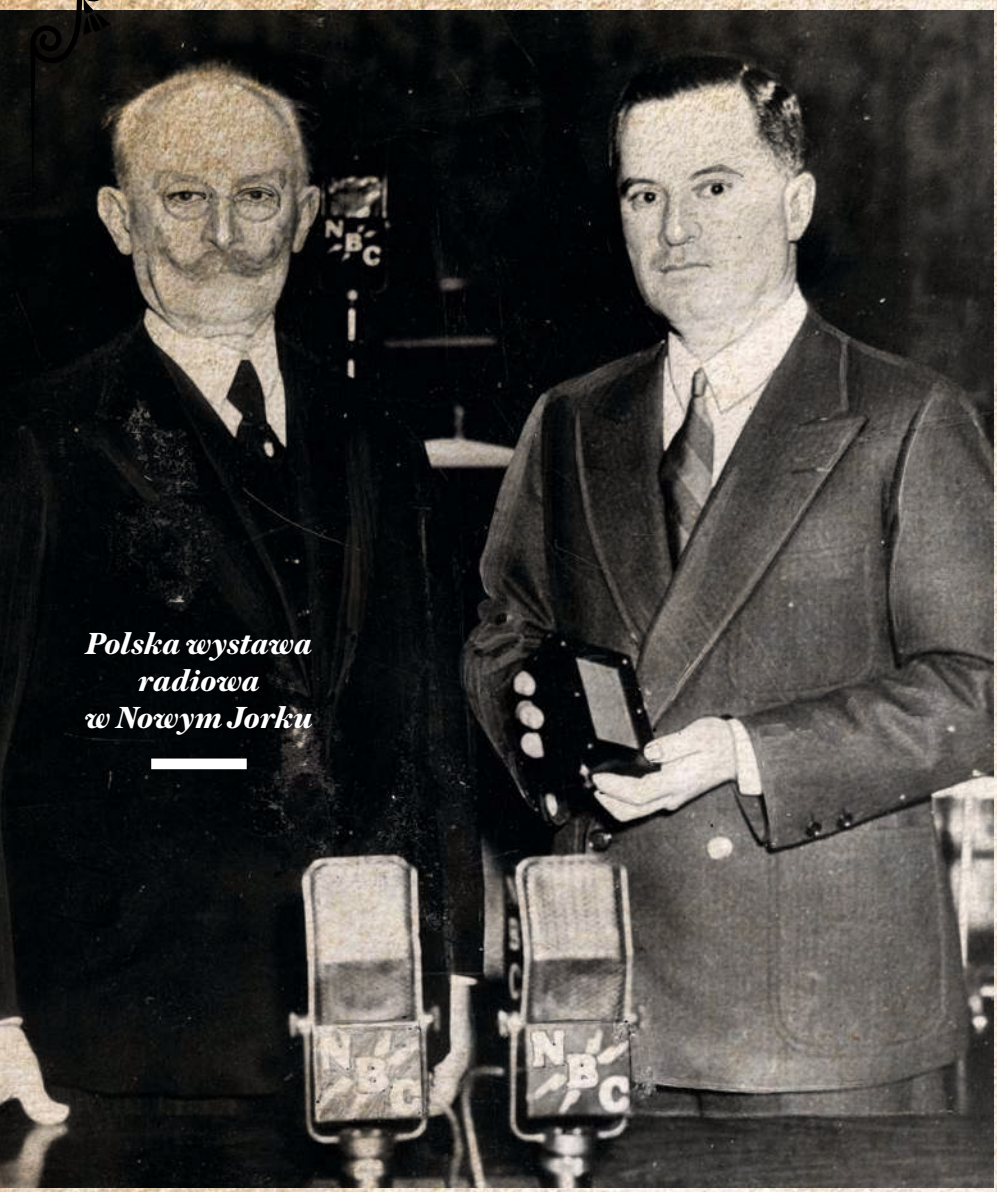
STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl 047454cd83



Polska wystawa radiowa w Nowym Jorku

fot. NAC

tego planu wypadło niesłychanie precyzyjnie. Trzeba było w bardzo trudnych warunkach wyszkolić w rzucaniu bomb dwie kobiety, które miały zamach wykonać: Owczarkównę i Krahelską".

Zadanie faktycznie należało do tych o wyjątkowej skali trudności. Jak wspominał Dąbkowski, Mańkowski przeprowadził z obiema Polkami setki prób! Trzeba było bardzo umiejętnie rzucić bombę – z drugiego piętra w jadący szybko powóz wiozący generała-gubernatora. Wynajęto mieszkanie, z którego miał się dokonać zamach. Jedna z pań została najemcą, pozostałe odgrywały rolę służby domowej. Bomby i browningi dobrze ukryto. Wszystko szło zgodnie z planem. Przebrany za oficera rosyjskiego spiskowiec obraził konsula. Skałon ruszył z przeprosinami. A gdy przejeżdżał przy kamienicy, kobiety wyrzuciły z okna i z balkonu bomby. Jednak... pierwsza nie wybuchła, druga zaś przeleciała obok, raniąc jedynie konia i kawalerzystę z eskorty. Skałon przeżył. Kobiety aresztowano. Rozpoczęło się dochodzenie.

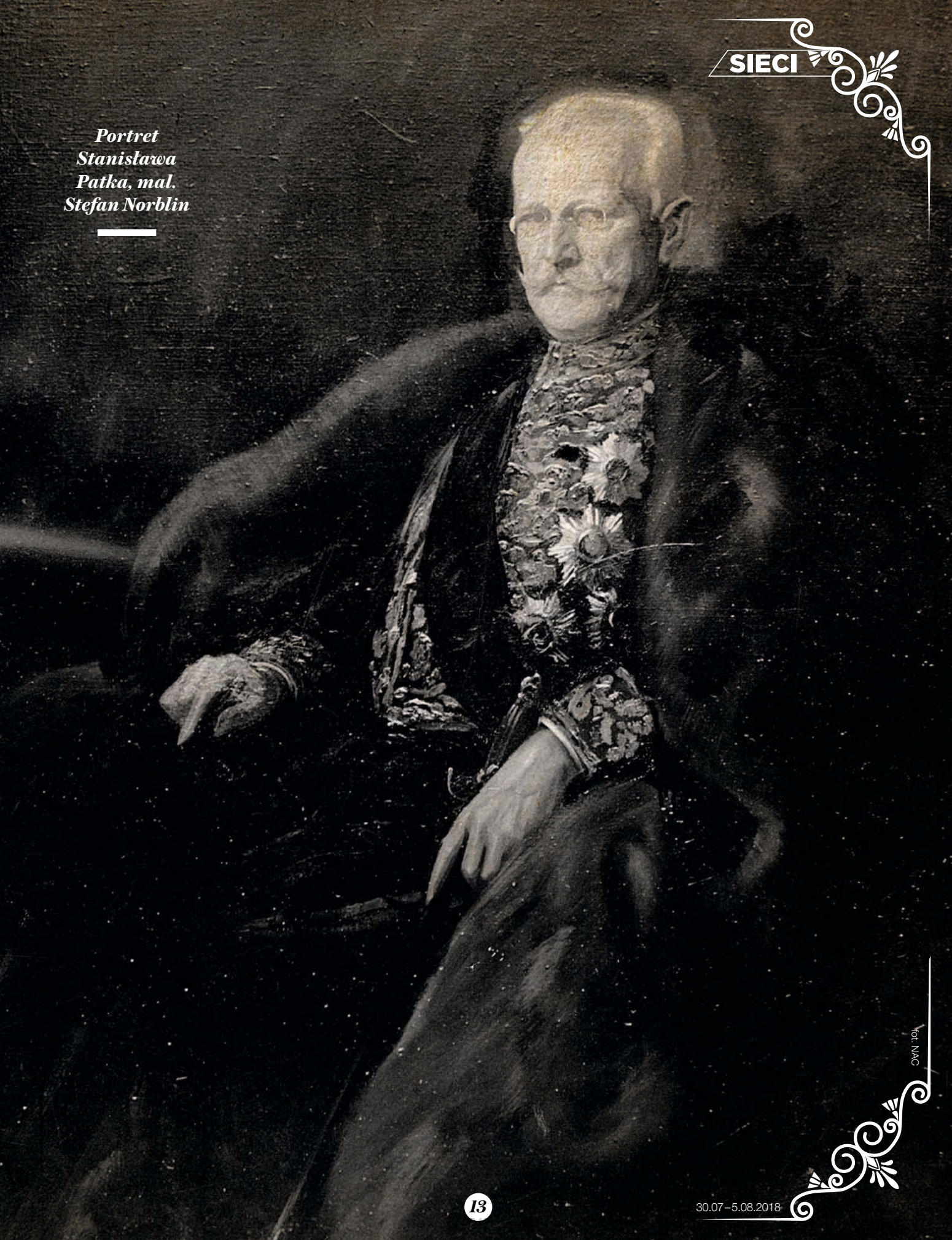
Walka o skazane Polki

Owczarkówna wysłała list do Stanisława Patka z prośbą o obronę. List ten został przeczytany przez Rosjan, którzy postanowili wykorzystać sytuację. Zanim dopuścili Patka przed oblicze oskarżonej, wysłali do niej swojego człowieka, który udawał asystenta polskiego mecenasa. Ten poinformował ją, że mecenas Patek jest chory, po czym wyciągnął z niej, pod pozorem szykowania obrony, wiele wrażliwych informacji. Na nic się zdały pisane potem protesty i apele. Sprawa była z góry przegrana. I tak się stało – kobiety zostały skazane na karę śmierci. Pozostawała ostatnia, chociaż nikła, szansa, więc Patek spróbował walczyć – chodziło o ewentualne ułaskawienie. W tym czasie car, przeciążony liczbą zgłaszanych próśb o ułaskawienie, przeniósł to uprawnienie na generałów-gubernatorów. Patek poszedł więc prosić o ułaskawienie do... Skałona. W końcu, po rozmowach z urzędnikami, został przyjęty w Belwederze. Gdy Skałon dowiedział się, że Patek przyszedł w sprawie Owczarkówny i Ostrowskiej, był zdumiony odwagą mecenasa. Patek tak wspominał rozmowy:

„Zaczęły się pertraktacje, które on prowadził z pewną brawurą. Towarzyszył mu zawezwany, jako jego zastępca z urzędu, szef żandarmerii, generał Uthof. Gdy mnie zapytał, jakie jest podłoże mych starań o złagodzenie wyroku, ja z wolna, ostrożnie, zacząłem rozwijać myśl, że chociaż powieszono już na stokach Cytadeli kilkaset osób, jeszcze żadna Polka z wyroku sądowego nie zawisła na szubienicy. Owczarkówna byłaby pierwszą. Za zamach na kogo? Na generała-gubernatora Skałona. A kto odmówił złagodzenia jej wyroku śmierci? Generał-gubernator Skałon. Generał-gubernator uczynił to w Warszawie. Sytuacja byłaby niewątpliwie więcej niż ciężka". Dalej odbyła się gorąca dyskusja, przybierająca chwilami wymiar kłótni. Ale w końcu Skałon ją przerwał i zwrócił się do Patka:

„Bądź pan spokojny, ja tych »bab« nie powieszę. To moja decyzja ostateczna". I faktycznie, Skałon dotrzymał słowa. Obie zesłano na bezterminową katorgę. Owczarkówna wróciła z niej w trakcie wojny. Czy cała obrona, szaleńcza wręcz walka o życie Polek, nie była czynem heroicznym? Może nie groziła śmiercią, jak to jest w wypadku sanitariusza wyciągającego rannych z pola bitwy, pod ostrzałem, ale wiązała się z ryzykiem szykan i więzienia (co w końcu spotkało adwokata) – była aktem bohaterstwa. Owo ratowanie polskiego życia, wyciąganie rodaków spod szubienicy stanowi dla mnie przykład

eprasa.pl/a/454cd83



Portret Stanisława Patka, mal. Stefan Norblin

fot. NAC

heroizmu wart postawienia na piedestale, wśród najpiękniejszych „Bohaterów Niepodległej”.

Dla nas śmierć nie powinna być straszna

Nie wszystkich udawało się uratować pomimo wszelkich podejmowanych wysiłków. Wspomniany „Montwiłł” został skazany na szubienicę. Kontakt z tymi, których nie udało się obronić, był dla mecenasa także bardzo trudny z czysto ludzkiego punktu widzenia. Do Mireckiego („Montwiłła”) Patek sam zawiózł złą wiadomość o zatwierdzeniu wyroku śmierci. „Przyjął ją ze stoicyzmem – opowiadał Wrzosowi – jako rzecz oczekiwaną, jak gdyby inaczej być nie mogło. Dał mi zlecenie dla partii, dla przyjaciół i dla żony Marii”. Mirecki powiedział adwokatowi: „Niech Pan powie moim współtowarzyszom, że gdybym żył po raz wtóry, to postępowałbym tak samo, jak postępowałem... bez względu na karę śmierci”.

Ciężar prowadzonych spraw, przegranych wyroków, oczu skazanych, a potem jeszcze spotkań z rodzinami – wszystko to leżało na barkach adwokata. W sprawie „Montwiłła” Patek był pośrednikiem między nim a żoną. Wraz z panią Marią jeździł a to do urzędów, a to do kancelarii Uthofa, a to znowuż do Cytadeli, by mogła ostatni raz widzieć się z mężem. By jej to załatwić, Patek stawał na głowie, robił, co tylko mógł – odnalazł Uthofa w klubie dla żandarmów i tam załatwił z nim wszystko, a pani Mirecka czekała na zewnątrz w powozie. Następnego dnia napisała do niego list z takimi słowami: „... Chciałam także powiedzieć Panu, żeby się Pan tak nie martwił wyrokiem. Pan był strasznie zgnębiony wczoraj... Pan widzi przecie, że dla nas śmierć nie powinna być straszna i chyba założenie to stwierdzam zachowaniem swojem... Pan podziwia spokój męża, z jakim umiera, a dla mnie życie jego jest drogie, lecz jeszcze droższy spokój i siła, z jaką potrafi wyzbyć się dla siebie wszystkiego... Widzę, że zwyciężyliśmy oboje, obojętnie patrząc na wszystko, wobec śmierci za ideę”. Mirecki osierocił córeczkę. Do chrztu trzymali ją Józef Piłsudski i człowiek, który bronił jej ojca w procesie – Stanisław Patek.



Stanisław Patek na kuracji w Jachimowie podczas rozmowy z doktorem Pirchanem

fot. NAC

eprasa.pl

Żądam w imieniu prawa

Pośród słynnych spraw, w których bronił Patek, na jednym z czołowych miejsc był także proces, jaki wytoczono młodziutkiemu Okrzei. Chłopak – przypomnijmy – rzucił bombę na cyrkuł praski, by tym samym ściągnąć tam znienawidzonego Nolkena. Potem zachowywał się jak nieprzytomny. Ścigany przez żandarmów ratował życie, samemu strzelając. By wyciągnąć mu potem rewolwer z kurczowo zaciśniętej dłoni, trzeba było mu podawać czarną kawę, aby ustąpił skurcz spowodowany szokiem i emocjami. Dwóch ludzi rozwierało mu palce siłą, aby w końcu wydobyć broń z ręki chłopaka. Pomimo młodego wieku i wielu okoliczności łagodzących sprawa była beznadziejna. Ale Patek bronił jak lew. Posłuchajmy, jak mówił wobec rosyjskiego sądu. Cóż to była z klasa, jaki to był styl!: „Oddając mi obronę swoją, Okrzeja polecił, abym wyczerpał ją ze strony prawnej, ale, abym o nic nie prosił. Więc ja was, panowie, o uznanie łagodzących okoliczności nie proszę, ale uznania ich w imieniu prawa żądam. Mam prawo twierdzić, że sprawiedliwość – to jeszcze nie okrucieństwo, mam prawo myśleć, że sędziowie nawet w wojennym sądzie polowym – są ludźmi, którzy mają surowy kodeks w ręku, ale mają i serce w piersi; mam prawo żądać, by sprawa była przez nich wystudiowana, wyczerpana i osądzona w najdrobniejszych szczegółach mówiących nie tylko na niekorzyść oskarżonego. Więc... żądam! Żądam w imieniu prawdy, abyście zrozumieli Okrzeję idącego na najgwałtowniejsze czyny w imię idei i nie sądzili go za zabójstwo i rany w tym duchu, jak chce akt oskarżenia. Żądam w imieniu prawa, abyście przyznali wszystkie łagodzące okoliczności przez śledztwo stwierdzone i po zastosowaniu cytowanych przeze mnie artykułów odrzucili karę śmierci. Żądam w imieniu praw ogólnoludzkich, abyście przy redagowaniu wyroku nie stłumili w sobie popędów ludzkości w tej nadziei, że nawet po wyroku waszym może nastąpić ułaskawienie, bo my o łaskę prosić nie będziemy, nie będziemy nawet wtedy, gdy wyrok śmierci zapadnie, nawet wtedy, gdy wykonywany będzie. Taka jest wola Okrzei. Może przyjdzie czas, kiedy wyrok wasz sprawiedliwy, spokojny i ludzki nie niełaskę, a honor wam przyniesie”.

Bomba wypełniona łzami

Piękne słowa! Aż dreszcz idzie po plecach, gdy czyta się je po tylu latach. A co ważne, w trakcie tej obrony mówił o najważniejszych wartościach, na jakich był formowany czyn Okrzei, o wartościach, które przyświecały wszystkim tym, którzy walczyli z Rosjanami:

„Niech mi wolno będzie powtórzyć tu porównanie jednego z obrońców w innej sprawie politycznej i zapewnić panów, że Okrzeja myślał, że bomba, którą niesie, nie jest napełniona dynamitem, lecz krwią i łzami nieszczęśliwych ludzi, że huk, który ona wydała, nie jest jej wybuchem, lecz płaczem i jękiem setek i tysięcy uciemiężonych, że trupy zabitych i poranionych nie są szczątkami ludzi, lecz odpadkami tego okrutnego systemu, który przytłaczał i miażdżył życie ludzkie. On tak myślał. On szedł na czyn straszny za ludzi i dla ludzi. Jemu żal było ofiar, lecz czuł, że bez ofiar nie obejdzie się żaden wielki przełom. On sam jest bohaterską ofiarą samopalenia dla ogólnej sprawy”.

Co było do przewidzenia, sąd wydał wyrok śmierci, który został wykonany 21 lipca 1905 r. na stokach Cytadeli.

Misja dyplomatyczna

Mecenas Patek był obrońcą środowiska, które szykowało się do walki zbrojnej o wolną Polskę i jej niepodległość stawiało sobie za jedyny cel. Gdy wybuchła wojna, chłopcy kształceni w związkach strzeleckich przez byłych bojowców PPS ruszyli do walki o ojczyznę. Notabene to właśnie członkowie Organizacji Bojowej PPS tworzyli wywiad, który szykował teren przed pierwszymi kompaniami wkraczającymi na teren Królestwa, zdobywał informacje, dokonywał sabotażu. W sierpniu 1914 r. Patek pojawił się wśród legunów w Kielcach, które zostały zdobyte przez oddziały Piłsudskiego. I właściwie już od tego roku zaczęła się jego kolejna, wielka i piękna misja – misja dyplomaty. Dość szybko zaufany mecenas Piłsudskiego otrzymał od NKN zlecenia pracy dyplomatycznej, wyjechał na Zachód dbać o sprawy polskie. Komendant użyczył mu w tym celu swego samochodu. „Jego autem pojechaliśmy do Krakowa, a z Krakowa zaryzykowałem podróż przez Austrię i Szwajcarię do Paryża i Londynu – wspominał adwokat – aby z ówczesnymi mężami stanu francuskimi i angielskimi prowadzić konferencje”. W Bordeaux Patek spotkał się z Clemenceau, gdy ten był jeszcze redaktorem „L'Homme Libre”, a ta znajomość ułatwiła potem dyplomatyczne zadania, gdy Clemenceau był już premierem. Prawnik odbył wiele podróży, w różnych misjach, a w 1918 r. Naczelnik Państwa delegował go do Paryża wraz z grupą zaufanych delegatów. „Premierem był wówczas Paderewski, który nam przewodniczył. Pracowaliśmy aż do podpisania traktatu wersalskiego i obsadzenia poselstw naszych razem z Komitetem Narodowym, pozostającym pod przewodnictwem Romana Dmowskiego. Gromadzili się dokoła nas prawie wszyscy Polacy mieszkający w Paryżu z Posnerem na czele”. I dodawał: „Mogłem bronić spraw Polski, nie tylko na zebraniach komisji oficjalnych, ale i poza niemi. Przemawiałem nawet w stowarzyszeniach masońskich. W sprawach polsko-żydowskich jeździłem wówczas także do Londynu, na konferencje z Rotschildem, Montefiori i redaktorem Lucjanem Wolfem. [...] Poza tym wprowadzałem także przed »Big Four« sprawy, do których się paliłem i o które napierałem. Należała do nich sprawa naszych granic wschodnich, w których rozpocząłem pertraktacje z Clemenceau, a skończyłem je przed przedstawicielami ogólnego zebrania konferencji”. Wreszcie padły słowa chyba najważniejsze. Słowa kluczowe do zrozumienia całej jego biografii, także tej późniejszej, a równie pięknej (bo przypomnijmy, że był i ministrem spraw zagranicznych, i posłem w Tokio, i w Moskwie, i ambasadorem w Stanach Zjednoczonych): „Byłem szczęśliwy, że udało mi się w tej sprawie zmienić decyzję dla Polski niekorzystną, a już w brulionie naszym podpisaną. Sprawę tę uważam za jedną z najpiękniejszych w mem życiu, bo zdobyłem w niej definitywnie dla Polski część tych praw, które potem weszły do traktatu wersalskiego”.

Mecenas Patek stał się prawdziwym obrońcą Polski, adwokatem polskiej sprawy. Wcześniej bronił Polaków przed sądami zaborcy, potem bronił Polski i jej spraw wobec mocarstw światowych. Był wielki! Zginął w trakcie Powstania Warszawskiego w wyniku ran odniesionych od wybuchu niemieckiej bomby. Odszedł 22 sierpnia 1944 r. Cześć Jego Pamięci!

eprasa.pl/047454cd83



PODPIS ELEKTRONICZNY

BEZPIECZNY KROK W PRZYSZŁOŚĆ

- Od lat nieustannie poszukujemy innowacyjnych rozwiązań i dynamicznie dostosowujemy naszą ofertę do zmieniającego się świata usług cyfrowych.
- Centrum Usług Zaufania Sigillum jest naszą odpowiedzią na potrzeby nowoczesnego biznesu.
- Od 2002 roku Centrum oferuje podpis elektroniczny wszystkim, którzy cenią swój czas, bezpieczeństwo i wygodę pracy.
- Podpis elektroniczny jest wykorzystywany w kontaktach z administracją publiczną i w relacjach biznesowych, m.in. do zdalnego zawierania umów cywilno-prawnych, udziału w przetargach, elektronicznego obiegu faktur, uwierzytelniania i szyfrowania korespondencji.

Twoje trzy kroki w przyszłość:

1. Wejdź na stronę **sigillum.pl** i zarejestruj się
2. Umów się na wizytę z inspektorem i potwierdź swoją tożsamość
3. Zacznij korzystać z podpisu elektronicznego

Minimum formalności
Bezpieczeństwo i wygoda
Zaufany i doświadczony dostawca

PWPW
CENTRUM USŁUG ZAUFANIA
SIGILLUM

eprasa.pl 047454cd83

KU RY



Zakręcony sierpień

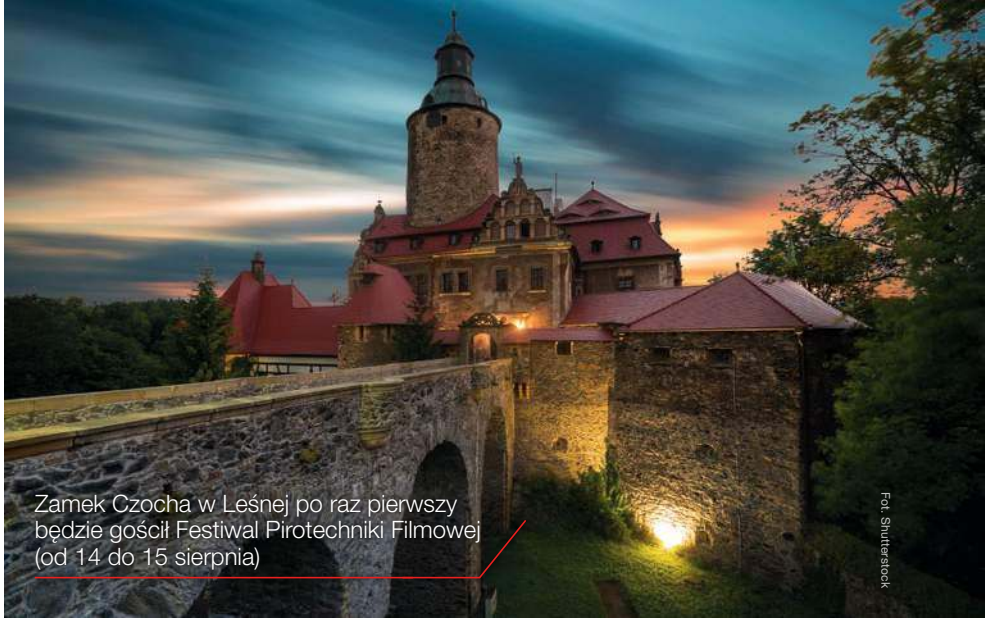
Brzydal. Rudy, piegowaty, a dziewczyny za nim szaleją. Do jego utworów układane są popisowe choreografie na studniówki i wesela. Gdy ogłoszono datę koncertu, bilety na Stadion Narodowy wyprzedały się w godzinę! ***Ed Sheeran*** *zagra więc dwa razy: 11 i 12 sierpnia*

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 047454cd83



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Zamek Czocha w Leśnej po raz pierwszy będzie gościł Festiwal Pirotechniki Filmowej (od 14 do 15 sierpnia)

Fot. Shutterstock

27-letni Brytyjczyk, który urodę odziedziczył po irlandzkich dziadkach, to dziś jeden z najlepiej sprzedających się artystów. Wypełnia stadiony (pierwszy w historii w 2015 r. dał na Wembley trzy koncerty z rzędu). Na ubiegłorocznym Glastonbury Festival zgromadził największą w historii tej imprezy widownię, czyli 100 tys. fanów. Jego płyty biją rekordy odtworzeń i nakładów. Sprzedał ponad 26 mln krążków. Na szczyt wprowadziły go albumy: „+" z 2011 i „x" z 2014 r., a „÷" z 2017 r. uczynił z niego zwycięzcę w rankingu najlepiej zarabiających muzyków na świecie.

W Polsce był ostatnio trzy lata temu. Wtedy wystąpił na warszawskim Torwarze, teraz dzień po dniu zagra na PGE Narodowym. Zapewne usłyszymy przeboje: „Shape of You", „Castle On The Hill" i „Perfect" – tegoroczny hit studniówek oraz wesel (gdzie stanowi tło do pierwszych tańców młodej pary) oraz utwór „Galway Girl" promujący najnowszy album artysty.

Z POŁUDNIA NA PÓŁNOC

Dwa koncerty da też w Polsce Roger Waters – 3 sierpnia w krakowskiej Tauron Arenie i dwa dni później w gdańskiej Ergo Arenie. Zapowiadając pierwszą europejską trasę od czasu „The Wall Live" (tamta odbyła się w latach 2010–2013 i podczas 219 koncertów przyciągnęła ponad 4 mln fanów), artysta obiecywał spektakularne show. Odwołujące się do lat spędzonych z Pink Floyd (nazwa trasy: „Roger Waters – Us + Them" nawiązuje do utworu z 1974 r. „Us And Them" z albumu „Dark Side of the Moon"), ale też trochę nowych utworów. Wszystko, oczywiście, połączone z wysokiej klasy produkcjami audiowizualnymi i kwadrofonicznym systemem dźwiękowym. Taka oprawa jest wizytówką koncertów Watersa.

Pozostając przy muzyce, do przeszłości – chociaż w nieco lżejszej muzycznej formule – odwołuje się 12. Festiwal Legend Rocka – jedna z imprez, które spopularyzowały malowniczy fragment środkowego Wybrzeża, leżącą między Słupskiem a Ustką Dolinę Charlotty. Organizatorzy festiwalu na afisze wystawili Alana Parsonsa i The Waterboys, licząc, że 4 sierpnia przyciągną tłumy do tamtejszego amfiteatru.

Kim są legendy tegorocznego festiwalu? W pięknych okolicznościach przyrody przypomni się artysta 11 razy nominowany do nagród Grammy (za inżynierię dźwięku i produkcję oraz za własny, zresztą ostatni album). Stworzony przez niego zespół The Alan Parsons Project triumfy święcił w latach 70. i 80. Wtedy podbijał fanów nastrojowymi utworami: „Eye in the Sky", „Time" czy „Don't Answer Me".

Podobnie grupa The Waterboys – „łącząca w sobie moc brytyjsko-irlandzkiego rocka z soulem i południowoamerykańskim funkiem". Szczyt sławy osiągnęła w 1985 r. płytą „This Is the Sea", zawierającą przebój „The Whole of the Moon". W obu przypadkach rozpoznawalne, melodyjne frazy do dziś brzmią miło w uszach nie tylko rówieśników muzyków.

TOP W TRÓJMIEŚCIE

Muzyczny sierpień na południu Polski rozwinie się w międzynarodowy ludowy wachlarz. Koncerty kapel i zespołów tanecznych, targi, korowody i kiermasze, spotkania autorskie i warsztaty oferuje program, trwającego dziewięć (!) dni (od 28 lipca do 5 sierpnia), 55. Tygodnia Kultury Beskidzkiej. Ponad 100 zespołów z 20 państw z różnych kontynentów, 4 tys. tancerzy, śpiewaków i muzyków, przeszło 50 kilkugodzinnych wieczornych koncertów na dużych plenerowych estradach, odbywających się równocześnie w kilku miejscowościach (oprócz Szczyrku także m.in. w Żywcu) powinno usatysfakcjonować wielbicieli muzyki folk i etno.

20. Festiwal Regałowisko w Bielawie (woj. dolnośląskie) zapewni (od 9 do 11 sierpnia) kojące rytmy reggae. Mocniejsze brzmienia zagoszczą na 9. Cieszanów Rock Festiwalu (woj. podkarpackie, od 16 do 19 sierpnia).

Między tymi imprezami w kurorcie wyjątkowo aktywnym artystycznie odbędzie się Top of the Top Sopot Festival. Publikę rozbujają przeboje typu „Live is Life" w wykonaniu grupy Opus, „You" zespołu Ten Sharp, „I've Been Thinking About You" formacji Londonbeat, „Mr. Saxobeat" Alexandry Stan czy „Hollywood Hills" Sunrise Avenue. Od 14 do 16 sierpnia na scenie Opery Leśnej wystąpi ponad 60 wykonawców, w tym 14 zagranicznych. Gośćmi specjalnymi będą: Anastacia (autorka hitów „One Day in Your Life", „Left Outside Alone" czy „I'm Outta Love"), James Arthur (jego „Say You Won't Let Go" to ponad 600 mln odsłon na YouTubie), Aloe Blacc (artysta z kręgu R&B, któremu popularność przyniosły takie utwory, jak „I Need A Dollar" czy „Wake Me Up") i Welshly Arms, amerykańska formacja znana przede wszystkim z megahitu „Legendary".

Nie zabraknie polskich artystów. Wśród nich: Edyty Górniak, Kayah, Andrzeja Piasecznego, Natalii Szroeder

eprasa.pl 047454cd83

czy Michała Szpaka. Jubileusze świętować będą zespoły: Bajm (40-lecie), Lady Pank (35-lecie), Big Cyc (30-lecie) i Blue Café (20 lat na scenie).

Dwa tygodnie później, 26 sierpnia, również w obrębie Trójmiasta, może być jeszcze ciekawiej. Tym razem w Gdańsku. Odbędzie się tu premierowe wydarzenie – Lato z Radiem Festiwal 2018. Jednodniowa, a zarazem największa, niebiletowana impreza muzyczna wakacji. Za sprawą zespołu Trójki, współpracującego przy tym projekcie ze wszystkimi antenami Polskiego Radia, trasa kultowego „Lata z Radiem" zakończy się w zupełnie nowej formule. Na gdyńskim skwerze Kościuszki staną dwie sceny. Wystąpi na nich polska muzyczna czołówka.

Precedensem było losowanie kolejności występów artystów. W jego wyniku – na scenie „Polski Top" – zaprezentują się kolejno: Smolik / Kev Fox, Brodka, Kortez, Coma, Fisz Emade Tworzywo, Organek, Krzysztof Zalewski, a na scenie „Idzie nowe" zagrają: Oxford Drama, Król, Rebeka, Daria Zawiałow, Xxanaxx, Tulia, MaJLo i Barbara Wrońska. Prowadzącymi będą radiowi dziennikarze, m.in. Anna Gacek, Agnieszka Szydłowska, Piotr Baron, Marek Niedźwiecki, Paweł Sztompke czy Hirek Wrona.

KINO PEŁNE GWIAZD

Z lipcowym rozbiegiem w kolejny miesiąc wkraczają: 18. Międzynarodowy Festiwal Filmowy T-Mobile Nowe Horyzonty oraz 12. Festiwal Filmu i Sztuki Dwa Brzegi. Oba, wykorzystując w pełni walory Wrocławia oraz Kazimierza Dolnego i Janowca nad Wisłą, wkomponowują się z filmowym klimatem zarówno w przestrzeń miasta, jak i malowniczych okolic.

Do 5 sierpnia sporo się na tych festiwalach wydarzy. We Wrocławiu będzie m.in. okazja spotkania z Terrym Gilliamem. Niepokorny artysta wyrosły z grupy Monty Pythona (reżyser m.in. „Brazil", „12 małp", „Fisher King", „Parnassusa") w 2017 r., po 25 latach od pierwszego klapsa, walcząc z przeciwnościami niczym z wiatrakami, ukończył film „Człowiek, który zabił Don Kichota". Po projekcji na tegorocznym



Fot. Piotr Zagiel/East News

26 sierpnia w Gdańsku odbędzie się Lato z Radiem Festiwal 2018, na którym m.in. zobaczyć będzie można Brodkę

MFF w Cannes dostał najdłuższą w historii owację dla filmu zamykającego imprezę.

„Człowiek, który zabił Don Kichota" trafi 10 sierpnia do polskich kin, tymczasem festiwalowe lato filmowe będzie się kręcić w kolejnych miejscach. Od 3 do 12 sierpnia w Zwierzyńcu, gdzie ruszy 19. Letnia Akademia Filmowa. Ińskie Lato Filmowe zaprosi kinomanów po raz 45. (od 10 do 19 sierpnia). Ciekawe propozycje mają też młodsze przeglądy: 7. Festiwal Filmowy „Kocham Dziwne Kino" (9–12 sierpnia) w Pabianicach, 6. Zamojski Festiwal Filmowy „Spotkania z historią" (16–18 sierpnia), 10. Solanin Film Festiwal (22–26 sierpnia) w Nowej Soli czy świętokrzyski Kinobus 2018 (23–26 sierpnia).



Fot. Shutterstock

Terry Gilliam

Filmowe lato to także coraz większa liczba ekranów rozstawianych na wolnym powietrzu. W najróżniejszych przestrzeniach. Do końca sierpnia otwarte pokazy będą się odbywać m.in. w Amfiteatrze Łazienek Królewskich. Ciekawe, jak wybrzmi tu „The Doors. Historia nieopowiedziana" czy „Młynarski. Piosenka finałowa".

Dostępnym dla gości, widowiskowym kinem wspierają się też kurorty. W Sopocie i Zakopanem (a we środy i czwartki również w Giżycku) w ramach Festiwalu Visa Kino Letnie. Poza plenerowymi projekcjami widzowie mogą też liczyć na dodatkowe atrakcje: górskie miasteczko filmowe oraz festiwalowe (kawiarnię na molo i w centrum, w nowo otwartym giżyckim kinie Nowa Fala).

POEZJA I FAJERWERKI

Wakacyjną atmosferę można oczywiście uatrakcyjnić nie tylko muzycznie i filmowo. Szczebrzeszyn od 5 do 11 sierpnia zaprasza na Festiwal Stolica Języka Polskiego. Patronami czwartej edycji są Skamandryci. Ich twórczość przypomną podczas kolejnych wieczorów: Sławomira Łozińska,

eprasa.pl 047454cd83



Visa Kino Letnie gościć będzie w Sopocie i Zakopanem (a we środy i czwartki również w Giżycku). Na zdj. gwiazda ubiegłorocznej edycji festiwalu Katarzyna Figura

Fot. Piotr Korczak/REPORTER

Maja Komorowska, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Anna Nehrebecka, Karolina Gruszka. Dyskusje toczyć będą pisarze, poeci, językoznawcy. Muzycznie festiwal uświetnią m.in. Hanna Banaszak i Jazz Band Młynarski–Masecki, a pisarz Andrzej Stasiuk, wraz z ukraińską formacją etnorockową Haydamaky, zaprezentuje projekt „Mickiewicz–Stasiuk–Haydamaky".

Inny wymiar słowa, dopełnionego humorem i gagiem, zaprezentują podczas 24. Mazurskiego Lata Kabaretowego m.in. Ewa Błachnio, Formacja Chatelet, kabarety: Łowcy.B, Młodych Panów i Smile. Od 2 do 5 sierpnia wystąpią w Ełckim Centrum Kultury. Na scenie MULATKI – gdzie swoje pierwsze kroki stawiały takie grupy jak Jurki, Mumio, Łowcy.B, Ani Mru-Mru, Noł Nejm, Czesuaf – rozegra się rywalizacja o Grand Prix. Trwać też będą pozakonkursowe, co nie znaczy mniej zabawne, kabaretowe śniadania i wieczory. Przedstawią m.in. „Faceta w panierce" i „Retro Boysów", a jurorowi Krzysztofowi Daukszewiczowi pozwolą namawiać ze sceny: „Zjedz kawiorek".

W Ełku możemy liczyć na erupcję śmiechu, tymczasem malowniczy Zamek Czocha w Leśnej (woj. dolnośląskie), służący za wymarzony plan niejednej produkcji filmowej, po raz pierwszy (od 14 do 15 sierpnia) stanie się miejscem autentycznych wybuchów. W ramach Festiwalu Pirotechniki Filmowej. Tam, gdzie kręcono m.in. film „Gdzie jest generał?" i seriale „Tajemnica Twierdzy Szyfrów" czy „Wiedźmin", pojawią się kaskaderzy i specjaliści od spektakularnych fajerwerków.

Na rozgrzewkę, jeszcze za dnia, organizatorzy zaproponują pokazy ogni sztucznych z hukiem i dymem w rolach głównych. W jednym z rozbudowanych ujęć inspirować się będą filmem „Trzej muszkieterowie" – ruch ognistych kół i fontann oraz wyrzutni dymnych zsynchronizują z muzyką.

Widzowie zobaczą też kilka wersji ataku na zamek. Naziemny, wspierany przez ostrzał z moździerzy lub wozów bojowych, przygotowany z udziałem grup rekonstrukcyjnych, oraz z powietrza (tu inspiracji dostarczyły kadry z filmów „Działa Navarony" i „Szeregowiec Ryan"). Będzie również nawiązanie do sceny z „Czasu Apokalipsy".

Im bliżej nocy, tym więcej zamiast dymu i huku pojawi się barw. Na przykład w inspirowanym chińską sztuką Festiwalu Ognia. Dla odważnych zaplanowano też nocne zwiedzanie zamku. Oczywiście okraszone pirotechniką.

NA ZIEMI I W POWIETRZU

Nie sposób zliczyć sierpniowych atrakcji. Tych przygotowywanych przez duże miasta i małe miejscowości, zatłoczone kurorty i kuszące naturą zakątki, zabytkowe obiekty czy rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne... Najwięcej jest muzyki, ale nie brak też emocji filmowych czy sportowych.

W pierwszy sierpniowy weekend Gdynia po raz szósty zaprosi triathlonistów na międzynarodowe zawody. Nałęczów postawi w sierpniu na malowniczość 3. Balonowych Mistrzostw Świata Kobiet (6–11 sierpnia). Pokazy lotnicze odbędą się w Trzebiczu Nowym (woj. lubuskie, 17 i 18 sierpnia) oraz w Radomiu (25 i 26 sierpnia). Gdański Plac Zebrań Ludowych między 17 a 20 sierpnia opanują mistrzowie akrobacji rowerowych i deskorolkowych, a także fani hip-hopu. Cropp Baltic Games to festiwal łączący sporty akcji i muzykę.

Jak widać, w sierpniu będzie w czym wybierać. Warto też przypomnieć, że informacje o imprezach z wolnym wstępem lub ceną biletu do 20 zł podaje na bieżąco portal Kulturadostępna.pl.

Nałęczów zaprasza na 3. Balonowe Mistrzostwa Świata Kobiet (6–11 sierpnia)



Fot. Shutterstock

eprasa.pl 047454cd83

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Miasteczka z problemami

Trzeci odcinek „Ostrych przedmiotów" na HBO za nami. Czeka nas jeszcze pięć. Piotr Gociek ogłosił, że serial nie oddaje do końca klimatu powieści Gillian Flynn, że jest „za ładny", skoncentrowany na formalnych sztuczkach. Książki nie czytałem. Bez jej znajomości ogląda się go dobrze. Łukasz Adamski poleca, zachwalając talenty kanadyjskiego reżysera Jeana-Marca Vallée, autora „Wielkich kłamstewek".

Dziennikarka przyjeżdża do rodzinnego miasteczka, w którym zamordowano dwie dorastające nastolatki. Z trudem radzi sobie z sobą, ale to czyni ją bardziej wiarygodną kronikarką problemów innych. My, Polacy, mamy na razie „Ojca Mateusza", a dla ambitniejszych „Belfra". No „Wataha", na pewno nie tak wyrafinowana, próbowała być mrocznym studium szczególnej prowincji.

Zaskakująco dobrze ogląda się „Ostre przedmioty", zważywszy na obecność ulubionych archetypów kina tego typu. Ile już widzieliście zamkniętych miasteczek z ich tajemnicami? Wind Gape leży w Missouri, stanie bliskim Południu, ale to nie ma większego znaczenia. A ile było studiów kobiecego alkoholizmu, z „Dziewczyną z pociągu", wielkim przebojem, na czele? A starcia matek z córkami? Amy Adams jest świetna jako dziennikarka z problemami, a Patricia Clarkson, jej matka, to wielka dama kina przyciągająca uwagę urodą drapieżną, daleką od upiększeń. Ale czy powiedzą nam coś naprawdę nowego?

Tylko że czas nowych rzeczy skończył się kilkadziesiąt lat temu, kiedy kino wdzierało się w obszary ludzkiej duszy wraz z literaturą i w końcu spenetrowało całość. My musimy się kontentować nastrojem i odkrywaniem konkretnych ludzkich historii, które jednak się różnią, a niosą suspens. Zmieniliśmy się w małomiasteczkowych podpatrywaczy, ciekawych, kto jaką skrywa tajemnicę. Trzeba przyznać, poszczególne wątki odsłaniane są powoli, bez efekciarstwa i nawet z uszanowaniem dla ludzkiego cierpienia. Czasem wyczuwam w tym uszanowaniu nutkę fałszu. Ale nie mam się o co przyczepić. I jeszcze te ułamki ujęć oddające świat wspomnień oraz skojarzeń głównej bohaterki – bezcenne.

Mnie – poza pytaniem, kto zabił – ciekawi co innego. Podziwiam niekoniunkturalizm twórców takich seriali, którzy nie spieszą się z odpowiedziami. Zawsze pytam, kto się delektuje takimi opowieściami kręconymi trochę wbrew naturze popkultury, gdzie wszystko musi być szybkie i proste. A jednak czas na finał, na odpowiedzi musi przyjść. Takie kino też stało się przestrzenią perswazji, edukowania i wychowania. Nawet twórcy niejednoznaczni często w końcu uogólniają, szukają morałów.

Na Facebooku stoczyłem debatę o innym serialu – „Mr. Mercedes", według powieści Stephena Kinga. Ktoś znalazł klucz. Dobre są tam kobiety i Murzyni. No dobry jest też irlandzki gliniarz, ale młody biały facet musi się okazać psycholem. Wskazywałem na odstępstwa od schematów w „Mr. Mercedesie", ale przekonanie, że triumfuje w takich historiach jakiś rodzaj poprawności, nie jest bezzasadne. Ba, to bywa w sumie zgodne ze statystycznymi prawidłowościami. Choćby taką, że wciąż częściej mężczyzna krzywdzi fizycznie kobietę. A zarazem kolejny film o tej prawidłowości – czy nie utwierdza ideologicznych schematów w społeczeństwach dalekich już od starego patriarchalnego modelu?



Tu mamy do czynienia z kawałkiem kina kobiecego. Ale na razie kobiety walczą z sobą. Zupełnie jak w „Sonacie jesiennej" według Ingmara Bergmana, obejrzanej przeze mnie w Teatrze WARSawy. Jaki typ nauki wystąpi na końcu? A może żaden?

Piotr Zaremba

Herosi, sprawcy i ofiary



Wojciech Stanisławski

Wszyscy lubią się wypowiadać o polityce historycznej. Warto jednak najpierw zrozumieć, czym się ona żywi i jakich narzędzi potrzebuje. „Kapitał moralny" stwarza (wytrwałym) taką szansę

Dość szeroko znana jest anegdota o tym, jak w latach 70. legenda amerykańskiej literatury science fiction Philip K. Dick, trapiony niestety podmuchami paranoi, powziął przekonanie, że polski mistrz SF Stanisław Lem w rzeczywistości nie istnieje, a samo słowo „Lem" stanowi akronim komórki komunistycznego wywiadu. Chociaż nazwisko „Łuczewski" jest nieco dłuższe niż „Lem", nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś podejrzliwy, a nieznający osobiście autora „Odwiecznego narodu", uznał po lekturze jego najnowszej książki, że ma do czynienia z owocem pracy zakonspirowanego zespołu badawczego, który ma za zadanie podnieść na nieporównanie wyższy poziom niż dotąd refleksję nad fenomenem polityki historycznej, jej wariantów, metod, celów i możliwych (nieraz zatrutych) owoców.

To oczywiście żart, po który sięgam, by osłabić poczucie uznania graniczącego z bezradnością, jakiego doświadczyłem, czytając najnowszą pracę Michała Łuczewskiego. Wydaje się niemal nieprawdopodobne, by jeden badacz był w stanie sięgnąć zarazem po perspektywę socjologa, filozofa i historyka, by równie biegle korzystał z narzędzi analizy pojęciowej, z refleksji nad założeniami i „filozofią" polityki pamięci oraz porównawczej socjologii kultury, by odwoływał się do dorobku narratologii, teorii centrum–peryferie, epistemologii Ricoeura. A do tego lekką ręką (i piórem) dorzucał dorobek kierowanego przez siebie zespołu badawczego. Szerokość horyzontów badawczych autora otwiera, z perspektywy czytelnika niespecjalisty, „za dalą dal": ledwie wyda nam się, że pojmujemy coś z teorii przedstawień wartości grupowej, ledwie skojarzymy cokolwiek z dorobku Bourdieu, bezlitosny Łuczewski sięga po rozróżnienie na narrację progresywną oraz regresywną – i tak bez końca. Czytając „Kapitał moralny", trudno nie poczuć się jak ktoś, kto nie tyle zdaje egzamin życia u biblijnego patriarchy z obrazów Rembrandta, ile właśnie go oblał.

Warto jednak narazić się na tę kłopotliwą sytuację, bo ustalenia i hipotezy zawarte w „Kapitale moralnym" rozjaśniają wiele, a autor, pozwalając sobie na odważne dygresje i niełatwe w odbiorze rozważania teoretyczne, zachowuje zarazem dyscyplinę. Najpierw dyskutuje wstępną definicję pojęcia (polityka historyczna to według niego „praktyka aktorów pamięci, którzy [...] zdobywają kapitał moralny, (re)konstruując moralne opowieści dotyczące rzeczywistej bądź wyobrażonej przeszłości [swojej] wspólnoty"), a następnie zawęża przedmiot badań do inicjatyw władz Niemiec, Polski Rosji, dotyczących takich miejsc pamięci jak muzea i pomniki: upamiętniające przeszłość (ze szczególnym uwzględnieniem tych upamiętniających przeszłość, zwłaszcza XX-wieczną), stworzone lub odnowione po 1989 r., na które przeznaczono największe środki z założeniem, że będą to placówki centralne i najpopularniejsze.

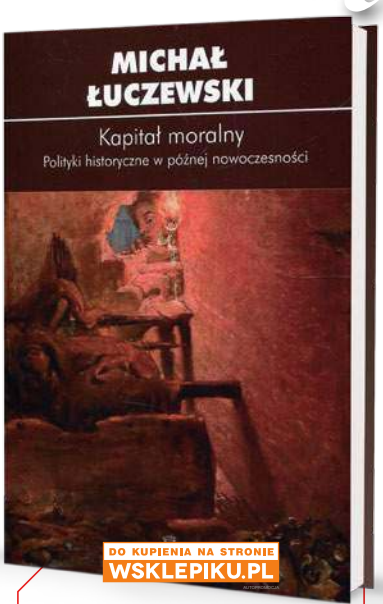
Już sama lista wyłonionych na podstawie tych kryteriów 30 placówek wydaje się wymowna: Miejsca pamięci Dachau i Buchenwaldu, Muzeum Historii Niemiec i pomnik Pomordowanych Żydów Europy (to, rzecz jasna, w Niemczech) w zestawieniu z Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum II Wojny Światowej i Muzeum Historii Polski oraz Mauzoleum Lenina, Kurhanem Mamaja, Soborem Chrystusa Zbawiciela i Państwowym Muzeum Gułagu tworzą trzy zbiory nasycone znaczeniami, pozostające w stanie interakcji, rywalizacji, nieraz przeczenia sobie nawzajem. To jednak, co czytelnik odbiera dość powierzchownie i intuicyjnie, Łuczewski analizuje, odwołując się do kolejnych pięter swoich wcześniejszych ustaleń, przede wszystkim zaś – do trzech zdefiniowanych przez siebie na nowo typów opowieści o przeszłości: „konwersji" (w takim przypadku narrator powraca do przeszłości po to, żeby się od niej odciąć, doświadczyć przemiany po wcześniejszym upadku przodków-sprawców), „resourcement" (narrator uznaje się za spadkobiercę dawnych ofiar) i „etosu" (narrator odwołuje się do dokonań bohaterów).

Te rozważania, prowadzone zgodnie z akademickimi rygorami, nie toczą się w oderwaniu od bieżącej sytuacji trzech badanych krajów: Łuczewski nie kryje troski, pytając już we wstępie: „Jak wyjaśnić okoliczność, że obecnie status spadkobiercy sprawców Holocaustu

eprasa.pl 047454cd83

(Niemcy) jest wyższy niż status nie tylko tych, którzy Holocaust powstrzymali (Rosja), ale także spadkobierców tych, którzy byli pierwszą ofiarą ludobójczej polityki niemieckiego państwa (Polacy)?". Odpowiedzi na to często zadawane pytanie poszukuje na szczęście nie felietonowy moralista, lecz naukowiec, który nie szuka winnych, nie tworzy z grubo ciosanych głazów retoryki kolejnych redut dobrego imienia, lecz pokazuje możliwe kierunki prowadzenia „moralnych opowieści dotyczących przeszłości wspólnoty".

Opowieści tych nigdzie nie konstruowano do końca konsekwentnie. Z wywodów Łuczewskiego wynika jednak, że narracje o przeszłości w Niemczech najbliższe są retoryce „konwersji", czyli przemiany. Polska (w której spory o kształt polityki historycznej najgłębiej dzielą kraj) skłania się, na poziomie narracji muzealnej do poziomu resourcement, przywoływania ofiar (zarazem jednak zauważmy, Polska jest jedynym z trzech badanych krajów, w których powstają muzea indywidualnych bohaterów: Józefa Piłsudskiego oraz Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego). W Rosji narracja najczęściej zgodna jest ze wzorem etosu: opowieści o bohaterach.



Michał Łuczewski, „Kapitał moralny. Polityki historyczne w późnej nowoczesności", Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków, 2018

Autor książki przełomowej i wymagającej czasu, by została przyswojona przez opinię publiczną, ukazuje, jak złożone mechanizmy kształtują wizje przeszłości, a zarazem – jak wizje te są ważne. „Gdy pogłębia się globalny kryzys, który podważa źródła legitymizacji nowoczesnych państw – pisze w ostatnich zdaniach – rola kapitału moralnego będzie bezustannie rosła, a razem z nią – rola polityki historycznej. Już nieodwołalnie jest ona kluczowym elementem współczesnych stosunków międzynarodowych, które będą określać jutrzejszy stan świata".

Pomarańczowa nostalgia

Zbiór szkiców ukazujących korzenie dzisiejszej Holandii to wprawdzie błahostka historiograficzna (inna rzecz, że po lekturze „Kapitału moralnego" wydaje się nią większość książek), lecz błahostka napisana z dużą swadą. Sięgając po kolejny tytuł z nowej, żywo wydawanej serii „Mundus" Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, nietrudno dostrzec wspólny im format: to szczególna odmiana literatury faktu, nie tyle reportaże z pierwszej linii frontu pisane przez obieżyświata, ile spojrzenie osób, które szczęśliwie stoją na granicy dwóch światów, związawszy się na dłuższy czas z nowym krajem już to przez ożenek, już to przez pracę: na tyle blisko, by poznać zachowania życia codziennego, na tyle daleko, by dostrzec osobliwości umykające „nativom".

Takie jest też spojrzenie na Królestwo Niderlandów Bena Coatesa, który trafił nad Mozę trochę przypadkiem, z doświadczeniem pracy w brytyjskim marketingu politycznym (co, jak zgaduję, czyni spojrzenie zarazem bystrym i chłodnym) oraz powziął zamiar opisania przesileń przeszłości i wyzwań teraźniejszości warunkujących dzisiejszą Holandię, dodając do tego sporo anegdot o „life hacks", które muszą opanować przybysze, a także garść panoram i smaków.

Czyta się to świetnie, fakty z podręczników historii powszechnej, fragmenty esejów Herberta i tytuły prasy współczesnej układają się w jedną całość, losy Kompanii Wschodnioindyjskiej, Anny Frank i Pima Fortuyna zaczynają wynikać jeden z drugiego. A zarazem Coatesowi udało się (sądzę, że bezwiednie, skoro sam przedstawia się jako „ateusz z grzesznego Londynu", a kreuje na luzaka o złotym sercu) ukazać między wierszami osobliwy, niewyrażony wprost smutek tego jednego z najbardziej „ponowoczesnych" krajów, w którym wszystkie tradycje i pamięci, od monarchii, przez Boże Narodzenie, po wspomnienia ostatniej wojny, zdają się (przynajmniej w jego reportażu) jedynie okazją do kilkugodzinnej maskarady i rozpaczliwej zabawy nad, jak pisze, naparstkiem piwa – zabawy mającej zagłuszyć pustkę.



Ben Coates, „Skąd się biorą Holendrzy", tłum. Barbara Gutowska-Nowak, Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2018

eprasa.pl 047454cd83

Adamski poleca



Kino

Znakomity sequel

Sequele nie są nigdy udane? „Sicario 2: Soldado" przeczy tej tezie. Może spokojnie stanąć na krótkiej półce z kontynuacjami równie dobrymi, co oryginał. Nie ma na reżyserskim stołku Denisa Villeneuve'a i zniknęła postać grana przez Emily Blunt. Nie zmienił się jednak wyjątkowy klimat opowieści o walce z narkotykowymi kartelami. Akcja skupia się na bezwzględnym agencie CIA (Josh Brolin) i byłym meksykańskim prokuratorze (Benicio del Toro) wykonującym dla Amerykanów brudną robotę. Obaj w poprzednim filmie uosabiali szokująco cyniczne działanie amerykańskich służb. Teraz mówią nam o nich znacznie więcej.

Podobnie jak w filmie Villeneuve'a wchodzimy w brutalny i pozbawiony zasad świat walki z narkobiznesem. Włoch Stefano Sollima nie naśladuje stylu Kanadyjczyka. Opowiada odrębną historię. Krwawą, brudną i równie pesymistyczną jak pierwsza część. To relacja z frontu wojny. Wojny niemożliwej do wygrania. Można ją jedynie regulować i nie pozwolić, by wymknęła się spod kontroli.

Sollima pracował przy wybitnych włoskich serialach „Gomorra" i „Suburra". W każdym ujęciu widać jego umiejętność pokazania brutalności świata. Nie zobaczycie tutaj wymyślnie brawurowej narracji rodem z „Narcos". To wizja walki z kartelami bez najmniejszej mitologii. Bez retuszu. Bez złudzeń co do możliwości naprawy świata. Pierwsze „Sicario" stawiało bardzo cyniczną tezę: nie da się wygrać wojny z narkotykami, dopóki społeczeństwo będzie po nie sięgało. Rynek można jedynie kontrolować. W drugiej odsłonie widzimy, jak amerykańskie służby rozpętują wojnę między kartelami, by schwytać terrorystów nielegalnie szmuglujących islamskich fanatyków przez meksykańsko-amerykańską granicę. Nie ma żadnych zasad walki z wrogiem. Liczy się wynik. Cel uświęca środki.



Mający zielone światło od Departamentu Stanu i zakamuflowane finansowanie agenci amerykańskich służb bezwzględnie strzelają do skorumpowanych meksykańskich policjantów, torturują terrorystów i reżyserują chaos przy własnej granicy. Wszystko pokazane jest bez ideologicznego zacięcia mówiącego, jak paskudne i złe są amerykańskie służby. Ba, można odnieść przygnębiające wrażenie, że nie da się tej wojny prowadzić inaczej.

Kilka scen „Sicario 2" na zawsze pozostanie w pamięci. Wysadzenie się terrorysty tuż przy błagającej go o litość matce z małym chłopcem mówi o terroryzmie więcej niż elaboraty z poważnych pism. Surowe, niepokojące i ciężkie ujęcia Dariusza Wolskiego nie pozwalają nazwać tego filmu wakacyjnym, rozrywkowym kinem. To przygnębiająca relacja z samego wnętrza piekła, pochłaniającego każdego, kto postawi w nim nogę. Przemoc naprawdę powoduje jeszcze większą przemoc. Tylko czy jest od tego kołowrotka jakakolwiek ucieczka?

„SICARIO 2: SOLDADO", REŻ. STEFANO SOLLIMA, DYSTR. MONOLITH

VOD/telewizja

Narodziny Słowacji

Jeszcze raz mnie o to spytasz, to tak ci jeb..., że popamiętasz" – mówi do reportera były premier Słowacji Vladimír Mečiar. Zapytano go, skąd wziął pieniądze na budowę luksusowej willi. Tak zaczyna się dokument Terezy Nvotovej „Mečiar". Film nie tylko opowiada o rządzącym Słowacją w latach 1993–1998 kontrowersyjnym polityku. To ciekawe spojrzenie na rodzącą się w postkomunistycznej rzeczywistości słowacką państwowość i demokrację. Epoka Vladimíra Mečiara kojarzy się wielu Słowakom z korupcją, złodziejską prywatyzacją majątku państwowego, mafijnymi wojnami i wykorzystywaniem teczek bezpieki do walki politycznej. Słowacki premier od 1998 r. nie pojawiał się w mediach. Wyjątek zrobił dla Nvotovej. Autorka mówi otwarcie o do dziś tajemniczym porwaniu syna (walczącego z Mečiarem) prezydenta Kováca; przekonuje, że Mečiar hamował wejście Słowacji do NATO i UE oraz odpowiada za radykalne spolaryzowanie społeczeństwa. Teza filmu jest jasna, jednak dzięki dotarciu do samego Mečiara dokument w obiektywny sposób opisuje Słowację lat 90.



„MEČIAR", REŻ. TEREZA NVOTOVÁ. FILM DOSTĘPNY NA HBO I HBO GO

Skala ocen: rewelacja | dobry | pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 047454cd83

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

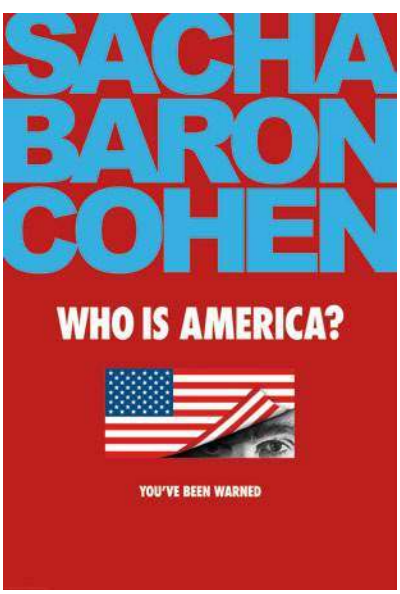
Adamski odradza

Borat wrócił!

VOD

Sacha Baron Cohen to wyjątkowy prowokator. Nie unika grania w wysokobudżetowych hollywoodzkich produkcjach („Nędznicy", „Hugo i jego wynalazek", „Sweeney Todd"), ale jego głównym teatrem jest prowokacyjna i „prankowa" komedia. Zarówno jako pokręcony biały Murzyn Ali G, przybywający z Kazachstanu Borat czy przegięty gej Bruno piętnował nonsensy poprawności politycznej. Cohen nigdy nie unikał jednoznacznie liberalnego spojrzenia na rzeczywistość. Potrafi jednak dowalić zarówno konserwatystom, jak i liberałom.

Telewizyjny powrót Cohena opiera się na znanej formule. Aktor wciela się w kilku bohaterów i wkręca w rozmowy znane postacie. W otwarciu „Who is America?" jego celem padł m.in. niedoszły kandydat na prezydenta USA, socjalista Bernie Sanders, który udzielał wywiadu skrajnie prawicowemu, jeżdżącemu na wózku weteranowi wojennemu. Absurdalna rozmowa skończyła się pełnym niedowierzania stwierdzeniem Sandersa: „Billy, nie wiem, o czym mówisz".

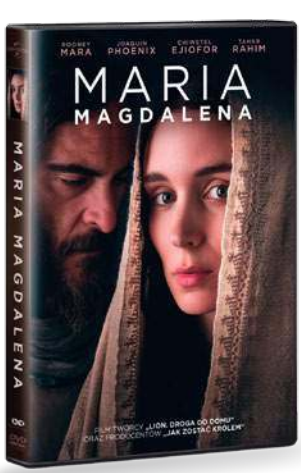


Cohen z wierzącego w teorie spiskowe prawicowca gładko przechodzi w komiksowego lewaka, pedałującego po Ameryce Dr. Nirę Cain-N'Degeocello, który nawiedza domostwa zdeklarowanych wyborców Donalda Trumpa. Ten fragment show, podobnie jak wcielenie się Cohena w artystę skazańca malującego własnymi odchodami, był uderzeniem w arbitralnie narzucane przez lewicę normy poprawności politycznej i istotę nowoczesnej sztuki. Cohen jest Żydem, więc nie ma problemów (podobnie jak Woody Allen czy Larry Clark) z wyśmiewaniem Izraela i bawieniem się antysemickimi stereotypami. Fragment o żydowskim komandosie wkręcającym znanych prawicowych polityków w nawoływanie do promocji broni palnej w podstawówkach jest bardziej przerażający niż zabawny.

Niemniej jednak otwarcie „Who is America?" jest wtórne i rozczarowujące. To popłuczyny po bezczelnej niepoprawności „Borata". Cieszę się, że po słabym „Dyktatorze" i szokująco głupim (choć uroczym) „Grimsbym" Cohen wraca do źródeł swojego humoru. Zarówno jako niepełnosprawny redneck, jak i zidiociały lewak, brytyjski komik jest wizualnie przezabawny. Problem w tym, że jego rozmowy do niczego nie prowadzą. Zmieszane spojrzenie rozmówcy, zszokowana mina nie odkrywają nam prawdy o Ameryce ponad to, co widzieliśmy w produkcjach „Borat" i „Bruno". By uświadomić sobie, jak wtórny stał się humor Cohena, obejrzyjcie niedocenioną perełkę prank-vérité „Jackass: Bezwstydny dziadek" z 2013 r., w której wulgarny humor Johnny'ego Knoxvilla został doskonale podlany wrażliwością Spike'a Jonze'a. Próżno szukać tego poziomu u Cohena.

Mam nadzieję, że kolejne odcinki będą miały poziom fragmentu o agencie Mosadu lobbującym za sprzedażą broni trzylatkom. To rzeczywiście satyra o sile samochodowej rozmowy kazachskiego dziennikarza z pijanymi amerykańskimi studentami. Kawał socjologicznego eksperymentu. Obawiam się jednak, że nawet to jest dziś poprzeczka nie do przeskoczenia dla Cohena. A może się mylę?

„WHO IS AMERICA?"
DOSTĘPNY OD 15 LIPCA NA HBO GO



Politpoprawna Ewangelia

DVD

Joaquin Phoenix to jeden z najbardziej wszechstronnych współczesnych aktorów. Jest równie wiarygodny jako Johnny Cash oraz jako Jezus z Nazaretu. Szkoda, że intrygująca rola Zbawiciela została stworzona w tak kuriozalnym filmie. Wizja działalności i męki Jezusa okiem Marii Magdaleny (Rooney Mara) nie ma w sobie antychrześcijańskiego zacięcia, ale uderza w prawdę zawartą w Ewangeliach. Garth Davis zrobił film rewizjonistyczny i feministyczny o infantylnej wymowie „Kodu da Vinci" Browna. Maria to niezależna i mądra kobieta, która zostaje wyrugowana przez apostołów z ich grona, mimo że była ukochaną uczennicą Jezusa. Przez patriarchalną zazdrość zrobiono z niej kobietę upadłą. Dlaczego? Bo tylko ona rozumiała w pełni miłosierdzie Jezusa, czego nie dostrzegł nawet czarnoskóry (sic!) Piotr (Chiwetel Ejiofor). Politpoprawna wersja Ewangelii? Dziękuję, ale zostanę przy Melu Gibsonie i obrazoburczym, ale duchowo inspirującym, Martinie Scorsese.

„MARIA MAGDALENA",
REŻ. GARTH DAVIS, DYSTR. UIP

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 047454cd83



Hołd dla „Pasji” Pendereckiego w Salzburgu

Krzysztof Penderecki, „Pasja według św. Łukasza”; Orchestre Symphonique de Montreal, Kent Nagano – dyrygent, soliści: Sarah Wegener, Lucas Meachem, Matthew Rose; narrator – Sławomir Holland; Chór Filharmonii Krakowskiej, Warszawski Chór Chłopięcy; 20 lipca koncert inauguracyjny 98. Salzburger Festspiele (przy współpracy Instytutu Adama Mickiewicza)

Fot. Salzburger Festspiele/Marco Borrelli

Aplauzem na stojąco publiczność 98. Festiwalu Salzburskiego nagrodziła Krzysztofa Pendereckiego i jego „Pasję według św. Łukasza” w wybornym wykonaniu symfoników montrealskich, dwóch polskich chórów oraz światowej klasy solistów pod batutą amerykańskiego dyrygenta Kenta Nagano



ADAM CIESIELSKI

Pasja” jest najczęściej wykonywanym dziełem Pendereckiego. Artysta napisał je na zamówienie rozgłośni Westdeutscher Rundfunk na 700-lecie katedry z Münster, ale ważniejszą inspiracją było dlań przypadające jednocześnie 1000-lecie chrześcijaństwa w Polsce. Prawykonanie odbyło się 30 marca 1966 r. we wspomnianej westfalskiej świątyni. Niemiecką orkiestrę radiową i chóry poprowadził Henryk Czyż, a solistami byli wybitni polscy śpiewacy: Stefania Woytowicz, Andrzej Hiolski i Bernard Ładysz.

Ten sam kapelmistrz z tymi samymi wokalistami, z Leszkiem Herdegenem jako narratorem oraz z orkiestrą i chórami Filharmonii Krakowskiej trzy tygodnie później dyrygował w Krakowie premierą krajową.

Do dziś utwór miał na świecie ponad sto interpretacji. Szczególnie obfite było ostatnie dziesięciolecie. Dzięki inicjatywie Instytutu Adama Mickiewicza „Pasja” wróciła m.in. na Wyspy Brytyjskie. W 2009 r. zabrzmiała w katedrze w Canterbury, w 2017 r. relacjonowałem jej sukces w Royal Festival Hall, pół wieku po pierwszej prezentacji w tej prestiżowej londyńskiej sali. Teraz wróciła także na Salzburger Festspiele, gdzie oklaskiwano ją już w 1970 r.

Ten powrót przygotowano z wyjątkową starannością. Legendarny festiwal w mieście Mozarta wybrał polskie arcydzieło na inaugurację i motto ideowe pięciotygodniowego programu. Chodziło o specjalnie uhonorowanie Krzysztofa Pendereckiego, jednego z największych kompozytorów współczesnych, na jego 85. urodziny. Trafny był wybór renomowanej Orchestre Symphonique de Montreal pod batutą 66-letniego Kenta Nagano, Amerykanina o japońskich korzeniach, znanego ze śmiałości repertuarowej i wyrafinowanych interpretacji. Wielokrotnego zdobywcy Grammy. To trofeum mają w dorobku także soliści: znani z najlepszych scen fenomenalny amerykański baryton Lucas Meachem oraz angielski bas Matthew Rose, którym nie ustępowała ceniona brytyjsko-niemiecka sopranistka Sarah Wegener. Narratorem recytującym łaciński tekst był aktor Sławomir Holland. W oddaniu wyrazistej, ale nie przeszarżowanej w ekspresji wizji sakralnego dzieła kluczową rolę miały znakomite polskie zespoły śpiewacze: Chór Filharmonii Krakowskiej oraz Warszawski Chór Chłopięcy.

Po wybrzmieniu ostatnich nut olbrzymie, wykute w skale audytorium Felsenreitschule wybuchło burzą braw. Gdy do 240 artystów na scenie dołączył z widowni Krzysztof Penderecki, aplauz przeszedł w długo niemilknącą owację na stojąco. Kompozytor z dyrygentem i solistami wracali trzykrotnie, wywoływani przez entuzjastyczną publiczność.

Krytyka uznała prezentację „Pasji” za wydarzenie Salzburger Festspiele, choć festiwal dopiero się rozpoczął. Trwająca do 30 sierpnia jedna z najważniejszych imprez muzycznych na świecie gwarantuje udział imponującej plejady gwiazd opery, filharmonii i teatru. Z Polaków Krystian Zimerman z London Symphony Orchestra zagra (20 sierpnia) II Symfonię Leonarda Bernsteina „The Age of Anxiety”. Krzysztof Warlikowski reżyseruje zaś operę Hansa Wernera Henzego „Bachantki”. Szefem muzycznym tego przedsięwzięcia (spektakle 16, 19, 23 i 26 sierpnia) jest Kent Nagano. Charyzmatyczny maestro poprowadzi Filharmoników Wiedeńskich z chórem Opery Wiedeńskiej i stawką solistów.

eprasa.pl 047454cd83

Hit tygodnia

Telewizor FERGUSON PHT2-10



Telewizor, który można zabrać z sobą, gdyż mieści się w kieszeni (większej kieszeni)? Ferguson PHT2-10 to przenośny, niewielki, bogaty w funkcje i akcesoria telewizor. Dzięki dołączonej aktywnej antenie i ładowarce samochodowej programy są dostępne dosłownie wszędzie. Urządzenie za sprawą pojemnych ogniw może długo wyświetlać wysokiej jakości obraz telewizyjny lub odtwarzać pliki filmowe (także z napisami). Po podłączeniu pendrive'a lub napędu zewnętrznego umożliwia także zapis oglądanych audycji telewizyjnych (funkcja PVR) – a więc można nie tylko oglądać, lecz również zapisać na później swoje ulubione programy. **Cena: 399 zł**

Plusy i minusy

+ idealny do „pracy" w terenie, na działce, w lesie, nad wodą itp.
– nie wymagajmy od tego telewizora nie wiadomo czego

Lornetki Nikon MONARCH HG

Firma Nikon – znana przede wszystkim z produkcji sprzętu fotograficznego – wprowadza na rynek lornetki o średnicy obiektywów 30 mm (8 × 30 i 10 × 30) z serii MONARCH HG. Modele z obiektywami 30 mm są niewielkie, a za sprawą magnezowego korpusu o masie zaledwie 450 g – również bardzo lekkie. Korpus z odlewu magnezowego charakteryzuje się wodoszczelnością (do 5 m przez 10 min) oraz odpornością na zaparowanie. Cecha ta zapobiega zaparowaniu wnętrza układu optycznego nawet w warunkach niskiego ciśnienia na wysokościach do 5 tys. m. Nowe modele wyposażono w pasek redukujący nacisk na szyję użytkownika oraz wzmocniony futerał, chroniący lornetkę w podróży. **Premiera**





Klawiatura Razer Huntsman

Razer poinformował o debiucie nowej linii hiendowych klawiatur dla graczy – Razer Huntsman, która będzie się składać z dwóch modeli. Razer Huntsman Elite wyposażono w specjalne klawisze multimedialne, podpórkę pod nadgarstki oraz podświetlenie typu underglow. Drugi model, Razer Hunstman, zaprojektowano przede wszystkim z myślą o wydajności. Obie klawiatury będą wykorzystywać nowe optyczne przełączniki mechaniczne (Opto-Mechanical Switches), aktywujące klawisze z prędkością światła. Huntsman Elite jest pierwszą klawiaturą Razera wyposażoną w systemy Hybrid On-board i Cloud Storage. Za ich pośrednictwem możliwe jest przechowywanie spersonalizowanych ustawień bezpośrednio w pamięci klawiatury lub w chmurze.

Cena: 160 i 210 euro

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 047454cd83

Wymarzone wakacje nie muszą nas zrujnować



Planowanie wyjazdu wakacyjnego to wielka przyjemność. Wybór celu podróży, formy wypoczynku, atrakcji towarzyszących letnim dniom to również wyzwanie. Jednakże dzięki naszemu zmysłowi organizacyjnemu i sprytowi potrafimy spełniać swoje marzenia bez rujnowania budżetu. Wystarczy znać kilka sztuczek...

Na letnie miesiące czekamy cały rok. Wyczekujemy ich niemal tak niecierpliwie jak dzieci przerwy w nauce. Niektórzy z nas już świeżo po powrocie z wakacji rozglądają się za ofertą na kolejne. To dobry sposób na złapanie okazji!

FIRST MINUTE CZY LAST MINUTE

Co kto lubi. Jedni wybiorą kuszące – nawet rok wcześniej – zapowiedzi z gwarancją znacznie niższej ceny. Podczas pobytu na kempingu, w pensjonacie czy w hotelu, decydując się na rezerwację kolejnego pobytu, możemy się spodziewać dużego rabatu. Niektórzy gospodarze w ten sposób zapełniają grafik długo przed następnym sezonem. Koszty wypoczynku pokryjemy, rzecz jasna, za rok.

Są wśród nas i tacy, co kochają dreszczyk emocji towarzyszący łapaniu okazji w ostatnim momencie. Amatorzy niespodzianek, szczególnie ci o silnych nerwach, potrafią schwycić nie lada okazje: miejsca w samolotach czy zakwaterowanie w promocyjnej cenie – zwolnione w ostatniej chwili przez pechowca, który musiał odwołać swoje wakacje marzeń. Poza refleksem przydatna w takim momencie jest karta i korzystne konto bankowe z szybkim dostępem. Czasem sekundy decydują o pierwszeństwie w rezerwacji atrakcyjnej oferty!

BOOKING.COM CZY AIRBNB.PL

Wakacje są w końcu raz w roku. Chcemy więc, by były uszyte na miarę naszych potrzeb. A że każdemu pasuje co innego, najlepiej przejrzeć tysiące ofert, dostosowując kryteria wyszukiwania do naszych wszystkich zachcianek. Warto dokładnie przeczesać internet i nie ufać jedynie marketingowi, za to uważnie czytać komentarze i opinie dotychczasowych gości.

Podczas rezerwacji noclegu lotu, czy całego wypoczynku przydatna jest karta. Jest ona dowodem naszej wiarygodności dla gospodarza. A nam otwiera drogę do większej liczby ofert. Przede wszystkim zaś ułatwia transakcję. Dobra karta – np. wielowalutowa – pozwala nam się cieszyć płatnościami bezgotówkowymi na całym świecie bez przewalutowywania. To z kolei oznacza dla każdego podróżnika duże oszczędności i większą łatwość płatności niezależnie od kraju, w którym przebywa.

eprasa.pl 047454cd83

ALL INCLUSIVE CZY NA WŁASNĄ RĘKĘ

Zwolennicy błogiego lenistwa na pewno chcą mieć wszystko w zasięgu, i to bez ograniczeń. To dla nich stworzono ofertę, w której nie muszą się kłopotać o dodatkowe wydatki. Jedzenie, picie, atrakcje – zostały ujęte w cenie turnusu. Wystarczy tylko korzystać maksymalnie z tego, co już wcześniej opłacone.

Spotkamy także tych, którzy wolą osobiście decydować, gdzie, co i za ile zjedzą. Niektórzy gotują sami, robiąc zakupy na miejscowych targach. Inni lubią zacząć dzień podanym im śniadaniem, a wieczorami poznają lokalną kuchnię w okolicznych knajpkach. W obu przypadkach przyda się i gotówka, i karta. Dobrze, jeśli nasz rachunek bankowy pozwala na bezprowizyjną wypłatę gotówki z bankomatu za granicą w każdej walucie. Wygodnie również jest płacić na miejscu kartą, co oszczędza nam kosztów przewalutowania.

LICZY SIĘ DOBRY DOSTĘP

Nieważne, czy już znaleźliśmy się na końcu świata, czy dopiero planujemy swój wyjazd podczas lunchu w pracy, sprawna aplikacja mobilna jest kluczem do sukcesu. W śniegach alpejskiego lodowca, na plażach Bali czy w hinduskim klasztorze – wszędzie tam, gdzie jest dostęp do internetu, musimy mieć możliwość sprawnego skorzystania z bankowości mobilnej.

Być może nie będziemy zainteresowani najnowszymi wiadomościami politycznymi, kursami akcji. Nie będziemy też sprawdzać codziennie wyników meczów. Odpuścimy nawet Twittera, Facebooka i Instagrama. W czasie wyjazdu musimy jednak panować nad naszym „elektronicznym portfelem". To ważne dla bezpieczeństwa, ale również dla mądrego, oszczędnego zarządzania pieniędzmi podczas podróży.

PODSTAWĄ DOBRE KONTO

Wyniki badań pokazują, że klienci banków przede wszystkim oczekują bezpłatnego konta i karty, szerokiej sieci bezprowizyjnych bankomatów i prostej w obsłudze bankowości elektronicznej. Te same potrzeby muszą być zaspokojone również w podróży za granicą.

Konto Przekorzystne to rachunek w Banku Pekao, w którego ramach oferowany jest pakiet produktów i usług bankowych przydatnych w podróży: karta wielowalutowa, bezpłatne rachunki walutowe, nowoczesna bankowość mobilna PeoPay oraz usługa wymiany walut on-line, bezpłatne wypłaty z bankomatów za granicą.

Spełniając kilka warunków, można liczyć na całkowicie bezpłatną obsługę konta. Młodzi klienci – do 26. roku życia – bezwarunkowo otrzymują cały pakiet produktów bezpłatnie.

A WRAZ Z KONTEM – KARTA

Razem z Kontem Przekorzystnym każdy klient może otrzymać bezpłatną, debetową kartę wielowalutową Mastercard. Karta ta pozwala w wygodny sposób realizować płatności zarówno w kraju w PLN, jak i za granicą w najpopularniejszych walutach świata bez przewalutowania: USD, EUR, GBP i CHF. Kartą można także wypłacić gotówkę z bankomatów za granicą bez dodatkowych prowizji banku.

Karta automatycznie rozpoznaje walutę i pobiera środki z właściwego konta walutowego. W krajach, gdzie obowiązują inne waluty, transakcje są przewalutowywane bezpośrednio z rachunku w złotych, bez dodatkowych prowizji banku, po atrakcyjnych kursach Mastercard. Rozwiązanie takie pozwala uniknąć przykrej niespodzianki po powrocie z urlopu w postaci niekorzystnych dla klienta, ukrytych opłat związanych z przewalutowaniem lub wysokich kursów przeliczeniowych.

– Zalety Konta Przekorzystnego najlepiej pokazuje to, że od końca stycznia, gdy pojawiło się w ofercie Pekao S.A., do pierwszych dni maja otwarto już ponad 100 tys. kont! Tak duży sukces możliwy był tylko dzięki faktycznej atrakcyjności konta. Teraz, gdy planowane są wyjazdy wakacyjne, chcemy podkreślić dwie cechy karty wydawanej do nowego konta, rzadko spotykane w innych bankach. To możliwość bezpłatnych wypłat gotówki za granicą oraz automatyczne, „inteligentne" przełączanie się karty do bezpłatnych kont walutowych w celu uniknięcia przewalutowania. Co więcej, w przypadku braku danej waluty karta pobierze środki z konta złotówkowego po bardzo atrakcyjnych kursach. W ten sposób łączymy w sobie wygodę płacenia kartą w wielu walutach i bezpłatnego wypłacania gotówki – mówi Remigiusz Hołdys, dyrektor zarządzający z Banku Pekao S.A.

BANKOWOŚĆ MOBILNA PEOPAY

Dla wygody klienta bank udostępnia aplikację PeoPay. To wyjątkowo prosty dostęp do salda, produktów i ich historii, przelewów i wiele więcej w telefonie.

Dzięki niej zapłacimy zbliżeniowo w kraju i za granicą, także w USD, EUR, GBP i CHF, z naszych kont walutowych, bez przewalutowania. Aplikacja sama rozpoznaje przy transakcji w sklepie czy internecie, z jakiego konta należy pobrać pieniądze. To idealne, wręcz oszczędne i wygodne rozwiązanie dla klienta, bo nie ma potrzeby posiadania kilku kart, kilku PIN-ów, czy szukania kantora. Dostępne są płatności i wypłaty z bankomatów oznaczonych logo BLIK w całej Polsce. W każdej chwili możemy się zalogować, zatwierdzić przelew lub płatność (także w internecie) – również odciskiem palca. Mamy stały dostęp do salda rachunku i pełną kontrolę nad nim, nawet w najodleglejszym zakątku świata.

CZAS W DROGĘ!

Teraz, kiedy planowanie wakacji nie ma już przed nami tajemnic, pozostaje sprawdzić w praktyce, jak to działa. Sprytna organizacja wypoczynku połączona z mądrym zarządzaniem finansami w czasie wyjazdu sprawi, że jedyną pamiątką z podróży będą miłe wspomnienia zamiast debetu na koncie bankowym.

Anna Raciniewska

Materiał przy współpracy z Bankiem Pekao S.A.

eprasa.pl 047454cd83



Od Wawelu po Gdańsk

AGATA BYKOWSKA - GABIJA Z SERIALU „KORONA KRÓLÓW"

Rodzinna Ruda Śląska z czasu dzieciństwa kojarzy mi się z zapachami: sieni (po ślonsku lauba) w domu babci Brygidy i jedzenia u babci Hali. Przy czym w czasie różnych uroczystości i świąt także u pierwszej babci sień wypełniała się niesamowitym aromatem pysznych ciast oraz pięknie zdobionych tortów, z których babcia słynie. W tłusty czwartek obowiązkowo przyjeżdżaliśmy do babci Brygidki na pączki. Pamiętam też deser, który przygotowywała: pokrojoną w kostkę kolorową galaretkę z bitą śmietaną.

Z kolei babcia Hala nie miała i nie ma sobie równych w gotowaniu. Każda wizyta u niej łączy się z jedzeniem. Goszcząc i karmiąc, okazuje swoją miłość i uwagę. Do dzisiaj, gdy się do niej wybieram, pyta, na co mam ochotę. Uwielbiam jej botwinkową zupę.

Gdy byłam mała, niedzielny obiad u babci Brygidy to była rolada, modra kapusta i kluski. Tradycyjne śląskie smaki, do których dziś z sentymentem wracam, a które zostawiłam, wyjeżdżając z domu. Najpierw do Wrocławia, a potem do Gdańska.

W szkole teatralnej we Wrocławiu nie zawracałam sobie głowy jedzeniem. Było tyle ważniejszych spraw. Moje podejście, także do kulinariów, zmieniło się, gdy po dyplomie dostałam angaż do Teatru Wybrzeże i zamieszkałam w Gdańsku.

Od kiedy się usamodzielniłam – z bycia studentką dorosłam do większej dojrzałości i zawodowej, i życiowej – zaczęłam doceniać inny niż wcześniej sposób spędzania czasu. Nie tak pospieszny. Pracując, mogłam sobie pozwolić na poznawanie nowych miejsc oraz kultur i rozsmakowywanie się w nich.

W kuchni włoskiej poza potrawami urzekł mnie rytuał, niemal filozofia związana z jedzeniem, a właściwie byciem razem przy stole, przeciągającym się do późnych godzin nocnych. Przyjaciółka, która mieszka we Włoszech, wprowadzała mnie w ten południowy rytm. Natomiast w gdańskim zespole stworzyliśmy grupkę, w której czasem coś wspólnie ugotujemy, ale częściej wybieramy się do różnych knajpek nad morze lub do leżącej koło Gdańska malowniczej wsi Otomin czy na Kaszuby. W każdym z nowo poznanych miejsc szukamy też lokalnych smaków.

Za sprawą serialu „Korona królów" telewidzowie łączą mnie z ekranową Gabiją, zaufaną kucharką królowej Anny, a potem jej ochmistrzynią. Gabija urozmaica menu na Wawelu, wprowadzając do niego litewskie specjały. Prywatnie niestety nie mam dobrych kulinarnych wspomnień związanych z Litwą. Na szkolnej wycieczce śladami Adama Mickiewicza (byłam wtedy w liceum) trafiliśmy do restauracji, w której podano nam niezjadliwe kartacze i kiszkę ziemniaczaną. Od tamtego czasu nie miałam kontaktu z litewską kuchnią, ale może za sprawą serialu to się zmieni.

Dołączam przepis wprawdzie nie mój, lecz mojej młodszej siostry, która zamiłowanie do pieczenia ciast i tortów odziedziczyła chyba po babci. Przepis powstał metodą prób i błędów, gdy była bardzo mała i stawiała swoje pierwsze kulinarne kroki.

Notowała
Jolanta Gajda-Zadworna

Ciastka zdechlaki-kotleciaki



Fot. TVP, Shutterstock

Potrzebne produkty: mąka, orzechy włoskie, kakao, cukier, mleko, olej. Ważna uwaga dotycząca składników: na oko.

Wykonanie: Orzechy miażdżymy i wszystko razem mieszamy do uzyskania gęstej masy. Smarujemy blachę masłem i lejemy masę, aby utworzyły się kółeczka. Wstawiamy do piekarnika na 180°C na byle jaki tryb, tylko bez wiatraka. Po jakimś tam czasie wyjmujemy. I gotowe.

eprasa.pl 047454cd83



SŁODKO-SŁONY

Jak dobrze mieć sąsiada

ANNA MONICKA

Dodajmy jeszcze – dobrego sąsiada.

Niedziela, godzina 10.30. Siedzę w wannie i planuję właśnie leniwą niedzielę. Czytanie książek, spacer, rower, może kino? Zamiast obiadu – ziemniaki z koperkiem i kefir. I leżenie martwym bykiem.

Nagle telefon. – Lubisz świeże rybki? – pyta sąsiadka. – Bo inny sąsiad był nad jeziorkiem w naszym lesie i trochę nałapał. Nawet nie wiem co, ale pewnie jakieś płoteczki. Jeszcze ciepłe są, a ja nie mam teraz głowy do ryb.

Sąsiadka wspiera Fundację Bezdomniaki, ratującą wyrzucane przez ludzi psy i koty. Prowadzi dom tymczasowy i ma u siebie od kilku dni szczeniaki z parwowirozą, więc uwija się jak w ukropie. Na kulinaria nie ma czasu.

Mówię, że lubię ryby, żeby przyniosła, to zrobię i dla niej. Przynosi pół reklamówki. Gdy wsypuję zawartość do zlewozmywaka, okazuje się, że płoteczki są, owszem, dwie. Poza tym okoń, 10 leszczy i wielki krąp – bliski kuzyn karpia, podłużny, bez grama tłuszczu, pokryty piękną łuską w kolorze starego złota.

Na szczęście nie zapomniałam, jak się oprawia ryby – ale i tak zajęło mi to ze dwie godziny. Męża wygnałam na pole, żeby zajął się okoniem. Kolejne dwie – smażenie. Mam doskonałą sycylijską mieszankę soli z przyprawami: pietruszką i cytryną – specjalną do ryb. Niczym więcej nie trzeba mięsa nacierać, wystarczy lekko oprószyć mąką. Smażenie na maśle klarowanym jest chyba w sumie najzdrowsze, ale i tak trzeba często zlewać tłuszcz.

I tak niespodziewanie – choć w torbie nie kłębiły się węgorze ani sandacze – wyszła nam nie leniwa letnia niedziela, ale uczta Lukullusa, na którą zaprosiliśmy rodziców. Tata wędkarz uznał, że po co ma się turlać na ryby gdzieś na Mazury, skoro pod Warszawą można trafić takie okazy. Mama wspominała stare czasy, kiedy jeździliśmy znad Wigier, uginając się od bagaży wypełnionych rybami w zalewie octowej.

A ponieważ nie daliśmy rady wszystkiego zjeść, całe to dość ościste towarzystwo poupychaliśmy w słojach i zalaliśmy zalewą. Proporcje od zawsze takie same: szklanka octu na trzy szklanki wody, trochę cukru, trochę soli, dużo cebuli w talarkach, ziele, listek, pieprz. Zalewa musi się zagotować, dopiero potem dodajemy cebulę i zaraz zdejmujemy z ognia. Zalewamy, gdy przestygnie, i trzymamy w lodówce. Po kilku dniach można jeść – albo na obiad z pieczonym ziemniakiem, albo po prostu ze świeżym chlebem. Ten sposób przyrządzania ma jedną ważną zaletę – ości niemal zupełnie się rozpuszczają.

Fot. Shutterstock x2

WILCZYM OKIEM

Podróż z mrożoną rybą



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Lotnisko Schiphol w Amsterdamie jest specyficzne. Jego zarządcy próbują udowodnić światu, że można zredukować liczbę pracowników, angażując moce przerobowe podróżnych. Dzięki samoobsługowym kioskom są bliscy osiągnięcia sukcesu. W zakątku terminalu, gdzie poustawiane są w równiutkich rzędach komputerowe stanowiska, panuje napięta atmosfera. Ludzie z błyskiem obłędu w oku chaotycznymi ruchami obsługują ekrany dotykowe. Pośpiesznie drukują karty pokładowe, zmieniają rezerwacje... Z pomocą kiosku lotniskowego można dokonać wszystkiego. Prawie.

Kątem oka tuż przy „moim" kiosku dostrzegłem grupę ludzi o śródziemnomorskim wyglądzie. W przeciwieństwie do pozostałych pasażerów nie krzątali się nerwowo. Zastygli, jakby w rozpaczy. Trochę nie pasowali do otocznia, wydawało się, że się poddali. Gdy w końcu z tłumu wyłonił się pracownik lotniska, nie wierzyłem własnym uszom: lot tych ludzi się opóźnił, nie zdążyli na kolejne połączenie. W dal odleciał natomiast samolot z ich głównym bagażem. Z zamrożoną rybą w środku. Sztywny kręgowiec bez opieki szybował do Palermo, Sevilli lub Buenos Aires. To mi coś przypominało. Z zakamarków pamięci zaczęły się wyłaniać obrazy: podróż... ryba... kłopoty... Umberto Eco! W Sztokholmie skusiła pisarza okazyjna cena wielkiego, wędzonego łososia, którego postanowił przywieźć z podróży do domu. Świat tylko wydaje się przewidywalny. Po Szwecji był Londyn. Uśmiechnięta, miła obsługa hotelu za każdym razem konsekwentnie usuwała łososia z pokojowej lodówki, w której usiłował przechować go pisarz. Ostatecznie Eco, z podśmierdniętym łososiem pod pachą, próbował wyjaśnić rzecz na recepcji – i otrzymał awokado.

Systemy obsługujące podróżnych są wspaniałe, te holenderskie niemal doskonałe. Nie przewidziały tylko mrożonej ryby. Jeżeli więc ktoś zapragnie dowieźć do domu z wakacji łososia czy chociażby flądrę, niech nie powierza im jej losów.

Na rybę lepszy jest sposób tradycyjny: wypatroszyć, osolić, obłożyć pokrzywami w środku i na zewnątrz. I nie nadawać w bagażu głównym.

eprasa.pl 047454cd83

Kreon i jego pedały

PIOTR SKWIECIŃSKI

Jeśliby ktoś ze starszego czy średniego pokolenia miał wymienić kogoś będącego wzorcem elegancji i dobrego smaku, połączonych ze skrzącą się inteligencją, zakorzenieniem w kulturze, stylem i, last but not least, humorem, to najczęściej wymieniłby Starszych Panów. Jeremiego Przyborę i Jerzego Wasowskiego. Jestem ich wielbicielem zakamieniałym, ale miłość do Starszych Panów charakteryzuje szczególnie przedstawicieli liberalnej inteligencji, którzy co do niemal wszystkiego innego mają z reguły zdanie inne niż ja.

Myślę, że wielu spośród tych ostatnich zszokowałoby obejrzenie fragmentów musicalu Przybory i Wasowskiego „Medea, moja sympatia" z 1974 r. A zwłaszcza takiego (rzecz dzieje się w umownej, starożytnej Grecji): Oto nadjeżdża król Kreon, dziwacznym pojazdem typu riksza, na którym zajmuje tylne, pasażerskie miejsce. A z przodu pedałuje „napęd" – dwóch rozwydrzonych i nieco zniewieściałych facetów w różowych chlamidach. Kreon (czyli Mieczysław Czechowicz) śpiewa:

Jam król Kreon wspaniały,
Kreon wspaniały,
Kreon wspaniały,
A to moje pedały,
Moje pedały dwa!

Na co pedałujący:
To król Kreon wspaniały,
Kreon wspaniały,
Kreon wspaniały,
A my – jego pedały,
Jego pedały dwa!



Społeczeństwo – konfederacja mniejszości – nie mogłoby się utrzymać

Dalej Kreon wyznaje, że jest „nieczuły na wdzięki pięknych dam" i jedną taką, ku aplauzowi „Pedałujących", wyrzuca z pałacu... Trudno w druku opisać stopień homoseksualnego „przegięcia" i ich obu, i samego króla. Odnajdą sobie to państwo na YouTubie i obejrzą; zaręczam, że to bezbrzeżnie śmieszne.

Napisałem na Facebooku, „jak to się obyczajowość zmienia...", i podzieliłem się „Medeą". I zostałem oskarżony o... chyba brak dobrego serca? Bo to przecież przejaw postępu jest. Bo kiedyś homoseksualiści byli wyśmiewani i nazywani pogardliwie, a teraz nie są, więc znaczy to, że świat się zmienił na lepsze, dlaczego tego nie uznasz i nie polubisz...?

Zadumałem się. Bo w zasadzie uważam, że homoseksualizm sam w sobie to taka sama skłonność erotyczna jak wiele innych, moralnie obojętna i często wrodzona, dlatego będąca nieodłącznym elementem ludzkiej kondycji, który jest z nami od zawsze i będzie zawsze. Więc może nie powinienem uznawać za fajne, że kiedyś Starsi Panowie robili sobie z nosicieli owej skłonności tego rodzaju żarty? Powinienem zaś się cieszyć, że teraz to niemożliwe?

Mimo wszystko – nie. A to dlatego, że ta zmiana nie jest efektem wzrostu delikatności. W każdym razie nie przede wszystkim.

Ta zmiana jest elementem szerszego procesu. Nie do końca spontanicznego. Procesu, którego (przez niektórych) zamierzonym celem wcale nie jest załagodzenie jakichś krzywd, tylko rozwalenie dotychczasowego porządku świata. Porządku, nienawidzonego przez wszelakich socjalnych dewiantów. Radykalna lewica uważa tzw. mniejszości seksualne za, po prostu, swoją szturmową kolumnę.

Dobrze. Spyta ktoś, ale gdyby środowiska gejowskie przekonująco odcięły się od tego rodzaju wizji i związków...? Przykro mi, ale to by nie wystarczyło. Abym mógł osobiście zacząć się cieszyć ze zmiany obyczajowości, czyniącej czymś nieprzyzwoitym żarty z homoseksualistów, trzeba byłoby czegoś więcej. Mianowicie zaakceptowania przez nich standardu, zgodnie z którym nie powinni się narzucać większości z demonstrowaniem swej seksualnej tożsamości, w zamian za co próby wypominania im tejże powinny się spotykać ze społeczną naganą.

Tak, już słyszę oczywiście: „A gdyby tak Skwiecińskiemu kazano ukrywać jego tożsamość, to inaczej by śpiewał... A przecież on sam przed chwilą napisał, że homoseksualizm nie jest sam w sobie niczym złym...".

Tylko że coś, co nie jest samo w sobie złe moralnie, może jednocześnie być szkodliwe społecznie. Ktoś skrajnie oszczędny jest we współczesnych warunkach szkodliwy społecznie, bo dobrobyt wszystkich opiera się na napędzaniu konsumpcji, ale czy jest zarazem niemoralny? No właśnie.

Tak samo szkodliwy społecznie (co nie znaczy, że niemoralny) jest publicznie demonstrowany homoseksualizm. Niezależnie bowiem od intencji demonstrujących wpisuje się on bowiem w bardzo konkretny program inżynierii społecznej. Program przekształcenia społeczeństwa tradycyjnego, jak to się mówi heteronormatywnego, w luźną konfederację rozmaitych grup mniejszościowych. A taka konfederacja ze względu na brak spójności na dłuższą metę nie mogłaby się utrzymać.

Dlatego będę się sprzeciwiał tej zmianie. I bez poczucia wstydu cieszył się musicalem Przybory i Wasowskiego.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 047454cd83

Przedmurze chrześcijaństwa rośnie w siłę



Czym jest dla Polaków Chorwacja? Maleńkim państewkiem na południowym krańcu kontynentu europejskiego i rajem turystycznym, z nadmorskimi plażami, setkami wysepek i czarownym, zabytkowym Dubrownikiem. Do porozumiewania się z Chorwatami nie trzeba znać języka angielskiego, nasze języki są tak do siebie podobne, jakby pochodziły z jednego pnia. Ostatnio media poświęciły dużo miejsca temu krajowi z powodu znakomitej formy jego piłkarzy, którzy zadziwili świat swoją walecznością i klasą, zdobywając wicemistrzostwo świata. Ten sukces naszych braci Słowian został wykorzystany przez mainstreamowe media do „bliższego przyjrzenia się" ich historii i współczesności. I nie był to ogląd przyjazny, choć pełen zachwytów nad przyrodą, charakteryzował się zjadliwą krytyką chorwackich władz, ich polityki, a zwłaszcza prezydent państwa, skądinąd bardzo atrakcyjnej pani Kolindy Grabar-Kitarović, która jest symbolem chorwackiego patriotyzmu. Ale jej kraj, zauważają te media, jest przeżarty korupcją. Nie piszą jednak, że jest to spuścizna postkomuny, jak w Polsce, z czym nasz rząd zaciekle walczy. Nasze medialne pozostałości III RP ubolewają nad panującą w Chorwacji relatywizacją faktów historycznych, jednoznacznym opowiadaniem się po stronie bohaterów, wskazywaniem zdrajców i uprawianiem nacjonalizmu w wersji pop – czytamy w publikacji tygodnika „Newsweek Polska" poświęconej Chorwacji, jej krajobrazowym zaletom i narodowym wadom.

W tej Chorwacji jest tak jak w Polsce – twierdzi tygodnik Lisa. Prezydent Kolinda Grabar-Kitarović jest przedstawicielką prawicowego mainstreamu, wyborców Chorwackiej Wspólnoty Demokratycznej (HDZ), z której się wywodzi. Partię tę od początków jej istnienia „charakteryzowało szczególne przywiązanie do Kościoła i religii katolickiej". I oczywiście „sympatyzowanie z ideologią nacjonalistyczną". Patriotyzm okazywany podczas i po mundialu przez prezydent Chorwacji jest nacjonalizmem, natomiast entuzjazm prezydenta Macrona, wywijającego flagą francuską i wrzeszczącego „Vive la France!", bo tak właśnie cieszącego się ze złotego medalu trójkolorowych, to już żaden nacjonalizm nie jest, bo Francja jest laicka i multikulti. Czyli prowadzi słuszną liberalną politykę, zgodną z planami Sorosa i „stajni Rothschilda", w której przyszły prezydent Francji zdobywał polityczne ostrogi.

Nie podoba się naszym żurnalistom manifestowanie patriotyzmu poprzez wszechobecne na mundialu flagi i stroje biało-czerwone czy w szachownicę. No i ta popularność pani Kolindy w jej kraju, bo niemal codziennie gości w mediach, poza tym działa im na nerwy jej wizerunek publikowany na pierwszych stronach gazet. Podobno blisko połowa wyborców jej nie popiera. To tak jak w Polsce – tych, co nie popierają prezydenta Dudy, też jest mniej niż połowa.

Ci Chorwaci nie wiedzą, co czynią. Nie dość, że przyjęli chrzest już w 800 r., czyli ponad 150 lat przed chrztem Polski, i mimo tysiąca lat walki z Wenecjanami i Turkami naród w XIX w. „jakimś cudem" się odrodził, zachowując swoją wiarę katolicką – zdumiewa się „Magazyn" TVN24. Bardzo żywa jest w kulturze Chorwacji idea przedmurza chrześcijańskiego, która ma swój wariant serbski, węgierski, „no i przecież polski" – stwierdza TVN24. I nie sposób się z tym nie zgodzić. Takich wariantów jest wiele więcej i poniekąd na złość „słusznym" oraz jeszcze dominującym mediom, ma on nowoczesne oblicze, korzysta z internetu i dzięki powszechnej komunikacji dociera do każdego zakątka świata i głosi prawdę.

Narody starej Europy, a w każdym razie ich rosnąca w siłę prawica, coraz głośniej występują w obronie wiary chrześcijańskiej, przeciwko moralnej zgniliźnie rozpowszechnianej przez „liberalne" media i zdeprawowanych polityków. Oto w Niemczech, kraju, w którym obserwuje się liczne odejścia od Kościołów chrześcijańskich, coraz więcej zwolenników gromadzi ruch skupiający świeckich katolików – Forum Katolików Niemieckich z siedzibą w Fuldzie (Hesja). Na zakończonej niedawno konferencji tego forum uchwalono rezolucję „Radość wiary", w której poddano krytyce utratę wartości w polityce Unii Europejskiej. „Europa nie ma już wspólnego fundamentu wartości i chyba nie chce mieć" – głosi rezolucja.

To wyśmiewane przez ideologów genderyzmu przedmurze chrześcijaństwa rośnie w siłę, należą do niego kraje Trójmorza, a także południa UE, o obronie wartości chrześcijańskich coraz głośniej w Skandynawii i w krajach Beneluksu. Ludzie mają dość życia bez wartości, których nie są w stanie zastąpić „wartości liberalne" – żałosna pustka duchowa i umysłowa.

Krystyna Grzybowska

eprasa.pl 047454cd83

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Gersdorf o Polsce w Niemczech



Słowa byłej I prezes SN w Karlsruhe dowodzą, że stanęła na czele buntu sędziów w Polsce

Ilekroć piszę o prof. Małgorzacie Gersdorf, mam nadzieję, że po raz ostatni. Nikt inny nie kompromituje tak zawodu sędziego: wspierając zbuntowanych sędziów za „poczucie odpowiedzialności za polskie państwo", dziękując bojówkarzom spod Sejmu za „dojrzałość i odwagę", okłamując w żywe oczy społeczeństwo („z żadną świeczką nie chodziłam"), w końcu szkalując polskie władze za granicą za „bezprecedensowy atak na sądownictwo".

Wróćmy jednak do wystąpienia pani profesor na konferencji zorganizowanej w Karlsruhe przez niemiecki Federalny Trybunał. Wbrew zapowiedzi rzecznika prasowego Sądu Najwyższego nie nawiązywało ono do postaci Reinholda Franka, ofiary narodowego socjalizmu, straconego w 1945 r. I dobrze się stało, mamy bowiem własnych, licznych bohaterów walki z niemieckim nazizmem.

Wystąpienie nosiło tytuł „Polskie państwo prawne – stracone szanse". Profesor Gersdorf przypomniała podobną do niemieckiej polską konstytucyjną normę, która określa Rzeczpospolitą jako demokratyczne państwo prawne urzeczywistniające zasady sprawiedliwości społecznej (art. 2). Co ciekawe, w środowiskach polskich prawniczych elit rzadko przywołuje się art. 1 Konstytucji RP: „Rzeczpospolita Polska jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli". A warto o tym pamiętać, kiedy dziś za zło uznaje się – a czyni to także pani profesor – „populistyczne siły dążące do zniszczenia pięknej idei europejskiej". Zatem z jednej strony „zły populizm", z drugiej „państwo prawne". A gdzie sprawiedliwość społeczna i wspólne dobro? Do listy zagrożeń dodała też występujące w Europie „tendencje autorytarne i nacjonalistyczne".

Prof. Małgorzata Gersdorf stwierdziła, że w Polsce mamy do czynienia z kryzysem państwa prawnego. Więcej, „podważany jest powojenny konsensus demokratyczny, a do głosu dochodzą siły skrajne, wrogie zasadom godności człowieka, wolności jednostki i rządów prawa". Ten niczym nieuzasadniony, z gruntu fałszywy pogląd uzasadnia równie absurdalnym stwierdzeniem, że „Polska jest wciąż młodą demokracją, jednym z najsłabszych ogniw w europejskim łańcuchu narodów i stanowi papierek lakmusowy stanu całej Unii Europejskiej". Nie można tego pozostawić bez komentarza. Polska jest jedną z najstarszych demokracji w Europie i jednym z nielicznych państw europejskich o najstarszej tradycji państwowości i własnego oryginalnego prawa. Demokracji nikt nam nie narzucił ani nikt nas nie uczył. Świetnie tę myśl ujął i rozwinął premier Mateusz Morawiecki w swoim wystąpieniu w Strasburgu. Pani profesor mija się z faktami i prawdą.

Po co więc pojechała do Karlsruhe? Aby poskarżyć się niemieckim prawnikom, jako – jak to niedawno ujęła – „sędzia na uchodźstwie". Usłyszeli więc, że „polskiemu wymiarowi sprawiedliwości, przez ustawy uchwalone w ciągu ostatnich dwóch lat, zostało wyrządzone zło". Że „zniszczono niezależność polskiego sądu konstytucyjnego, którego składy ustawiane są pod dyktando oczekiwań partii rządzącej". Że minister sprawiedliwości-prokurator generalny w jednej osobie „ma wszystkie argumenty, które realnie pozwalają wpływać na bieg spraw, szczególnie karnych". Że ma „poddanych sobie prezesów sądów", że „obsadził ponad połowę Krajowej Rady Sądownictwa ludźmi bez mandatu konstytucyjnego, którzy zawdzięczają mu wszystko". A w Sądzie Najwyższym „przeprowadzono czystkę pod pozorem wstecznej zmiany wieku emerytalnego". Donos na Polskę został okraszony podziękowaniami dla Komisji Europejskiej, a zwłaszcza dla wiceprzewodniczącego Timmermansa. Jak pamiętamy, w hołdzie temu Holendrowi już wcześniej proponowała postawienie w Polsce pomnika.

Pani Gersdorf obrazowo zaapelowała o „więcej Europy w Europie" i zapowiedziała zorganizowanie Paneuropejskiego Kongresu Prawników, „gdzie moglibyśmy się lepiej poznać i przedyskutować przyszłość Europy opartej na rządach prawa". Niech jedzie, jako emerytowany sędzia Sądu Najwyższego, na własny koszt, chyba że za pobyt, jak za ten ostatni, zapłacą Niemcy.

Słowa byłej I prezes SN w Karlsruhe dowodzą, że stanęła na czele buntu sędziów w Polsce. Szukając wsparcia u niemieckich prawników, powoływanych zresztą przez władzę wykonawczą, dowiodła nielojalności wobec państwa polskiego. Prawo europejskie postawiła przed polską racją stanu. Skompromitowała, ośmieszyła własny kraj i sprzeniewierzyła się powołaniu sędziego. Występując bowiem jako polityk opozycji, podjęła za granicą działalność publiczną, której nie da się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów (art. 178 Konstytucji RP). Taka jest prawdziwa ocena tej ostatniej aktywności byłej I prezes SN.

A wszystko dlatego, że ten niedobry populistyczny Suweren śmiałją zgodnie z Konstytucją RP (art. 180 par. 4) przenieść w stan spoczynku.

eprasa.pl 047454cd83

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Łajno w wentylatorze



Witold Gadowski

W 2015 r. wraz z Maciejem Grabysą i Michałem Królem robiliśmy pierwszy polski film o Państwie Islamskim i jego ofiarach. Wtedy spotkałem wielu chrześcijan, którzy uciekali z terenów zajętych przez zbrodniarzy spod sztandaru proroka. Szczególnie zafrapował mnie los uciekinierów z chrześcijańskiego miasta Korakoush, leżącego w Dolinie Niniwy i od dwóch tysięcy lat trwającego w chrześcijaństwie. Na nich szczególnie skupiła się zajadłość islamskich terrorystów. Przeprowadziłem wiele wywiadów z nimi, za każdym razem nękało mnie dziennikarskie poczucie uczestniczenia w czymś nieczystym, żywienia się ludzką krzywdą. Obiecałem wtedy, że postaram się im pomóc. Towarzyszyły temu smutne, obojętne spojrzenia. Oni niejedną taką deklarację już słyszeli.

Kiedyś, w czasie wojny w Kosowie, udało mi się zorganizować dwa konwoje z pomocą humanitarną dla ofiar tamtej wojny. No, ale wtedy w grę wchodził mój serdeczny przyjaciel Enver. Przywieźliśmy kilka tirów z żywnością do Skopje, Tirany i Prisztiny. Wtedy byłem jednak młody i bardziej mi się chciało.

Po 2015 r. wróciłem do Polski z większą rezygnacją niż wtedy. I... trafiłem na Bartka Rutkowskiego z Fundacji „Orla Straż" – człowieka, który bezinteresownie prowadzi akcję pomocy dla chrześcijan i jazydów w Iraku. Usiedliśmy przy kawie i powstał nasz wspólny plan odbudowy Karakoush. Porwaliśmy się z motyką na słońce, ale co tam.... I stał się cud. Dzięki widzom mojego „Komentarza tygodnia" zebraliśmy 500 tys. na pomoc dla odbudowującego się z ruin miasta, w którym mieszkają nasi bracia w wierze. Po wielkiej zbiórce (wsparli nas m.in. Halina Frąckowiak, Emilian Kamiński, Halina Łabonarska, Arkadiusz Janiczek, Przemek Babiarz, Marcin Kwaśny) – która zresztą cały czas trwa – powstał projekt filmu dokumentalnego o tym niezwykłym mieście i jego mieszkańcach „Święci z Doliny Niniwy" i znów widzowie ufundowali budżet tego filmu. Wśród ponad 1,5 tys. wpłat znalazła się także ta od Macieja Domżały posądzanego o związki z rosyjską mafią. Wszystkie wpłaty są jawne na mojej stronie. I oto zaatakował mnie ni to dziennikarz, ni to mitoman Marcin Rey, a za nim ludzie Kurskiego i autor paszkwilu o Antonim Macierewiczu, Tomasz Piątek – zaiste intrygująca konfiguracja. Biedusie nie zwróciły uwagi na to, że cała wpłata od Domżały została skierowana na konto fundacji Bartka Rutkowskiego. Mój film na pewno z niej nie skorzysta.

Jednak czy te postaci coś realnie w życiu zrobiły, poza ciskaniem łajnem w wentylator?!

Nowe otwarcie



Lech Makowiecki

To normalne, że po upływie pewnego czasu do wielu zdarzeń z przeszłości (traumatycznych, chwalebnych, heroicznych) tracimy emocjonalne podejście. Gdy świadkowie, uczestnicy II wojny światowej opowiadają o swych dramatycznych przeżyciach, nie kryją łez wzruszenia. Nawet ich wnuki, słuchając świadectwa bliskich im osób, traktują te wspomnienia bardzo osobiście. Świadomość, że nie byłoby ich na tym świecie, gdyby dziadek czy babcia znaleźli się w złym miejscu o niewłaściwej porze, działa na wyobraźnię.

Im jednak dalej sięgamy wstecz pamięcią, tym trudniej o wrażliwą refleksję. Powstanie styczniowe nie wzbudza już takich emocji jak powstanie warszawskie, a bitwa pod Grunwaldem czy Wiedniem kojarzy się większości z nas bardziej z filmem kostiumowym niż realnym zdarzeniem, mającym istotny wpływ na nasze dzisiejsze życie. Ponieważ HISTORIA jest najlepszym źródłem wiedzy o PRZYSZŁOŚCI (natura ludzka się nie zmienia, modyfikuje się tylko zabójcza broń) – dla własnego bezpieczeństwa warto czerpać jak najwięcej z tej skarbnicy. I zaprząc wreszcie do historycznej edukacji młodzieży nasze szkolnictwo (MEN) oraz kulturę (MKiDN).

Nie załatwi tego wytworzenie przez urzędników kolejnego stosu nudnych podręczników ani eksploatowanie do bólu archaicznych piosenek żołnierskich! Efekt będzie akurat odwrotny; może to obrzydzić młodym Polakom „bogoojczyźnianą" tradycję. Potrzebne jest nowe otwarcie! Na hollywoodzkie superprodukcje nas nie stać. Zresztą zrealizowany z rozmachem (międzynarodowa obsada!) gruziński film „Pięć dni wojny" (o inwazji Rosji) nie rzucił świata na kolana. Pozostaje praca u podstaw: wspieranie niskobudżetowych, przejmujących fabuł (vide: „Wyklęty"), zaprzęgnięcie do upowszechniania wiedzy historycznej przebojowej popkultury (piosenki, teledyski, animacje etc.), wykorzystywanie multimediów do uatrakcyjnienia lekcji w szkole. I – co najważniejsze – z publicznych pieniędzy nie należy finansować antypolskich inicjatyw!

eprasa.pl 047454cd83

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Krewetki



Aleksander Nalaskowski

W 1981 r. polscy studenci z Mińska zaprosili nasz akademicki zespół teatralny do zagrania kilku przedstawień. Podróż pociągiem do dawnego ZSRS była sama w sobie doznaniem. Aliści na miejscu okazało się, że pobyć w Sojuzie to my sobie możemy, ale pokazać przedstawienia to już nie bardzo. I tak było. Obowiązkowe zwiedzanie uczelni, miasta, wizyta u władz dziekańskich, ale teatr? Nie lzja! Na piętrze akademika, w którym dano nam pokoje, mieszkali sami czarnoskórzy. Nie dało się z nimi dogadać w żadnym języku. Polscy studenci (Polacy z Polski studiujący na tamtejszej politechnice w ramach jakiejś wymiany) stawali na głowie, byśmy przedstawienia pokazali. W końcu pokazaliśmy jedno, nieoficjalnie i potajemnie, w świetlicy akademika. Bez reflektorów, scenografii i czego tam jeszcze. Taka surowsza próba sceny, a nie spektakl w pełnym słowa znaczeniu. Ale był tłum. Na tym wyczerpywały się nasze przygody artystyczne w Sowieckim Sojuzie.

Ale było też inne, rzekłbym zupełnie zmysłowe, doświadczenie. Żywiliśmy się w studenckiej stołówce (też w części dla czarnych). Posiłki wydawano z okienka w zamian za kartki, które otrzymaliśmy. Normalka. Ale do każdej porcji kucharka bez pytania dosypywała solidną łyżkę czegoś. Wyglądało to jak grubsza kasza, jak sypkie żółtawo-brązowe robale. Lądowało to w zupie mlecznej, w porcjach dżemu, w ziemniakach, sałatkach, sosach i kompocie. Zawsze jako dodatek. Nikt się nie buntował i każdy przyjmował bez szemrania. W końcu zapytałem: „Szto eto?", ale nie zrozumiałem odpowiedzi tęgiej damy w białym kitlu, odpowiedzi okraszonej wzruszeniem ramion. To zaintrygowało mnie jeszcze bardziej. Wreszcie któryś z polskich studentów wyjaśnił, że to takie maleńkie, prażone... krewetki. Zbaraniałem. Mleko z krewetkami, kompot z krewetkami, jarzynowa z krewetkami!? Bleee! Okazało się, że był to radziecki sposób na podniesienie urzędowej normy białka czy czegoś tam w potrawach. Dlatego każdy musiał się tym raczyć. Bo bilans musiał się zgadzać. Gdy się następnym razem zbuntowałem, to nie dostałem nic i jeszcze wylądowałem na dywaniku komendantki akademika (właśnie komendantki!), która wyjaśniła mi, że moje wybrzydzanie jest nie do zaakceptowania w kraju, któremu Polska tyle zawdzięcza. Całe szczęście pobyt dobiegał końca i mogłem się zdać na przytargany z Polski paprykarz oraz tamtejszy chleb. Kisiel z krewetkami był bowiem ponad moje siły.

Dzisiaj i my dostajemy do każdego normalnego dnia porcję wyrównujących rzeczywistość krewetek

Dzisiaj i my dostajemy do każdego normalnego dnia porcję wyrównujących rzeczywistość krewetek. Abyśmy nie zachłysnęli się dość sprawnie prosperującą gospodarką, abyśmy nie pomyśleli, że normalność stanie się czymś zwyczajnym, dostajemy codzienną dawkę bezczelności, łajdactwa, kłamstwa czy pospolitego kretynizmu. Jak się zdaje, to wypróbowana metoda wywiedziona z sowieckiej tradycji krewetkowej. A my pokornie to już chyba zaakceptowaliśmy. Bo przecież od zawsze smakowały nam śledzie w czekoladzie, pączki z musztardą, torty z czosnkiem i ośmiorniczki panierowane w sowach.

Zatem do obu Morawieckich dostajemy tłustą babę ze strajku kobiet okraszoną Szczerbą na kretyńsko i buraczaną Środą z dodatkiem bufona Cimoszewicza, dla zachowania równowagi smakowej. Do śp. Lecha Kaczyńskiego dosypywany jest Bolek, Kasprzak i Kijowski z Frasyniukiem, do Andrzeja Gwiazdy dodaje się trzeźwą Krzywonos, uczciwego Piniora i inteligentnego Borusewicza. Do Jerzego Zelnika dosypuje się Seweryna, Pszoniaka, Olbrychskiego, Stuhrów i inne dobrze już wypalone krewetki sceny. Do profesorów Terleckiego czy Zybertowicza konieczni są do pełni smaku Płatek, Hartmann i Niesiołowski, też profesorowie, ale nade wszystko krewetki. Do Ziemca dosypie się Olejnik i Węglarczyka, a do każdej tęczy na niebie – Biedronia i Rabieja. Na każde sensowne i poprawne zdanie jest posypka z Scheuring-Wielgus i Petru. Do każdego cuchnącego skarpetami samolotu LOT dorzuci się czystego i apetycznego Kuźniara, a na każdą pełną dzieciarni plażę wpuści kilka Młynarskich. Do każdego bagażnika wrzuci się kodziarzy (do bagażu na Maderę też?). Do potrzebnych reform znajdzie się zawsze łyżka Gersdorf, Rzeplińskiego czy Łączewskiego. A zdrowy rozsądek doprawimy jak zwykle Gowinem.

Na każdym skrawku normalnej Polski rozsypie się krewetki manify, marsze zboczeńców, babcie protestujące przeciwko gmeraniu im w rajtkach i obrońców sądów. Obrońców konstytucji, skrobanek, małżeństw czterojajowych, Trockiego, swobody mycia uszu, kiszenia ogórków i niewinności Gawłowskiego. „Nje boj sie", tych sowieckich krewetek nam nie zabraknie. Istne perpetuum mobile, sypią się nam zewsząd i pod dostatkiem. Bo nasz polski bilans szlachetności i nikczemności musi się zgadzać. I już!

Na Podlasiu upalnie. Zaczęły się żniwa.

eprasa.pl 047454cd83

PRZEZ ŚWIETLIK

Każdy sobie



Kłopoty się zawsze zaczynają, gdy światy alternatywne się przenikają

Początkowo wyglądało to na zejście niechrześcijan do katakumb, potem na jakieś państwo podziemne. Z tego, co mówi jednak sama profesora Środa, będzie to po prostu świat alternatywny. Najlepsi z Polaków, ci najbardziej zatroskani życiem publicznym, narażający się na każdym kroku, a to przy bluzganiu na sędziwego bohatera Kornela Morawieckiego, a to szarpiący się z policjantami i wygrażający ich rodzinom, przeniosą się do innej czasoprzestrzeni. Będą obok, a „jakoby nikogo nie było". Nie znajdziemy ich. Stworzą osobne państwo, sądy, pieniądze, a kto wie, może nawet morze i plaże bez dziadostwa biorącego 500+ i kupione od 145-latków kamienice, których nikt im nie zabierze. To zresztą nic nowego, nieraz widziałem takie rzeczy w filmach.

Pojawia się jednak jeden kłopot. Zapewne jest to efekt skrzywienia, jakim jest fakt, że zdecydowanie przedkładam horrory science fiction nad komedie romantyczne, ale zauważyłem, że w światach alternatywnych nie jest za wesoło. Takie rzeczywistości istniejące równocześnie z naszą to tam dość częsty motyw. W kiczowatym, choć okrzykniętym arcydziełem serialu „Stranger Things" świat równoległy jest pełen porostów, glizd, a w dodatku szaleje w nim potwór ludożerca. W znakomitym z kolei filmie „Mgła" alternatywnego świata nie widzimy, ale wystarczy zobaczyć przybyszów z niego, by się przekonać, że nie jest tam klawo. To poprzerastane i w dodatku okropnie okrutne dinozaury. W typowej dla Netflixa mieliźnie „Paradoks Cloverfield" świat alternatywny jest ogarnięty wojną. Na tle tych wszystkich rzeczywistości u nas jest całkiem sympatycznie, choć na co dzień może tego nie dostrzegamy.

Prawdziwe problemy – niezliczone dzieła z gatunku horror science fiction klasy B tego dobitnie dowodzą – zaczynają się wtedy, kiedy powstaje jakieś zakłócenie, eksperyment naukowy, portal, eliksir i światy zaczynają się przenikać. Jest to z reguły fatalne dla naszego świata, ale czasem i tych konkurencyjnych. W komedii „Krótka historia kłamstwa" w raju, gdzie ludzie mówią tylko prawdę, złośliwi scenarzyści kazali jednemu z bohaterów odkryć wynalazek pochodzący z iście naszej rzeczywistości – kłamstwo. No i po sielance.

Światy alternatywne nie powinny się, jak widać, krzyżować, powinny sobie płynąć obok siebie, nie wchodząc sobie w drogę, nie przeszkadzając, bo z tego tylko kłopot. Mam więc do pani Środy prośbę. Niech porzuci rewolucyjne mrzonki. Zamiast niszczyć istniejące światy, niech zakłada własne. Weźmie tam swoich wyznawców i tam w rzeczywistości alternatywnej urządzą się, jak chcą. A tę obecną niech zostawią nam. Po co się kłócić – lepiej zamieszać na niemających z sobą kontaktu archipelagach.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

AUTOPROMOCJA

2018.pl

100. rocznica odzyskania niepodległości

PARTNERZY:

LOTOS PZU niepodległa POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl 047454cd83



Autodestrukcja i smutek Europy

JAN POSPIESZALSKI

Idee mają konsekwencje. Wcielone w życie i upowszechnione zmieniają rzeczywistość, a ta wpływa na nasze myślenie, wyobraźnię moralną, kształtuje obyczaj. Zawrotna kariera antykoncepcji i stosowanie jej na masową skalę nie tylko wypreparowało z aktu seksualnego odpowiedzialność za przekazywanie życia, lecz również zmieniło mentalność. Stworzyło postawę, która zakłada, że pożądanym stanem organizmu jest jego ubezpłodnienie, zatrucie, czyli inaczej okaleczenie.

Bez takiego podglebia nie byłoby powszechnego przyzwolenia na aborcję. Bez ludzkiej pychy zrodzonej z poczucia panowania nad potężną mocą ludzkiej natury, jaką jest przekazywanie życia (a pigułka antykoncepcyjna tworzy iluzję wszechwładzy człowieka), nie byłoby zgody na metodę in vitro, eksperymenty i aborcję eugeniczną.

Pigułka – łudząc, że to my decydujemy o tym, kiedy i jak zaczyna się życie – stawia człowieka w miejscu Boga, który uzurpuje sobie prawo także do decyzji, kiedy życie zakończyć. Tak oto mentalność antykoncepcyjna dała podłoże eutanazji.

Wyemancypowanie z aktu seksualnego przyjemności seksualnej i usunięcie potencjalnych konsekwencji, jakie stwarza płodność, ułatwiło małżeńskie zdrady, a to nie pozostało bez wpływu na trwałość małżeństwa, owocując plagą rozwodów, powszechną praktyką konkubinatów, deprecjonując i niszcząc status rodziny. Tydzień temu porównałem papieża Pawła VI do proroka, który w encyklice „Humanae vitae" przewidział te wszystkie kataklizmy. Dlatego tak stanowczo bronił życia i wykluczał antykoncepcję. Ten początkowo rozpieszczany przez światowe media papież, chwalony za posoborową otwartość Kościoła, nagle staje w ogniu krytyki, spotyka go fala hejtu. Jednak najbardziej bolesne dla niego jest to, co dzieje się w samym Kościele. Mówi o tym dosadnie: „W Kościele wybiła niespokojna godzina [...] samodestrukcji. Wygląda na to, jakby Kościół sam sobie zadawał rany. Do świątyni Boga przedostał się dym szatana". Odrzucenie przez całe diecezje i wiele społeczności katolickich nauczania papieskiego zawartego w encyklice sprzed 50 lat ma widoczne dziś ponure konsekwencje.

Skoro część nauki moralnej Kościoła można było odrzucić, a tak się stało w wielu krajach Europy Zachodniej, to politycy chrześcijańscy nie są zobowiązani, aby walczyć o obronę życia. To chrześcijańscy demokraci, idąc z „duchem czasu", wprowadzali najbardziej antychrześcijańskie prawa, umożliwiające aborcję, demoralizującą edukację seksualną w szkołach, w końcu związki tej samej płci udające małżeństwa.

Demolka papieskiego autorytetu i katolickiego nauczania na Zachodzie zrodziła moralność supermarketu. Wierni mogą wybierać te elementy nauki Kościoła, które są dla nich wygodne. Chrześcijaństwo przypomina dziś coś, co Rod Dreher w książce „Opcja Benedykta" nazywa moralistycznym deizmem terapeutycznym. „Bóg wprawdzie istnieje, ale celem jest osiągnięcie pełni szczęścia i udanego życia już tu na ziemi, dlatego sam określam, co dobre, a co złe. Bóg wprawdzie stworzył świat i chce, żeby ludzie byli dobrzy i mili, ale nie wtrąca się, dba tylko o moje dobre samopoczucie".

Jeszcze dosadniej konsekwencje odrzucenia „Humanae vitae" podsumował niedawno kard. Schönborn: „Europa umiera, bo powiedziała życiu nie. [...] myślę, że jest to również grzech nas, biskupów, nawet jeśli nikt z nas nie był biskupem w 1968 roku. Dzisiaj w Niemczech 100 rodziców ma 64 dzieci i 44 wnucząt. To znaczy, że w ciągu jednego pokolenia populacja (nie licząc imigracji) zmniejsza się o połowę. Powiedzieliśmy NIE wobec »Humanae vitae«. [...] Nie mieliśmy odwagi powiedzieć jasnego TAK. [...] My, biskupi, byliśmy zamknięci za drzwiami ze strachu, nie przed Żydami, ale przed prasą, z obawy przed niezrozumieniem przez naszych wiernych. Kiedy nadeszła fala aborcji, Kościół był osłabiony, ponieważ nie nauczył się odwagi oporu, by powiedzieć TAK Bogu, Jezusowi, również za cenę bycia pogardzonym. Musimy żałować za ten grzech europejskiego episkopatu, że nie miał odwagi, by z mocą wspierać Pawła VI, ponieważ dzisiaj wszyscy nosimy w naszych diecezjach, ciężar tego grzechu. Jesteśmy współodpowiedzialni za smutek Europy".

eprasa.pl 047454cd83

Słowo to rzecz święta



Jerzy Jachowicz

Panie Jachowicz, panu należy się polska Norymberga" – taki był początek autentycznej historii, jakiej poświęcony jest poniższy felieton.

Pierwszy raz mi się zdarza, że sama myśl, iż mogę sprawić przyjemność innym, wyzwala we mnie pęd do podjęcia wręcz heroicznych wysiłków. Motorem skłaniającym mnie do wyrzeczeń i dyscypliny jest też niestety element złośliwości. Chcę pokazać, jak fałszywe są przewidywania innych ludzi, szczególnie mało mi przyjaznych. To wyzwala dodatkowe siły.

Był piękny lipcowy, późny wieczór. Opuszczałem Sejm po długim posiedzeniu jednej z komisji, zwykłą drogą obok biura przepustek. Na metalowe barierki napierał niewielki tłum. Na Wiejską wyszedłem jednak bez przeszkód.

„Patrzcie no, to ten dziennikarz Jachowicz" – usłyszałem z przyjemnością głośną rekomendację. Nagle otoczył mnie krąg osób w różnym wieku. Kilku mężczyzn, trzy, może cztery kobiety. „Jak możesz mówić w telewizji i pisać takie obrzydliwe kłamstwa?" – zapytał z wyrzutem jakiś siwy 60-latek. „Napluć na takiego" – zaproponowała grzecznie, acz stanowczo, młoda dziewczyna. „To mało" – włączył się 50-latek wodzący rej w tej grupce. „Panie Jachowicz, jak tylko wygramy, stanie pan przed polską Norymbergą. To się panu należy. Za to, że popiera pan kryminalistów, którzy niszczą polskie sądy, polskie państwo". „Pewnie mu się upiecze, bo jest już stary. Jaka szkoda" – z niekłamanym żalem w głosie zauważył trzeźwo jakiś 30-latek z kucykiem.

Żywe i szczere zainteresowanie moją przyszłością nie pozwoliło mi pozostać obojętnym. „Spokojnie. Bądźcie państwo dobrej myśli. Dożyję. Obiecuję. Nie zawiodę was" – zadeklarowałem. „Puste gadanie. Leć pan na Nowogrodzką po instrukcje" – dał znak do odwrotu lider grupki.

A ja się zaparłem. Alkohol i papierosy precz. Racjonalny tryb życia. Kładę się spać z kurami, wstaję jak celebryta, około południa. Przerzuciłem się na zdrową żywność. Codziennie lekki jogging. W jedną stronę truchtem, z powrotem spacerem. Zacząłem się uczyć niemieckiego, bo na egzekucji spodziewam się delegacji z Karlsruhe.

CO MNIE OKROPNIE WKURZA

Już dosyć



Katarzyna Łaniewska

Już dosyć chamskich, agresywnych, uwłaczających człowieczeństwu pseudodemonstracji w obronie, przepraszam, czego?

Ubierają się w różne nazwy, ale nie są one fortunne, bo słowo „obywatel" do czegoś zobowiązuje, a tu...? RP mogę sobie tłumaczyć jako „rozrabiacze płatni". Inni nazywają się obrońcami demokracji. Za czym oni demonstrują? Gdyby demokracji nie było, nie mogliby demonstrować. Myślę, że jest to chuligańska hołotka, niewiedząca co i po co. Aby tylko zniszczyć, zepsuć, sprowokować. Niektórym za to płacą, jestem przekonana.

Może grupka tzw. przywódców działa w zacietrzewieniu, że coś im zabrano przy ostatnich wyborach. Boją się o swoje fotele, o swoje stołki.

Nie można nazwać tego tłumu zbydlęceniem, bo to będzie obraza bydła. Co ta grupa robiła pod Sejmem? Wszystko jedno, jak bardzo wykształcona. Jak zachowywali się wobec wspaniałego starszego już pana – marszałka seniora Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej – Kornela Morawieckiego. Człowieka, który całe swoje życie walczył o to, by oni mogli demonstrować i krzyczeć: „Będziesz siedział". On nie odpowiedział im: „Już siedziałem", bo to człowiek niezwykle delikatny, wrażliwy i szukający zawsze zgody, niejątrzący ani nierozdzierający ran. Ile razy został zraniony! Był wsadzany, prześladowany i niewpuszczany do ojczyzny, gdy przypadkiem znalazł się po tamtej stronie w stanie wojennym. Przetrzymywany i przesłuchiwany na lotnisku. Przez zieloną granicę wrócił do Polski, o której wolność walczył, i ją wywalczył, a teraz ta Polska drze się na niego ustami łajdackiej hołoty.

Chcą prowokować policję, aby stać się męczennikami, chcą prowokować naszych polityków, aby się do nich dobrać. To wszystko pod patronatem pań posłanek walczących o prawa. Wożą je w bagażniku.

Zabawę sobie robią. Źle się państwo bawią, źle. Uważam, że przyszedł czas, by policja i ci, którzy odpowiadają za nasze poczucie bezpieczeństwa, coś zrobili. W Polsce czujemy się bezpiecznie, ale tam, pod Sejmem, w oku cyklonu, tak nie jest. Tak być nie może, oni nie mogą być bezkarni. Temu trzeba położyć kres. Można zacząć od odbierania immunitetów posłom, którzy ich chwalą, bronią i prowokują to wszystko, nie mając żadnego planu. Dalej tak nie można.

eprasa.pl 047454cd83



TRENDY I OWĘDY

Der Onet do hymnu

Wykorzystanie w kampanii wizerunkowej portalu Onet.pl polskiego hymnu to nadużycie



Ryszard Makowski

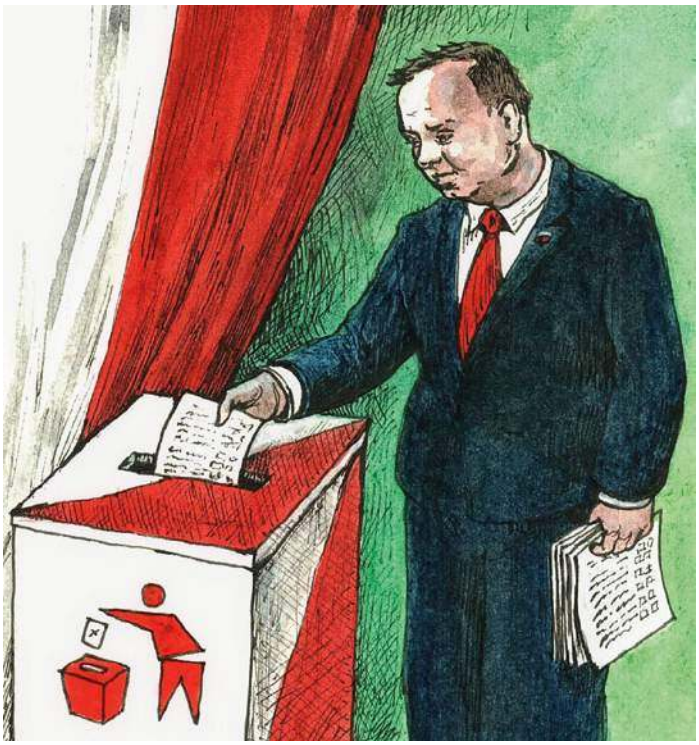
Opozycja, której medialnym bastionem jest wyżej wymieniony potentat internetowy, chętnie wymachuje konstytucją. W tejże konstytucji jest art. 28 i ma punkt 4: „Godło, barwy i hymn Rzeczypospolitej Polskiej podlegają ochronie prawnej". Ustawa doprecyzowuje: „[...] hymn Rzeczypospolitej Polskiej wykonywany lub odtwarzany w sposób zapewniający mu należną cześć i szacunek". Ustawodawca zapomniał dodać, aby nie wykorzystywać hymnu w reklamówce, ale po prostu nikt nie wpadł na to, że znajdą się cwaniaczki obwarowane kancelariami prawnymi, które się do czegoś takiego posuną.

Niby śpiewać każdy może... nawet hymn, ale ta pieśń jest przywoływana w podniosłych momentach dla Polaków, a geszefty Onetu z pewnością do nich nie należą. Hymn Polski w reklamówce Onet.pl... to tak, jakby Krzyżacy pod Grunwaldem śpiewali „Bogurodzicę". Dukane wykonanie w spocie podsumowuje sam naczelny serwisu, Bartosz Węglarczyk: „Wiele nas różni, ale wszyscy jesteśmy Polakami".

Rzeczywiście wiele nas różni. Przede wszystkim wielu z nas ma problem z ideologicznym wspieraniem antypolskiego przekazu, wysługując się w mediach z niemieckim kapitałem. Wszyscy jesteśmy Polakami, owszem, ale tylko nieliczni z nas posuwają się do szargania naszej świętości, czyli hymnu, by robić interesy. Może w następnej kampanii portal Onet wykorzystałby słowa „Roty". „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił"? Chyba pasuje idealnie.

eprasa.pl 047454cd83

***Zawistowski prezentuje:* Referendum**



Wycinki z przeszłości

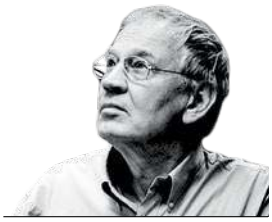
Katastrofy w kopalniach do dzisiaj potrafią swoją skalą wstrząsnąć opinią publiczną, ale na szczęście wskutek rozwoju techniki ofiar bywa jednak mniej niż kiedyś. „Rocznik Gebethnera i Wolffa na rok 1915" zamieszcza grafikę z zestawieniem najbardziej tragicznych wypadków z tamtych lat. Czytamy też: „Olbrzymia katastrofa w Cardiff, która zabrała około 500 ofiar, przypomina inne tego rodzaju nieszczęścia. Największa katastrofa, o ile sięga pamięć ludzka, zdarzyła się w Courrieres we Francyi, gdzie przed 7 laty zginęło w kopalni węgla 1200 robotników. Pamiętna zaś dla angielskich górników jest katastrofa, która w roku 1866 nawiedziła kopalnię »Ock« w Jorkshire, gdzie zginęło 361 górników. W r. 1877 zginęło w szkockiej kopalni »High Blantyre« 250 górników, w roku 1890 w kopalni »Blanerech« padło ofiarą katastrofy 176 robotników, w roku 1894 w kopalni »Albion Pontypridd« zginęło 286 górników. Największa katastrofa kopalniana w Niemczech wydarzyła się w kopalni »Radbod« koło Hamm przed 5 laty. Zginęło wtedy 341 ludzi. Amerykańska kronika katastrof także jest obfita. W roku 1907 skutkiem wybuchu w kopalni »Dore« zginęło 500 górników. W tym samym roku inna katastrofa w kopalni spółki »Fairmot Coal« pochłonęła 400 osób".

Jak widać, zestaw to wyjątkowo tragiczny, a liczby ofiar ogromne. W kwestii bezpieczeństwa w kopalniach naprawdę, w pozytywnym sensie tego słowa, możemy mówić więc o postępie.

(mk)



Miłował dwie ojczyzny



Leszek Długosz

Z niewyobrażalnym bestialstwem Ukraina – pierwsza z ojczyzn – zamordowała go. („Epizod" w filmie Smarzowskiego „Wołyń"). Ta druga, Polska, przez lata nie pamiętała. (Nie chciała pamiętać?) Dzięki Bogu i wiernie pamiętającym ludziom coś się zmienia. Wspaniała zapowiedź polskiej poezji – poeta, żołnierz, absolwent Liceum Krzemienieckiego, student polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Na początku roku 1943 nominowany na dowódcę VIII okręgu Batalionów Chłopskich na Wołyniu, organizował tam bazy samoobrony i działania partyzanckie. Zginął rozerwany końmi w okolicach wsi Kustycze przez Armię UPA, w nocy z 10 na 11 lipca.

Zygmunt Jan Rumel (1915–1943)

Pieśń II

O twej krainie słyszałem dumy – i smutne jak dumy pieśni,
ziemio szeroka wołyńska w jasny rzucona przedwieczerz,
– ale dziś sercem i dłonią chcę nową pieśń ucieleśnić,
i latem z przyzb się śmiejącą – Ładę słowiańską – Ksieni.
To wszystko jest szatą jeno – jej barwą, światłem i cieniem,
i tą tęsknotą, co z piękna pełnego kształtu się rodzi,
ale dziś dłonią i sercem chciałbym odnaleźć to drżenie,
które, nim jabłoń wyrosła, szczepiło jej pęd w ogrodzie

Poranek

Na łąkach pachnie skoszonym lipcem
a bosonogi grajek brzozom zawodzi wiklinowe smutki,
aż się wychylił i nasłuchuje z przydrożnej kaplicy –
Jezus malutki.
Mgławy poranek rosą się wplątał w zielone trawy,
krowa go stamtąd zliże mokrym językiem,
a z koniczyny uszy wystawi zając ciekawy,
aż pastuch pędzący bydło spłoszy go krzykiem.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 047454cd83

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Pisarka nie rozpoznaje kłamstwa

Wakacje, podróże, czas luzu i... niespójności. Przypadkowy dobór lektur. Ktoś w pociągu zostawia polską mutację „Newsweeka" (z datą 16–22 lipca 2018). Na okładce pisarka Katarzyna Grochola i jej stanowcze słowa: „Trzeba władzy mówić: nie".

Można by zapytać pisarkę, czy protestowała przeciw paskudztwom czynionym przez inne ekipy rządzące Polską, ale... przecież wszyscy dojrzewamy i wcześniej mogła grzechów polityków nie zauważać.

GROCHOLA RADZI, ŻEBY NIE RADZIĆ

„Ja nic nie uważam. Od dwóch lat bardzo staram się nie prostować nikomu ścieżek, bo wokół jest tylu, którzy chcą nam poukładać życie, że robi się niedobrze".

JEDNAK RADZI

Choć stanowczo deklaruje, że nie chce nikomu prostować ścieżek, to nie jest w stanie oprzeć się naturalnemu ludzkiemu instynktowi wskazywania tego, co należy czynić. Nie ma wszak wątpliwości, że „trzeba się cieszyć tym, co mamy". W podobnym tonie mówi: „Niech każdy żyje jak chce w granicach nieczynienia innemu krzywdy. Gdy dyktuje się drugiemu człowiekowi, jak ma żyć, kiedy ma rodzić, czy ma się ożenić, kogo kochać, na kogo głosować – to nie jest już wolność".

Ale słusznie zaleca: „Musimy się nauczyć stawać choćby na moment w cudzych butach".

LĘKA SIĘ SŁUSZNEJ PRAWDY

...choć deklaruje, że jest praktykującą katoliczką. „Gdy słyszę, że coś jest jedyną słuszną prawdą, to ciarki przechodzą mi po plecach". Jak zatem odbiera podstawowe dla chrześcijaństwa przekonanie, że to Jezus jest prawdą? Co rozumie pod pojęciem „prawda"?

WALCZY W OBRONIE SŁUSZNEJ PRAWDY

„Byłam pod sądami, bo uważam, że wywalczony po komunizmie trójpodział władzy jest podstawową wartością demokracji. Jeśli władza go niszczy, jakakolwiek władza, trzeba mówić zdecydowane »nie«".

Czy trójpodział to właśnie jedyna słuszna prawda? Czy ów trójpodział uchronił tysiące mieszkańców Warszawy przed dzikimi wywłaszczeniami i nękaniem przez zbirów wynajmowanych przez mafię urzędniczo-adwokacko-sędziowską? Przed miliardami wyłudzeń z VAT? Przed szkodliwymi dla Polaków zapisami kontraktu gazowego z Rosją?

ŚWIADOMA PRZYWAR UMYSŁU SWEGO

Pisarka wie, że „człowiek zapamiętuje to, co chce zapamiętać. I ta pamięć bywa motorem naszych działań. [...] Ostatnio powiedziałam do przyjaciółki: »Pamiętasz, rok temu...«, a ona na to: »Pamiętam doskonale, ale to było siedem lat temu...«".

„Ja bardzo rzadko zajmuję się polityką, ale przyznam: nie pamiętam, abym w stanie wojennym reagowała tak jak dzisiaj. [...] wtedy miałam poczucie, że jesteśmy zjednoczeni. Jesteśmy wspólnotą. [...] Byliśmy z jednego narodu. [...] Wiedzieliśmy, co jest prawdą, a co fałszem. Dziś nie rozpoznajemy kłamstwa. Nie pamiętamy, że ktoś kiedyś powiedział: »ciemny lud to kupi«".

KOMUNIKAT Z DZIEDZINY LOGIKI

Ze zbioru poglądów sprzecznych można wywieść dowolny pogląd. Dowolny. Na przykład taki: „Jako osoba wierząca jestem przeciwna przerywaniu ciąży, ale czarne protesty nie są w sprawie aborcji, tylko wolności wyboru". Czyż nie wygłaszała jednocześnie poglądu, że można żyć, jak się chce, byleby nie krzywdzić innego? Mamy zatem pozwalać kobietom nawet nie tylko krzywdzić, lecz unicestwiać życie ludzkie, które nawet nie może się bronić?

Życie pisarki nie musi być spójne, myśli pisarki nie muszą być spójne, powieści pisarki nie muszą być spójne. Lament opozycji nie musi być spójny. Ale dla rozpoznawania kłamstwa niezbędna jest jednak pewna spójność myślenia.

Może zresztą u źródeł niepokojów i sprzeczności w myśleniu pisarki jest coś banalnego: niewielka tolerancja na pluralizm. Dopiero dziś, gdy silny głos uzyskali ci, którzy odmiennie niż ona sama widzą to, co w życiu społecznym najważniejsze, czuje impuls sprzeciwu.

Być może usidlona przez sprzeczności naszego ludzkiego losu pisarka nie jest świadoma, że daje się wykorzystywać ideologom totalnej opozycji.



Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 047454cd83



SIECI

Dodatek z okazji
74. rocznicy wybuchu
Powstania Warszawskiego

63 dni dla wolności

Patrol powstańczy w rejonie ul. Jasnej 19. Są to najprawdopodobniej żołnierze, którzy wycofali się kanałami ze Starego Miasta. Fot. Sylwester Braun „Kris", ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

PARTNER MERYTORYCZNY

Muzeum Powstania Warszawskiego

PARTNERZY DODATKU

Energa

ORLEN

PKO Bank Polski

Poczta Polska

PZU

eprasa.pl 047454cd83

PROGRAM OBCHODÓW 74. ROCZNICY WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO – WYBRANE WYDARZENIA

31 lipca (wtorek)

godz. 10.00 – **Uroczysta sesja Rady Miasta Stołecznego Warszawy** – sala balowa, Zamek Królewski

godz. 18.00 – **Uroczysta polowa msza święta** – pl. Krasińskich, przy pomniku Powstania Warszawskiego

godz. 19.00 – **Apel Poległych** – pl. Krasińskich, przy pomniku Powstania Warszawskiego

godz. 20.30 – **„Sierpniowa miłość”**, koncert – pl. Krasińskich

1 sierpnia (środa)

godz. 9.00 – **Złożenie kwiatów przy tablicy upamiętniającej podpisanie przez płk. Antoniego Chruściela „Montera”, dowódcy Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej, rozkazu rozpoczęcia Powstania Warszawskiego** – ul. Filtrowa 68 (dawna siedziba konspiracyjnej kwatery okręgu warszawskiego AK)

godz. 10.00 – **Uroczystości przy pomniku Mokotów Walczący – 1944** – park im. gen. G. Orlicza-Dreszera

Marsz Mokotowa – przemarsz ul. Puławską do ul. Dworkowej

godz. 12.00 – **Uroczysta zmiana posterunku honorowego przed Grobem Nieznanego Żołnierza.** Złożenie wieńców – pl. marsz. J. Piłsudskiego

godz. 13.15 – **Złożenie kwiatów pod pomnikiem gen. Stefana Roweckiego „Grota”** – róg ul. F. Chopina i Al. Ujazdowskich

godz. 14.00 – **Uroczystości przy pomniku Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej** – ul. Wiejska

godz. 16.00–16.45 – **Złożenie kwiatów przy grobie gen. Antoniego Chruściela „Montera”** – cmentarz wojskowy na Powązkach

godz. 17.00 – godzina „W” – **oddanie hołdu Powstańcom** – pomnik Gloria Victis, cmentarz wojskowy na Powązkach

godz. 17.00 – **Wolność Łączy,** akcja społeczna w miejscach pamięci Powstania Warszawskiego na terenie całego miasta

godz. 19.30 – **uroczystości przy pomniku „Polegli Niepokonani”**; modlitwa ekumeniczna – cmentarz Powstańców Warszawy na Woli

godz. 20.00 – **„Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki”** – wspólne śpiewanie piosenek powstańczych z udziałem orkiestry i chóru pod kierownictwem Jana Stokłosy – pl. marsz. J. Piłsudskiego, **wstęp wolny;** Wydarzenie transmitowane na antenie TVP1

godz. 21.00 – **uroczystości na kopcu Powstania Warszawskiego** – rozpalenie Ogniska Pamięci – ul. Bartycka

2–5 sierpnia (czwartek–niedziela)

godz. 20.00 – **„Ajas Maszyna”**, Spektakl teatralny w reżyserii Natalii Korczakowskiej na motywach tekstów: „Ajas” Sofoklesa i „Mówca Ajasa” Michała Bajera – sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego (bilety w kasie MPW na bilety.1944.pl oraz eventim.pl)

4 sierpnia (sobota)

godz. 15.00 – **Twoja klisza z Powstania** – „Historie nieistniejącego miasta”– 12. edycja fotograficznej gry miejskiej na terenie Śródmieścia, udział po rejestracji: rejestracja.1944.pl

godz. 17.00 – **Masa Powstańcza 2018** – „szlakiem Kazimierza Leskiego „Bradla” oraz batalionów „Miłosz” i „Ruczaj”; przejazd rowerowy stołecznymi ulicami upamiętniający Powstańców Warszawskich, rozpoczęcie: Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego, udział po rejestracji: rejestracja.1944.pl

4 sierpnia (niedziela)

godz. 14.00 – **Uroczystość upamiętniająca rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Gęsiówka przez żołnierzy Batalionu „Zośka”**, ul. M. Anielewicza 34

godz. 18.00 – **uroczystość w hołdzie ludności cywilnej Woli przy pomniku Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego 1944** – skwer Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno i al. Solidarności

ok. godz. 19.00 – **Uroczyste przejście w kierunku Cmentarza Powstańców Warszawy na Woli upamiętniające mieszkańców stolicy, którzy zginęli podczas Powstania Warszawskiego**

ok. godz. 20.30 – **Zakończenie Marszu Pamięci, zapalenie zniczy w miejscu wystawy „Zachowajmy ich w pamięci”** poświęconej ofiarom cywilnym Powstania Warszawskiego – park Powstańców Warszawy

2 października (wtorek)

godz. 18.00 – **Zgaszenie ognia na Kopcu Powstania Warszawskiego,** zakończenie obchodów 74. rocznicy Powstania Warszawskiego – ul. Bartycka

Szczegółowy plan obchodów: www.1944.pl

CENTRUM INFORMACYJNE

Z myślą o powstańcach warszawskich, warszawiakach oraz turystach w dniach od 23 lipca do 5 sierpnia w Muzeum Powstania Warszawskiego będzie działało centrum obchodowe 74. rocznicy Powstania Warszawskiego.

Każdego dnia w Centrum Informacyjnym spotkać będzie można Powstańców, poznać bohaterów i świadków wydarzeń sierpnia 1944 r., porozmawiać lub posłuchać wspomnień z Powstania. Nasi pracownicy będą gromadzić pamiątki, zbierać informacje o uczestnikach powstania.

Czynne codziennie od godz. 10.00 do 18.00 (także w soboty i niedziele).

Dnia 1 sierpnia Muzeum Powstania Warszawskiego będzie czynne w godz. 10.00–18.00

eprasa.pl 047454cd83

Wstrząsnąć sumieniem świata



Powstanie Warszawskie zajmuje w dziejach Rzeczypospolitej i w naszym doświadczeniu historycznym szczególne miejsce. Nie tylko z uwagi na bezprzykładny heroizm walczących żołnierzy Polski Podziemnej, nie tylko ze względu na rozmiar strat ludzkich i materialnych będących wynikiem bestialstwa dokonanego przez Niemców, lecz także ze względu na prowadzoną po dziś dzień dyskusję nad celowością tej walki i ofiary oraz nad sensownością trwającej 63 dni insurekcji.

Powstanie Warszawskie wpisuje się bowiem w trwający od końca drugiej połowy XVIII w. polski dylemat: bić się czy nie bić? Pytanie to stawiało sobie pięć pokoleń Polaków w czasie, gdy Rzeczpospolita wymazana była z map świata. Podejmowali oni jednak wysiłek zbrojny, wiedząc i wierząc, że opór jest zawsze wyrazem niezgody, że manifestowany walką i ofiarą sprzeciw wobec niewoli podtrzymuje – choć wydawać się to może gorzkim paradoksem historii – ducha narodu. Kto wie, czy przetrwalibyśmy jako wspólnota, gdyby nie „szaleńcy Niepodległości" spod sztandarów powstań kościuszkowskiego, listopadowego, styczniowego, którzy poprzez walkę zbrojną próbowali wstrząsnąć sumieniem świata i często własnego narodu...

Papież Jan Paweł II w przesłaniu do rodaków z okazji 50. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego pisał: „Niektórzy zadają sobie pytanie, czy [Powstanie] było potrzebne. Nie można na to pytanie odpowiadać tylko w kategoriach czysto politycznych lub militarnych. Powstanie było poniekąd zwieńczeniem powstania trwającego przez cały okres II wojny światowej. [...] Było kulminacyjnym aktem tej pięcioletniej walki, tego powstania całego Narodu, który w ten sposób wobec świata wyraził swój protest przeciwko pozbawieniu go niepodległości i dawał dowody, że gotów jest do największych poświęceń dla jej odzyskania i utrwalenia". Słowa te znajdują potwierdzenie w relacjach żołnierzy, którzy 1 sierpnia 1944 r. rozpoczęli bój o stolicę.

Myślę, że każdy z nas miał okazję krótko porozmawiać z Powstańcami lub wysłuchać ich wspomnień i refleksji czy przeczytać je. Pada w nich najczęściej przypomnienie, że byli pokoleniem wychowanym w kulcie niepodległości, traktowanej jako najcenniejszy dar dawany przez Opatrzność narodom i państwom. Że jako przedstawiciele takiego pokolenia nie mieli dylematu, czy dla przywrócenia suwerenności ojczyzny należy ryzykować zdrowie i życie. Gdy przed laty rozmawiałem z płk. Zbigniewem Brymem ps. Zdunin, dowódcą powstańczej „Żelaznej Reduty", zadałem mu przewrotne pytanie: „Warto było?". Liczący wówczas blisko 90 lat kawaler Virtuti Militari odpowiedział bez chwili namysłu: „Nie mogliśmy postąpić inaczej! Przecież myśmy do tej walki przygotowywali się przez całą okupację. Nas nic nie było w stanie powstrzymać przed chwyceniem za broń. Byliśmy pokoleniem heroicznym, a nie skundlonym". I przypomniał maksymę marszałka Józefa Piłsudskiego, która w dużej mierze ukształtowała pokolenie II Rzeczypospolitej: „W życiu są często rzeczy ważniejsze niż samo życie".

Powstanie Warszawskie było naturalną konsekwencją postawy, jaką Polacy przyjęli w czasie wojennej pożogi. Pierwsi powiedzieliśmy stanowcze „nie" dwóm największym totalitaryzmom współczesnego świata, jakimi były narodowy socjalizm niemieckiej III Rzeszy i międzynarodowy komunizm sowieckiej Rosji. Za to „nie" zapłaciliśmy bardzo wysoką cenę: utratę suwerenności i miliony ofiar. Ale jednocześnie taka postawa umiejscowiła nas w kolejnej odsłonie odwiecznej walki Dobra ze Złem. Stanęliśmy po stronie Dobra i wartości stanowiących od stuleci fundament cywilizacji łacińskiej, wartości podeptanych przez Niemców i Sowietów. Patrząc z tej perspektywy, Powstanie Warszawskie nie było „obłędem '44", tylko przeciwnie! Było walką z „obłędem" narzuconym Polsce i Europie przez niemiecką III Rzeszę. Było walką o wolność i godność. Walką o świat wartości brutalnie niszczonych przez brunatnych i czerwonych najeźdźców. Było wreszcie wołaniem do wolnego świata: „Polska żyje i ma prawo do niepodległości!". Niewykluczone, że ten krzyk orężny uchronił nas przed staniem się 17. sowiecką republiką.

Zwracał na to uwagę śp. prezydent Lech Kaczyński podczas przemówienia z okazji 60. rocznicy insurekcji warszawskiej. Wskazywał, że „wola niepodległości jest nieodłącznie związana z poczuciem godności. Żołnierze walczyli o tę godność narodową i ludzką, o to, co zostało Polakom odebrane i co chciano im odebrać ponownie". Zauważał jednocześnie, że „ciągle potężne są siły, dla których polska niepodległość obecna w polskich siłach i umysłach nie jest wartością, a zagrożeniem. Siły, dla których lepiej jest godzić w pamięć Powstania, niż walczyć o jego przypomnienie światu".

Warto przywołać te słowa, bo zapewne i w 74. rocznicę naszej walki o wolność i godność znajdą się tacy, którzy sens heroicznego czynu określą mianem „obłędu".

Jan Józef Kasprzyk
Autor jest szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl 047454cd83

Helena Jamontt

Jak zastrzyk wiary i nadziei

„W te ciężkie dni sierpniowe nosiła z sobą słońce, radość, pogodę... Każde jej słowo działało jak zastrzyk wiary i nadziei przeciw ogólnemu otępieniu i zniechęceniu". Tak o Helenie Jamontt pisał w swojej książce „Przemarsz przez piekło", poświęconej bohaterskiej obronie Starówki w sierpniu 1944 r., Stanisław Podlewski. Ta niezwykła dziewczyna, dzielna konspiratorka, żołnierz Powstania Warszawskiego, ps. Hela Warzycka, Bogucka, Kwiatuszek, poległa 21 sierpnia 1944 r. na Starym Mieście



Dziś zupełnie zapomniana, pojawia się we wspomnieniach osób, które ją znały i z nią współpracowały, m.in. Władysława Bartoszewskiego. Nie ma jednak publikacji, która traktowałaby o jej życiu i działalności. A była to służba niezwykła, wymagająca niespotykanej odwagi, ogromnej determinacji i poświęcenia.

Helena Jamontt urodziła się 21 maja 1914 r. w Warszawie. Ojciec Janusz był sędzią Sądu Najwyższego i profesorem prawa karnego na Wolnej Wszechnicy Polskiej. W czasie okupacji zaangażował się w działalność konspiracyjnego Polskiego Wydawnictwa Prawniczego. Po wojnie wykładał na Uniwersytecie Łódzkim. Matka Róża, z domu de La Tour, była absolwentką Uniwersytetu Latającego i poliglotką. Helena miała starszego o cztery lata brata Władysława, z którym łączyły ją mocne rodzinne więzi. Przed wojną był działaczem Młodzieży Wszechpolskiej i Obozu Narodowo-Radykalnego, w konspiracji zaś żołnierzem Pobudki, a następnie Związku Odwetu. Od 1943 r. aż do wybuchu Powstania Warszawskiego służył w kontrwywiadzie Komendy Głównej AK pod ps. Tatarkin, K-10. W 1944 r. pojawia się w sprawie zabójstwa działaczy Biura Informacji i Propagandy KG AK Jerzego Makowieckiego i Ludwika Widerszala. W powstaniu walczył na Mokotowie pod ps. Olgierd w kompanii saperów Pułku AK „Baszta".

W 1932 r. Helena ukończyła jedną z najlepszych przed wojną placówek edukacyjnych w stolicy – prywatne gimnazjum żeńskie im. Cecylii Plater-Zyberkówny. W szkole należała do katolickiego stowarzyszenia Sodalicji Mariańskiej, którego celem było formowanie jej członków na dojrzałych chrześcijan. Należała również do 6. Żeńskiej Drużyny Harcerskiej. Studiowała na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W 1936 r. uzyskała magisterium, a następnie rozpoczęła studia filozoficzne i psychologiczne na Wydziale Humanistycznym UW. Szczególnie upodobała sobie filozofię ścisłą.

Podczas studiów udzielała się w kole prawników i socjologów, a także w organizacji kulturalno-oświatowej Polska Macierz Szkolna i w katolickiej organizacji Pomoc Bliźniemu (Pom-Bli). Ta ostatnia zajmowała się różnymi formami wsparcia dla niezamożnych studentów. Obok pracy społecznej angażowała się również w działalność polityczną. Wspólnie z bratem była działaczką Młodzieży Wszechpolskiej, Obozu Wielkiej Polski, potem Obozu Narodowo-Radykalnego, a po jego rozpadzie Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga" kierowanego przez Bolesława Piaseckiego (po wojnie twórcę Stowarzyszenia „Pax"). Jej szkolną koleżanką i bliską przyjaciółką była Halina Kopeć, studentka Wyższej Szkoły Dziennikarskiej, przyszła żona Piaseckiego.

eprasa.pl 047454cd83



Zdjęcia: MPW

Kenkarta Heleny Jamontt
odnaleziona podczas jej ekshumacji

Helena robiła duże wrażenie na mężczyznach. Pod jej urokiem był sam Bolesław Piasecki. Także wielu innych ubiegało się beznadziejnie o jej względy. Jeden z czołowych ideologów RNR „Falanga", późniejszy współpracownik Radia Wolna Europa, Włodzimierz Sznarbachowski w swojej znakomitej książce „300 lat wspomnień" tak opisał Helę: „Była umysłem filozoficznym, uczennicą Kotarbińskiego, także muzykologiem, sama grała na fortepianie. Nie była bardzo pociągająca, chociaż wielu z nas kochało się w niej na zabój".

KONFEDERACJA NARODU

W czasie okupacji pozostała w Warszawie. W 1940 r. zaangażowała się w działalność konspiracyjną w ramach Konfederacji Narodu, organizacji polityczno-wojskowej utworzonej w wyniku połączenia się kilku ugrupowań o charakterze narodowym. Do Konfederacji wszedł również Bolesław Piasecki wraz z grupą osób, z której część wywodziła się z Falangi. Został on kierownikiem działu politycznego, a z końcem 1941 r. objął funkcję komendanta głównego KN.

Konfederacja była organizacją zdecydowanie antykomunistyczną, opowiadającą się za rozszerzeniem granic naszego kraju i koncepcją federacyjnego państwa skupiającego wokół Polski sąsiednie narody słowiańskie. W ramach KN od 1942 r. tworzono Uderzeniowe Bataliony Kadrowe. Prowadziły one działania partyzanckie na wschodzie kraju. Jesienią 1943 r. doszło do scalenia KN z Armią Krajową.

Helena, w Konfederacji Narodu pod pseudonimem Warzycka, stała na czele komórki więziennej, którą wkrótce przeorganizowała w wydział odpowiedzialny za opiekę nad uwięzionymi i ich rodzinami. Będąc doskonałą organizatorką, pełną energii i zaangażowania, stworzyła prężnie działającą siatkę, która oprócz dostarczania paczek do więzień i obozów pozyskiwała informacje o przebiegu śledztw, zajmowała się również przekazywaniem grypsów. Od tego nielicznego wydziału zależał nie tylko los uwięzionych, lecz także pozostających na wolności konspiratorów. Jeżeli była taka potrzeba, potrafiła przekupić gestapowców. W ten sposób udało jej się wyciągnąć niejedną osobę z Pawiaka.

Zdyscyplinowana i zawsze skupiona na wykonaniu zadania, angażowała się również w ryzykowne akcje odbijania więźniów. Pomagała m.in. w wynajdywaniu lokali, przenosiła meldunki, rozkazy i broń. Wraz z innymi łączniczkami odegrała poważną rolę w udanej akcji uwolnienia pięciu żołnierzy Konfederacji Narodu z warszawskiego więzienia przy ul. Daniłowiczowskiej. Akcję tę przeprowadzono w nocy z 26 na 27 lipca 1942 r.

MIĘDZYORGANIZACYJNE POROZUMIENIE POMOCY WIĘŹNIOM

Hela pragnęła rozszerzyć pole swojej działalności, tak aby móc pomagać większej grupie ludzi. W tym celu w 1942 r. nawiązała współpracę z komórkami więziennymi innych organizacji konspiracyjnych. Owocem tego było powstanie Międzyorganizacyjnego Porozumienia Pomocy Więźniom. Do Porozumienia przystąpiły jako jedne z pierwszych syndykalistyczna Unia i Front Odrodzenia Polski. Z czasem także inne organizacje konspiracyjne, poza Armią Krajową i Delegaturą Rządu na Kraj, również Narodowe Siły Zbrojne, Polska Partia Socjalistyczna – Wolność, Równość, Niepodległość, Korpus Bezpieczeństwa, Pobudka i inne.

Helena stanęła na czele organizacji. Wreszcie miała możliwość działania na szerszym polu. Jej zastępcą została Halina Dąbrowska „Wanda Leśniewska" (po mężu Bąkowa) z NSZ. Bliską współpracownicą była również Danuta Miszczuk (po mężu Kętrzyńska). Poza centralą w Warszawie Porozumienie posiadało swoje komórki w Krakowie, Lublinie, Kielcach, Częstochowie i Radomiu. Z Porozumieniem współpracował cały sztab ludzi. W czerwcu 1944 r. organizacja dysponowała ponad 900 osobami, tzw. opiekunami, którzy zajmowali się wysyłaniem paczek do obozów.

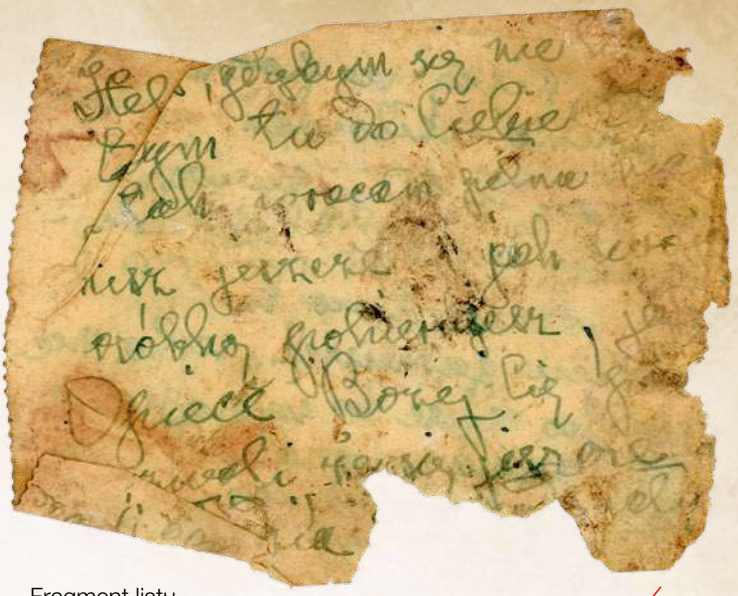
Porozumienie było finansowane w dużej mierze przez Delegaturę Rządu, cywilny pion Polskiego Państwa Podziemnego. Pieniądze oraz dary w naturze przekazywały również inne organizacje wchodzące w jego skład. Paczki z żywnością, lekami i środkami higieny trafiały do więźniów obozów koncentracyjnych i obozów pracy na terenie okupowanej Polski i całej III Rzeszy. Oprócz paczek wysyłanych do konkretnych osób, przekazywano je do tzw. centralek, które rozdzielały otrzymane rzeczy wewnątrz obozów. Centralki takie zorganizowano m.in. w Auschwitz-Birkenau, Ravensbrück, Gross-Rosen, Hamburgu, Neuengamme-Drütte. Tylko w maju i czerwcu 1944 r. Porozumienie wysłało ponad 5,1 tys. paczek, z czego blisko połowa trafiła do więźniów obozu KL Auschwitz-Birkenau.

Helena nie miała łatwego zadania. Nie dość, że jej służba była szalenie ryzykowna i niebezpieczna, musiała ciągle walczyć o dodatkowe pieniądze, gdyż liczba podopiecznych rosła, a o środki było coraz trudniej. Słała więc pisma ponaglające do Delegatury, uruchamiała wszystkie swoje wpływy i kontakty

eprasa.pl 047454cd83

w celu pozyskania dodatkowych funduszy. Porozumieniem kierowała aż do wybuchu Powstania Warszawskiego, które praktycznie zakończyło jego działalność.

Pomoc drugiemu człowiekowi dodawała Helenie energii, pchała do przodu, pomagała przetrwać okrutną wojenną rzeczywistość. Oprócz działalności w Porozumieniu angażowała się również w ratowanie dzieci pochodzenia żydowskiego. Wydawało się, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Całkowicie oddana sprawie, zaniedbywała swoje życie osobiste. Nie miała dzieci, nigdy też nie założyła rodziny. Zawsze otaczało ją szerokie grono znajomych i przyjaciół. Jej charakter doskonale oddają słowa jednej z koleżanek: „Hela ma tyle kontaktów, jest tak żywotna, chce pomagać nawet tym, którzy sami sobie nie zawsze chcą pomóc".



Fragment listu do Heleny Jamontt znaleziony przy jej zwłokach

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Przed wybuchem powstania Helena mieszkała na Mokotowie przy al. Niepodległości. Dopiero 5 sierpnia wraz z kapelanem KN ks. Józefem Warszawskim, „Ojcem Pawłem", dotarła na Wolę w rejon cmentarzy do ppłk. Jana Mazurkiewicza „Radosława", dowódcy Zgrupowania AK „Radosław". Pod jego komendą znalazły się bowiem wywodzące się z KN plutony „Mieczyków" i „Niedźwiedzi".

Została przydzielona do samej szefowej łączności Wojskowej Służby Kobiet przy Komendzie Głównej AK mjr Janiny Karasiówny „Haki". Helena była wówczas w stopniu sierżanta podchorążego. Po niespełna tygodniu walk na Woli przeszła wraz z wycofującymi się powstańcami na Stare Miasto, które stało się kolejnym celem nieprzyjaciela. Rozpoczął się systematyczny ostrzał artyleryjski i codzienne bombardowania dzielnicy.

19 września Niemcy przypuścili generalny szturm na Starówkę. Płonęły kamienice i zabytkowe kościoły. Wszędzie unosiły się słupy ognia i dymu. Brakowało żywności, wody i lekarstw. Życie mieszkańców przeniosło się do piwnic. W tym piekle znalazła się Helena, która jak zawsze pozostawała na pierwszej linii. Parokrotnie przenosiła meldunki ze Starówki do Śródmieścia, przemykając między ruinami. Uczestniczyła w wyjątkowo ryzykownych i niebezpiecznych wyprawach, gdyż Starówka była odcięta już od Śródmieścia i musiała się przekradać przez stanowiska wroga. Pewnego dnia wraz z koleżanką znalazły się w grupie ludzi pędzonych na śmierć. Szczęśliwie uniknęły rozstrzelania, leżąc kilka godzin pod zwałem trupów. Kiedy Niemcy się oddalili i ucichł ostrzał, wydostały się spod zwłok i poszły dalej. Wkrótce została oddelegowana do sztabu dowódcy odcinka północnego w Grupie AK „Północ" ppłk. Franciszka Rataja „Pawła".

W cytowanej już książce „Przemarsz przez piekło" autor zamieścił poruszające wspomnienie o Helenie z czasów walk na Starówce: „Cóż to była za dziewczyna! Wszyscy ją tutaj wspominają z największą tkliwością. [...] Któregoś dnia koleżanki zdziwiły się: – Zmieniłaś uczesanie. Kiedy masz na to czas? – A wiecie, że to mnie uratowało – odparła z uśmiechem. – Mój wałeczek złagodził uderzenie kamieni, miałam tylko duży guz... Każdego ranka gdzieś tajemniczo znikała. Niewielu wiedziało, że szła na mszę świętą, którą odprawiał ojciec Paweł, i że przyjmowała Komunię Świętą. Gdy ją kiedyś zapytano, dlaczego tak często przystępuje do Komunii Świętej, odpowiedziała z dziwną powagą: – Trzeba być zawsze gotowym... Nic nie wiadomo...".

21 sierpnia 1944 r. szczęście ją opuściło. Tego feralnego dnia niosła meldunek do dowódcy Grupy „Północ" płk. Karola Ziemskiego „Wachnowskiego". Była już noc. Szła ul. Miodową, kiedy doszła do numeru 25, runęła kamienica. Towarzyszył jej młody łącznik. To on przyniósł informację o jej śmierci. „Szedłem krok przed Helą Warzycką – relacjonował chłopiec – przechodziliśmy pod kamienicą stojącą w płomieniach. Naraz straszliwy trzask, coś przydusiło mnie do ziemi. Gdy podniosłem się, widziałem tylko płonące usypisko gruzów, belek i żelastwa". Następnego dnia z samego rana rozpoczęto akcję ratowniczą. Niestety nie przyniosła ona pozytywnego rezultatu. Dokładnie tydzień wcześniej, również na Starówce, podczas przenoszenia rozkazu zginęła bliska przyjaciółka Haliny – Halina Kopeć, wówczas już Piasecka.

Szczątki Heli wydobyto dopiero wiosną 1951 r. Dzień przed otrzymaniem informacji przez rodzinę o odnalezieniu zwłok Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie ogłosił wyrok skazujący brata Heli na karę śmierci. Kilka godzin po ogłoszeniu tego wyroku zmarł ojciec Heli. Ostatecznie karę śmierci zamieniono na dożywocie, a w czerwcu 1956 r., w wyniku amnestii, po siedmiu latach pobytu w więzieniu Władysław wyszedł na wolność. Zginął trzy lata później w wypadku samochodowym. Matka Heli zmarła w latach 60. Nigdy nie pogodziła się ze śmiercią dzieci.

Grób Heli znajduje się na Powązkach Wojskowych w Warszawie (kwatera A2, rząd 4, grób 12). Na betonowym krzyżu z trudem można odczytać jej imię i nazwisko. Jakiś czas temu pojawił się brzozowy krzyż i tabliczka z jej krótkim biogramem. W zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego znajdują się pamiątki po Heli. To kenkarta oraz fragmenty notatek i listów znalezionych przy jej szczątkach. W archiwum rodzinnym zachowała się również jej szpilka do włosów oraz święty obrazek z odręcznie napisaną modlitwą, a także kilka fotografii.

Helena Jamontt za swoją działalność nigdy nie otrzymała żadnego odznaczenia. W tym roku Muzeum Powstania Warszawskiego zgłosiło ją po raz drugi do odznaczenia państwowego.

Katarzyna Utracka

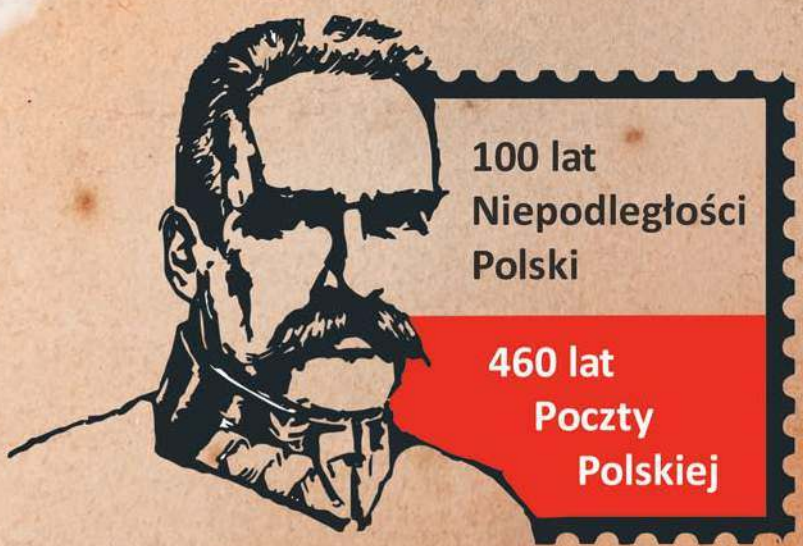
26.07.18/F

eprasa.pl 047454cd83

Poczta Polska

Powstanie Warszawskie

74 rocznica



1 sierpnia 1944 - 2018

eprasa.pl 047454cd83



Powstańcze zwycięstwa

Zdobywając punkty strategiczne w mieście, uwalniając więźniów czy atakując zabranymi Niemcom czołgami, powstańcy udowodnili, że bohaterstwa i pomysłowości im nie brakowało. Zabrakło broni



ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

Do historii przez wielkie „H" weszły tak sławne akcje, jak zdobycie gmachu dużej i małej PAST-y czy oswobodzenie więzienia na ul. Gęsiej. Choć było ich więcej, postanowiłem opisać trzy – moim zdaniem najbardziej spektakularne i ważne. Są dowodem waleczności żołnierzy, pomysłowości dowódców oraz przykładem zaczepnego ducha.

DUŻA PASTA

Przy ul. Zielnej 37/39, w początkach XX w. powstał najwyższy wówczas na kontynencie, modernistyczny, przypominający średniowieczną wieżę zamkową – budynek PAST-y (skrót od nazwy Polska Akcyjna Spółka Telefoniczna). W latach 30. ubiegłego stulecia był to drugi warszawski „drapacz chmur" obok wieżowca Prudentiala (później Hotel Warszawa). Podczas drugiej wojny, jeszcze przed wybuchem powstania, Niemcy zabezpieczyli ten obiekt, doceniając jego strategiczne znaczenie. Mieściła się tam główna centrala telefoniczna, przez którą przechodziły wszystkie połączenia Berlina z okupacyjnymi władzami Generalnego Gubernatorstwa, ale przede wszystkim z całym frontem wschodnim. Wejście do gmachu było chronione przez specjalnie wybudowany betonowy bunkier, a wewnątrz budynku stale przebywała dobrze uzbrojona, choć nieliczna załoga, wzmocniona po wybuchu powstania do siedmiu doświadczonych oficerów i 157 żołnierzy innych stopni.

Wieżowiec stanowił cierń w wyzwolonym już od Niemców Śródmieściu. Z jego wyższych pięter snajperzy strzelali do wszystkiego, co się ruszało, terroryzując ludność cywilną, która znalazła się w zasięgu ich broni. W nocy z 3 na 4 sierpnia powstańcy zaatakowali po raz pierwszy. Do PAST-y wdarli się żołnierze oddziałów dyspozycyjnych Obwodu I i ok. 50 chłopców z batalionu „Kiliński" pod dowództwem por. Stanisława Silkiewicza „Szarego". W ostrym boju dotarli do poziomu I piętra, ale z powodu lepszego uzbrojenia wroga zostali zmuszeni do odwrotu. Poległo ośmiu, a 18 zostało rannych.

Szturm trwał. Pętla powoli się zaciskała. Najpierw oddział z batalionu „Kiliński" opanował gmach giełdy przy ul. Królewskiej 14, odcinając ostatecznie obrońcom dowóz materiałów z Ogrodu Saskiego. 13 sierpnia, na jego terenie, Niemcy sformowali kolumnę złożoną z dwóch czołgów i 200 żołnierzy, którzy objuczeni bronią i zapasami chcieli zluzować zmęczoną obsadę wieżowca. Konwój został na ul. Królewskiej zdziesiątkowany przez powstańców, a jeden z czołgów stanął w płomieniach.

eprasa.pl 047454cd83

Tymczasem pod PAST-ę strażacy przywieźli dwie motopompy i kilka tysięcy litrów ropy. Wzmocnione bronią ze zrzutów oddziały batalionu „Kiliński" zajęły pozycje wyjściowe do szturmu. Późnym wieczorem 19 sierpnia, dowódca Obwodu I, ppłk Edward Franciszek Pfeiffer „Radwan", wydał rozkaz do ataku. Powstańcy mieli wedrzeć się do budynku przez dwa wyłomy w murze. Jednak saperzy przesadzili z ilością plastiku i zamiast zrobić wyłom, zburzyli całą ścianę. Korzystając z drabin, ponosząc duże straty, szturmowcy dostali się na I piętro i... zostali odcięci. Na szczęście była z nimi minerka Barbara Matys „Baśka", która miała ze sobą jeszcze kilogram plastiku, zapalniki i lonty. Powstańcy, po wywaleniu kolejnej dziury w ścianie, skacząc z I piętra na kupę gruzów, wydostali się z pułapki.

Teraz do akcji weszli strażacy i ich motopompy. Zalewali płonącą ropą piętro po piętrze. W ślad za ogniem posuwała się skokami grupa szturmowa którą dowodził z zewnątrz dowódca batalionu „Kiliński", rtm. Henryk Leliwa Roycewicz, wicemistrz olimpijski we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego z Berlina. Obrońcy uciekali przed ogniem na górne piętra. Tych, którzy usiłowali się bronić, dosięgły kule chłopców Leliwy, jednak gros z nich przeszło ognioodpornym szybem kablowym do piwnicy, gdzie zostali wzięci do niewoli. Z budynku wyprowadzono 115 jeńców, w tym siedmiu oficerów oraz sześciu rannych żołnierzy. Poległo lub zmarło 36. Straty po stronie polskiej poniesione przez cały okres walk to 38 poległych i 63 rannych. Nad PAST-ą zawisła biało-czerwona flaga. Wisi ona do dziś. W 2000 r. budynek został bowiem przekazany Fundacji Polskiego Państwa Podziemnego, a obecnie jest tam m.in. główna siedziba Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

PANTERY PRZECHODZĄ PRZEZ ŻYTNIĄ

Drugiego dnia powstania batalionom kadrowym „Parasol" i „Zośka" udało się opanować wszystkie obiekty w kwadracie ulic Wolska, Młynarska, Okopowa – od północy rejon zgrupowania zamykały cmentarz ewangelicki i fabryka Telefunkena przy rogu Karolkowej i Mireckiego. Obyło się bez większych strat i wokół panował nastrój graniczący z euforią. Ludność Woli nie pozwoliła powstańcom „dotykać się" do budowy barykad. 200 ochotników z sąsiednich bram pracowało przy budowie największej z nich. Przegradzała ulicę Karolkową, mając za plecami Żytnią. Kiedy robota dobiegła końca, paniusie z okolicy przyniosły dwie parasolki, które wetknięto po obu stronach powstałej barykady. Teraz wszyscy już wiedzieli, że jej obrońcy to chłopcy z elitarnego batalionu „Parasol", który rok wcześniej wsławił się wieloma udanymi akcjami na ulicach okupowanej Warszawy. Radosny spokój drugiego dnia powstania zakłócił dobiegający od strony ul. Wolskiej ryk silników.

Trzy niemieckie Pantery nagle skręciły w Karolkową i z hukiem przetaczały się w kierunku barykady „Parasola". W tamtym czasie były to jedne z najlepszych czołgów pola walki w swojej klasie – czołgów średnich. Nie wiadomo, skąd wzięły się w tamtym rejonie. Łomocząc gąsienicami po bruku, zbliżały się do Żytniej. Wacław Czyszek „Wacek" zajął stanowisko



FOT. EUGENIUSZ ŁOKAJSKI „BROK" ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

przy karabinie maszynowym. Zza barykady próbował wcelować w wizjer kierowcy pierwszego czołgu. Puszczał serię za serią. Jak grochem o ścianę. Ktoś rzucił wiązkę granatów pod gąsienicę. Efekt żaden. Czołg wspiął się na przedpiersie barykady i majestatycznie przewalił się na drugą stronę. Powstańcy rozbiegli się po bramach. „Wacek" próbował jeszcze odpalić ładunki wybuchowe, ale bezskutecznie. Pozostałe dwie maszyny podążały gęsiego za pierwszą, ostrzeliwując okoliczne domy. Kilkunastu powstańców czekało na kolejny rozkaz.

„Butelki i granaty razem!" – krzyczał Jerzy Zborowski „Jeremi". Niecelnie. Ostrzeżone atakiem z góry niemieckie załogi Panter strzelały po oknach i balkonach. Nie można było nawet wychylić nosa. Dojechały do końca ulicy, by skręcić na wschód, w Mireckiego do Okopowej. Po lewej

eprasa.pl 047454cd83

minęły mur cmentarza ewangelickiego. Za nim czaili się już chłopcy z „Zośki". Mieli trochę czasu, by przygotować się na przyjęcie czołgów. Andrzej Łukoski „Blondyn", dowódca 1. kompanii „Maciek" batalionu „Zośka", kierował obsługą PIAT-a (przeciwpancerna broń zrzutowa z pociskiem kumulacyjnym). Pierwsza Pantera obróciła wieżę w prawo, odsłaniając tył. Felicjan Dziak „Fied" nacisnął spust. Padł strzał. Biały dym o charakterystycznym zapachu apteki spowił „Blondyna" i jego ludzi. Pocisk wywalił w tyle wieży dziurę, przez którą mógłby bez trudu przejść człowiek. Jednak z Pantery nikt nie uciekał. Czołg zjechał do rowu i uderzył w mały domek. Pozostałe usiłowały przecisnąć się pod cmentarnym murem. Poleciały koktajle Mołotowa i granaty. Benzyna płonęła na bruku i pancerzach. Załoga jednej Pantery wcisnęła gaz do dechy i dojechała do Okopowej. Skręciła w prawo, zdążając w kierunku placu Kercelego. Udało jej się uciec. Drudzy spanikowali i uderzyli w żelazny słup. Zatrzymali się na torach tramwajowych. Dowódca, wysoki blondyn, otworzył właz i pomachał białą szmatą. Czołgi ugaszono i rozpoczęto naprawę. Obydwie maszyny miały problemy z akumulatorami.

W tej trafionej z PIAT-a dodatkowo poważnemu uszkodzeniu uległa instalacja elektryczna. Pół dnia powstańcy jeździli po całej Woli i zabierali akumulatory z aut osobowych. Udało się. Po naprawie, w ramach przestrzelania działa, „Magda" oddała strzał w kierunku wieży kościoła św. Augustyna, niszcząc gniazdo niemieckiego karabinu maszynowego. Potem pojechała zdobywać więzienie – twierdzę przy ul. Gęsiej. Druga Pantera natomiast została w odwodzie.

ATAK NA GĘSIÓWKĘ

Około 100 kroków dalej na północ, idąc Okopową od miejsca, gdzie niemiecka Pantera zakończyła swój rajd uderzeniem w słup, odchodziła w prawo przecznica – ul. Gęsia. Wzdłuż jej lewej strony ciągnął się wysoki na kilka metrów mur zwieńczony płotem z drutu kolczastego. Za nim znajdował się Konzentrationslager Warschau, tzw. Gęsiówka. Wejścia do głównej bramy od strony Okopowej broniły dwa solidne bunkry. Nad okolicą górowało osiem potężnych, ceglano-betonowych wież strażniczych. Cztery dni przed wybuchem powstania Niemcy rozpoczęli likwidację więzienia. Zamordowali 400 osób i wszystkich chorych, którzy byli niezdolni do marszu. Pozostało tylko ok. 400 więźniów, głównie Żydów, którzy mieli dokończyć likwidację obozu i zatrzeć ślady zbrodni. 5 sierpnia Harcerski Batalion Szturmowy „Zośka" zajął pozycje wyjściowe do ataku na Gęsiówkę.

Celem akcji było oswobodzenie więzionych tam ludzi. Akcja niosła jednak ze sobą spore ryzyko. Z przesłuchania wziętego do niewoli komendanta obozowej policji politycznej wynikało, że osadzeni mogą w każdej chwili zostać rozstrzelani. Błąd w natarciu mógł również spowodować masakrę powstańców. Przez cztery dni zwiadowcy z „Zośki" leżeli nieruchomo w gruzach getta, obserwując zachowanie Niemców w twierdzy. W zdobytych w magazynach przy ul. Stawki panterkach Waffen-SS, przykryci plamiastymi pałatkami, byli rzeczywiście niewidoczni dla wroga. Dzięki gruntownemu rozpoznaniu powstał właściwy plan zdobycia tej umocnionej pozycji. „Zośka" przyjęła następujący ordre de bataille (porządek bitewny): atak od strony Okopowej na wschód, wzdłuż ul. Gęsiej. Na lewym skrzydle – III pluton „Felek" 2. kompanii „Rudy" Batalionu „Zośka", dowodzony przez sierż. pchor. Konrada Okolskiego „Kubę". Prawe – dowodzony przez sierż pchor. Eugeniusza Koechera „Kołczana" II pluton „Alek" kompanii „Rudy" Batalionu „Zośka". Środkową oś natarcia przejął por. Mirosław Cieplak „Giewont" wraz z 3. kompanią batalionu „Zośka". W odwodzie 1 kompania „Maciek". Dowódca całości – Ryszard Białous „Jerzy". Dochodziła 10.00, kiedy przyczajeni na pozycjach powstańcy usłyszeli ryk silników czołgu. Od strony Okopowej nadjeżdżała zdobyczna „Magda". Skręciła w Gęsią, by po dwóch minutach jazdy, tuż przed murem więzienia, wjechać w lewo Liberadzkiego. – Przed nami zabarykadowana żelazna brama zamykająca wjazd na teren obozu, ostatnia przeszkoda przed bunkrami – wspomina Witold Bartnicki „Wiktor", ładowniczy Pantery. – Słychać zgrzyty i łomot gąsienic. Szarpnięcie i huk. Co się stało? „To mina" – podają od przodu. Uczucie ulgi i pewności siebie. Ten pancerz dużo wytrzyma.

Załoga „Magdy" rozwaliła dwa bunkry przy bramie i zabrała się za wieże strażnicze. Po dwa pociski odłamkowe w każdą. – Szturmowcy idą równo z nami – kontynuuje „Wiktor". – Nie wiem, którzy to z kolegów, gdyż nie widać twarzy. Widok tak piękny jak z obrazka. Leżą na dachu rozwalonej budy, z głowami lekko uniesionymi do góry. Poruszają się spokojnie i odważnie. Nie słyszę tego, ale po ruchu lufy domyślam się, że prowadzą cały czas ogień krótkimi seriami. Widok tak mnie przykuwa, że nie mogę się powstrzymać, aby nie spojrzeć na nich co chwila. To natarcie ma jednak kolosalny rozmach.

W końcu sukces. – Otrzymujemy rozkaz przerwania ognia. Jeszcze nie wiemy – zdobyta Gęsiówka, czyżby tak szybko? Otwieramy klapy. Co za przyjemność, jakie powietrze! Przebiegający szturmowcy machają do nas rękami. Zwycięstwo jednak upaja.

W ataku poległ plut. Juliusz Rubini „Piotr", a sanitariuszka Zofia Krassowska „Duża Zosia" została ciężko ranna i zmarła 6 sierpnia. Z 90-osobowej niemieckiej załogi SD i SS część zginęła, a reszta się poddała. Zdobyto duże ilości broni i amunicji. Jeńców odesłano na tyły, gdzie sąd polowy wymierzył im zasłużoną karę – karę śmierci. Wg różnych źródeł uwolniono 348–383 więźniów. Prawie wszyscy byli Żydami. Ci na pewno nie dyskutują dziś o sensie wybuchu powstania w Warszawie. – Stary zgrzybiały Żyd stoi przed czołgiem, milczy, ręce uniósł do góry, śmieje się z wykrzywioną dziwnie twarzą i tylko łzy cieką mu po policzkach. Jestem niesłychanie zakłopotany. Za co oni nam dziękują? Na czołg wdrapuje się mały, 15-letni chłopiec. Mówi coś do nas po czesku. Zagląda ciekawie do środka. Z wdzięczności przynosi i wręcza mi porcelanową figurkę skradającej się pantery. Staram się mu wyjaśnić jej znaczenie, wynikające z tego, że nasz czołg też Pantera. Porcelanowa pantera zostaje naszą maskotką – kończy opowieść polski ładowniczy niemieckiego czołgu.

31/0718/F | 45/0418/F

eprasa.pl 047454cd83

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



PZU Mecenasem Muzeum Powstania Warszawskiego

PZU od lat z dumą wspiera ważne działania na rzecz kultury i zachowania pamięci historycznej. Pomagamy w odzyskiwaniu obiektów muzealnych, dzieł sztuki. Sprawujemy mecenat nad najważniejszymi i najcenniejszymi instytucjami pielęgnującymi kulturę i dziedzictwo narodowe Polski.

pzu.pl

eprasa.pl 047454cd83

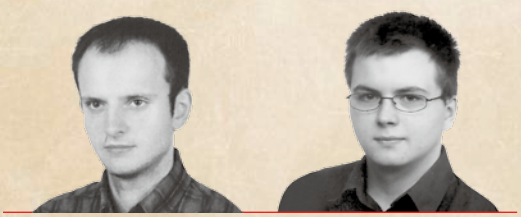


Ulica Krakowskie Przedmieście u zbiegu z pl. Zamkowym

Fot. niemiecka, ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Godzina „W”. Co wiedzieli alianci i okupanci

Wybuch Powstania Warszawskiego wywołał po polskiej stronie ogrom nadziei, chaos informacyjny, ale też wątpliwości. W Berlinie i Moskwie zaś zaskoczenie, bezradność i wolę natychmiastowego ukrycia tego faktu przed światem



PAWEŁ BRUDEK RAFAŁ BRODACKI

21 lipca 1944 r. dowódca Armii Krajowej gen. dyw. Tadeusz Komorowski „Bór” poinformował rząd RP w Londynie, że podjął wzmożone przygotowania do rozpoczęcia powstania w Warszawie. 19 lipca nakazał bowiem rozszerzyć nasłuch radiostacji. 25 lipca miał się zaś rozpocząć okres czujności przed planowaną walką. Tegoż dnia w Londynie odebrano depeszę „Bora”, w której meldował o gotowości do bitwy o Warszawę. Datę rozpoczęcia działań miał zameldować w osobnej depeszy. W odpowiedzi premier rządu RP na uchodźstwie przysłał upoważnienie kierownictwa Polskiego Państwa Podziemnego do samodzielnego podjęcia decyzji o rozpoczęciu powstania.

CO ZROBILI SOWIECI

Trudno dziś powiedzieć, czy sowiecki wywiad znał treść depesz wymienianych między okupowaną Warszawą a Londynem. Wiele wskazuje jednak na to, że pośród polityków w rządzie emigracyjnym Sowieci zdołali umieścić dwóch agentów o pseudonimach Henryk i Sadownik. Byli tak dobrze zakonspirowani, że do dziś nie znamy ich nazwisk. Musieli

eprasa.pl 047454cd83

być jednak ważni, bo zapewne mieli dostęp do najtajniejszych korespondencji rządu RP na uchodźstwie z innymi podmiotami (w tym okupowaną Polską). Z drugiej strony także członkowie słynnej „piątki z Cambridge" znali treść depesz wysyłanych przez alianckie przedstawicielstwa w Londynie, a nawet uzyskali dostęp do dokumentów MI6, czyli brytyjskiego wywiadu wojskowego.

Tymczasem „Bór" do Londynu przesyłał kolejne wiadomości, w których raportował o przebiegu „Burzy". Nocą z 1 na 2 sierpnia wysłał trzy depesze. W dwóch pierwszych informował, że w Warszawie trwają walki. 2 sierpnia rankiem nadał kolejną. Prosił w niej o nakłonienie naczelnego dowództwa Armii Czerwonej do uderzenia na miasto od zewnątrz i tym samym przyjścia powstańcom z odsieczą. Wiadomość tę władze emigracyjne natychmiast przesłały Brytyjczykom. Ci zaś kanałami dyplomatycznymi dostarczyli ją do swojej ambasady w Moskwie. W ten sposób 3 sierpnia ok. godz. 1.10 o depeszy „Bora" dowiedzieli się oficerowie ze sztabu naczelnego dowództwa Armii Czerwonej (tzw. Stawka) i Stalin. Z jej treścią zapoznał się także ludowy komisarz spraw zagranicznych ZSRS Wiaczesław Mołotow.

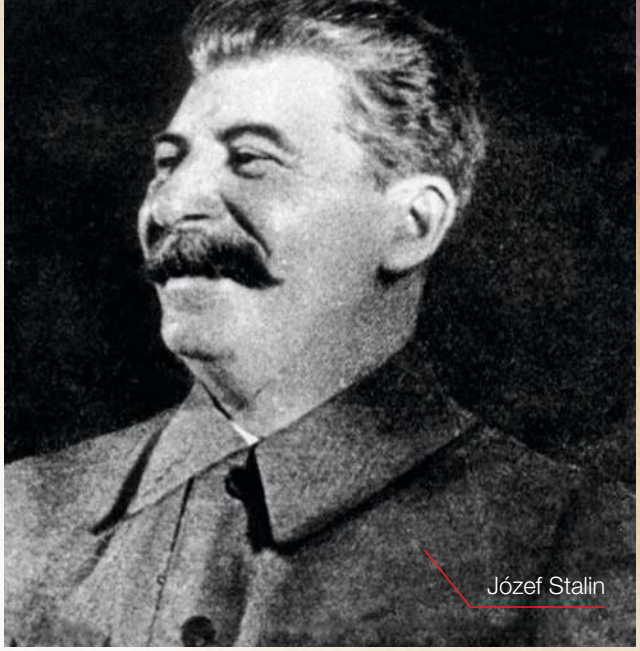
Tak dyktator Kremla dowiedział się o rozpoczęciu walk w Warszawie i stanął przed nie lada problemem. Dotychczasowe plany zakładały wzięcie Warszawy w kleszcze i zajęcie jej oskrzydlającym uderzeniem. Tymczasem rozpoczęcie powstania sprawiło, że te plany przestały być aktualne. Stalin przyjął wyczekującą postawę, wierząc, że przeważająca siła militarna Niemców pozwoli im na szybkie zdławienie powstania, zanim wywrze ono jakiś wpływ na politykę międzynarodową. Nakazał wstrzymać prące ku miastu oddziały 1. Frontu Białoruskiego. Kiedy zaś żołnierze tego frontu musieli sprostać niemieckiemu kontrnatarciu w rejonie Radzymina, osłabił obronę głównych linii, wysyłając strategicznie ważne oddziały do odwodu. Oddziały Armii Czerwonej zaczęły się cofać.

Jeszcze długo po wojnie oficjalna propaganda sowiecka twierdziła, niezgodnie z prawdą, że siły sowieckie zatrzymały się z powodu silnego naporu nieprzyjaciela i braków w zaopatrzeniu.

PREMIER W MOSKWIE

31 lipca wylądowała w Moskwie delegacja rządu RP na uchodźstwie z premierem Stanisławem Mikołajczykiem na czele. Praktycznie od samego początku Rosjanie robili wszystko, żeby okazać im swoją niechęć, a nawet wrogość. Około godz. 21.00 polską delegację przyjął Mołotow, który miał zapytać impertynenckim tonem polskiego premiera, po co przyleciał. Mikołajczyk odparł, że chciałby się spotkać ze Stalinem. Szef rosyjskiej dyplomacji bezczelnie stwierdził, że większość polityków z rządu polskiego to wrogowie ZSRS, a Stalin nie ma czasu dla premiera Polski. Jedyne, na co Polacy mogli liczyć, to spotkanie z politykami z Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, którzy „przypadkiem" byli w Moskwie. Mikołajczyk odmówił. Chciał rozmawiać ze Stalinem, a nie z gronem uzurpatorów.

Polska delegacja oczekiwała więc na spotkanie ze Stalinem, otrzymując 3 sierpnia depeszę „Bora" zawiadamiającą



Józef Stalin

Fot. Autor nieznany, ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

o rozpoczęciu walk. Trudno powiedzieć, czy była ona dla Mikołajczyka i kierowanego przezeń rządu zaskoczeniem. Mimo to zmieniała znacząco położenie Polaków. Mikołajczyk doskonale zdawał sobie sprawę, że powstańcy potrzebowali wsparcia, a Armia Czerwona była najbliżej. Liczył jednak na to, że rozpoczęcie Powstania Warszawskiego wzmocni jego pozycję w negocjacjach ze Stalinem i będzie kartą przetargową podczas rozmów o powojennej Polsce.

Dlatego, kiedy 3 sierpnia premier wraz z resztą polskiej delegacji przekroczył próg gabinetu Stalina na Kremlu, nie omieszkał wspomnieć o rychłym zwycięstwie powstańców. Snuł plany wylądowania w wyzwolonej Warszawie na czele całej rady ministrów i objęcia tym samym rządów w niepodległej Polsce. Zwrócił się także o pomoc dla walczącej Warszawy.

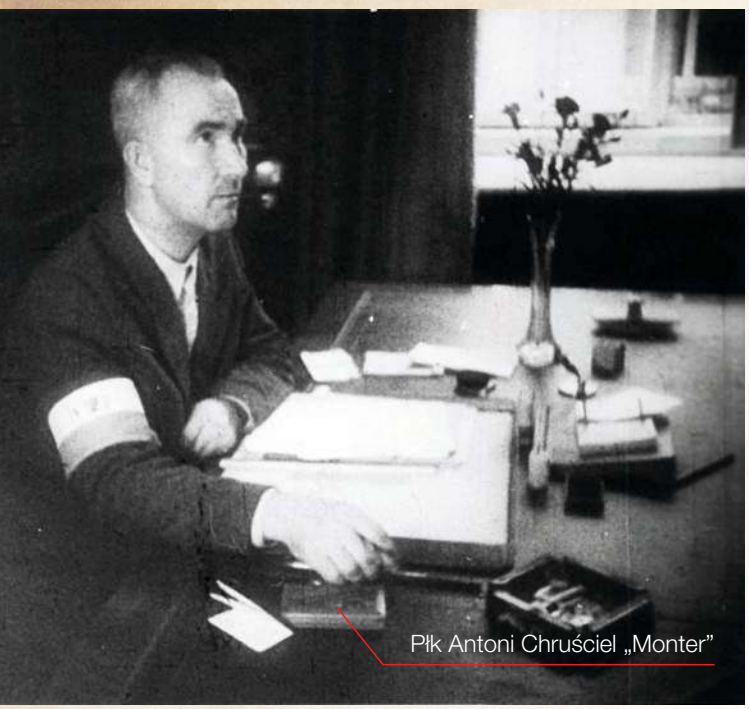
Mikołajczyk swoimi słowami rozdrażnił dyktatora. Stalin chłodno upomniał premiera, że w Warszawie są jeszcze



Premier rządu RP na uchodźstwie Stanisław Mikołajczyk

Fot. Autor nieznany, ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

eprasa.pl 047454cd83



Płk Antoni Chruściel „Monter”

Fot. Autor nieznany, ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Niemcy i nie zanosiło się na to, żeby szybko ją opuścili. Jak stwierdził, Armia Krajowa była raczej luźną formacją partyzancką, a nie regularnym wojskiem. Zapytywał, jak żołnierze AK mogą wypędzić wroga z Warszawy, skoro brakowało im broni ręcznej, lotnictwa i czołgów. Oskarżał AK o krycie się po lasach i ujawnianie dopiero w obliczu klęski Niemców. Złożył jednak złudną, jak się okazało, obietnicę pomocy.

Dalsza część wizyty wyglądała nie lepiej. Polska delegacja proponowała uregulowanie stosunków między RP a ZSRS. Chciała po wojnie przeprowadzić nowe wybory i sformować rząd oparty nie tylko na najważniejszych przedwojennych stronnictwach politycznych, lecz także na komunistach z Polskiej Partii Robotniczej. Zapowiedziała ponadto zmiany w polskim systemie prawnym, szczególnie zaś w konstytucji. Wysunęła również propozycję zawarcia umów dotyczących pobytu Armii Czerwonej na ziemiach polskich i granicy wschodniej.

Stalin ani myślał układać się i dzielić władzą. Wygrywał wojnę i wiedział, że w końcu zajmie Polskę. Z hukiem sprowadził delegację rządu RP na uchodźstwie na ziemię, oświadczając, że jedynym reprezentatywnym gronem, które zdecyduje o przyszłości Polski, jest dlań PKWN. Odmówił także uznania rządu RP na uchodźstwie za przedstawiciela spraw polskich. Jeżeli więc rozmowy miały trwać dalej, to przybyli Polacy mieli debatować z politykami z PKWN.

Stanisław Mikołajczyk i towarzyszący mu politycy nic nie osiągnęli. Opuścili Kreml w poczuciu całkowitej klęski. 6 i 7 sierpnia rozmawiali jeszcze w polskiej ambasadzie z przedstawicielami PKWN. Bolesław Bierut kłamliwie twierdził, że był w Warszawie jeszcze 2 sierpnia. Mówił, że trwały tam jedynie pojedyncze starcia, które trudno nazwać powstaniem. Przewodnicząca zarządu głównego Związku Patriotów Polskich Wanda Wasilewska agresywnie obrzucała Armię Krajową inwektywami. Nie ulegało wątpliwości, że robiła to za zgodą Stalina, z którym widziała się przed spotkaniem w polskiej ambasadzie.

OFICJALNE STANOWISKO

Sowiecka propaganda milczała, czekając na koniec powstania. Ukazujące się na łamach „Prawdy”, czyli oficjalnego organu sowieckiej partii komunistycznej, artykuły były pełne treści o zajmowaniu przez Armię Czerwoną kolejnych połaci Polski (niesłusznie nazywanego wyzwoleniem). Ich autorzy atakowali przy tym polskie władze na uchodźstwie.

Dopiero 13 sierpnia „Prawda” przedrukowała artykuł dotyczący Powstania Warszawskiego, który znalazł się na łamach „Daily Worker”, czyli finansowanego przez Kreml pisma ukazującego się w Wielkiej Brytanii. Wkrótce pojawiły się przedruki z innych gazet, które także znajdowały się na pasku Moskwy. Wszystkie jednoznacznie krytykowały warszawski zryw, określając go mianem cynicznej gry prowadzonej przeciwko ZSRS przez „prawie faszystowski” rząd RP na uchodźstwie.

Był to stary chwyt, w którym Związek Sowiecki, posługując się rzekomo niezależną zachodnią prasą, atakował powstańców, formalnie nie zajmując stanowiska. Dopiero 22 sierpnia Stalin otwarcie wspomniał o powstaniu, określając je w korespondencji z Winstonem Churchillem i Franklinem Delano Rooseveltem mianem awantury wywołanej przez garstkę



Niemiecki patrol na ul. Rakowieckiej

Fot. Stefan Batuk „Kubus”, ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

eprasa.pl 047454cd83



Niemieckie ciężarówki na pl. Piłsudskiego (wówczas Adolf Hitler Platz). W tle po lewej gmach Hotelu Europejskiego

Fot. Stefan Batuk „Kubus", ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

kryminalistów. To oni mieli rzucić naiwnych i nieuzbrojonych warszawiaków do walki z doskonale wyekwipowaną armią niemiecką. 3 września ukazał się pierwszy „samodzielnie napisany" artykuł w „Prawdzie" dotyczący powstania. Zawierał on te same propagandowe i antypowstańcze treści. Tendencja ta utrzymywała się do końca powstania.

POLACY W WARSZAWIE

Tymczasem w Warszawie ginęli ludzie. 2 sierpnia nad ranem dowódca powstania płk Antoni Chruściel „Monter" przesłał „Borowi" pierwszy meldunek sytuacyjny. Nie miał dobrych wieści. Koncentracja i następujący po niej atak powstańców zakończyły się klęską. Najgorzej było na Żoliborzu, gdzie oddziały powstańcze po wielu niepowodzeniach zbiegły do Puszczy Kampinoskiej. Na Mokotowie również nie poszło najlepiej. Powstańcy zostali zepchnięci do defensywy. W obu tych dzielnicach Niemcy wprowadzili do walki broń ciężką. Praga milczała. „Monter" twierdził, że sytuacja w tym rejonie miasta zdawała się rozwijać po myśli powstańców. Ewidentnie się mylił. Powstańcy na Pradze musieli walczyć z dobrze wyposażonymi formacjami. Praktycznie od początku walk zostali zepchnięci do obrony, nie osiągając większości zamierzonych celów.

Trudno dziś orzec, co skłoniło dowódcę powstania do takich pozbawionych podstaw wniosków. Najwidoczniej nadrabiał miną, nie chcąc przesyłać „Borowi" w pierwszym meldunku tylko złych wieści. Tych zaś było więcej. Również w innych częściach miasta większość obiektów, które były przeznaczone do zdobycia, pozostała w rękach niemieckich. Powstańcy ponieśli znaczne straty w ludziach i zużyli sporo amunicji. Starcia z Niemcami nabrały charakteru lokalnego. Łączność między nimi rwała się, w związku z czym trudno było o pozyskanie informacji dotyczących przebiegu walk na odrębnych terenach.

2 sierpnia „Bór" otrzymał jeszcze dwa meldunki od „Montera". Ten znów raportował o rozdzieleniu walk na mniejsze punkty oporu. Widział w tym jednak pewną zaletę. Uważał bowiem, że w ten sposób Niemcy będą zmuszeni do rozczłonkowania swoich sił. Jak jednak twierdził, ze względu na szczupłość zapasów amunicji nie mógł przejść do szerszej ofensywy, tracąc tym samym wpływ na całościowy przebieg walk. Prosił „Bora", by ten zadepeszował do Londynu i Moskwy o wsparcie dla walczącej Warszawy.

W OCZACH NIEMCÓW

W świetle dokumentów niemieckich wybuch powstania w Warszawie jawi się jako od dawna oczekiwane zdarzenie, całkowicie pozbawione aspektu zaskoczenia. Pierwsze meldunki i dalekopisy krążące pomiędzy komendanturą Wehrmachtu w Pałacu Saskim, dowództwem 9. Armii na Pradze oraz Kwaterą Główną Grupy Armii Środek tuż po godzinie „W" ukazywały powstanie jako nieskoordynowaną akcję Polaków, o niewielkiej skali. Co prawda według „Dziennika działań bojowych" 9. Armii z 25 lipca w Warszawie znajdowało się około miliona niechętnych Niemcom cywilów, jednakże patrzono na nich jako na pasywną siłę roboczą, potrzebną do budowy fortyfikacji ziemnych.

W przededniu powstania „nie planowano na razie ewakuacji miasta". Dostrzegano poruszenie wśród Polaków, które tłumaczono zbliżaniem się frontu. Ludność jednak miała reagować w skomplikowany sposób; w dużej części miała być nastawiona antybolszewicko, ale okazywała Niemcom swoją niechęć. W „Dzienniku działań bojowych" następująco opisywano sytuację: „Na obszarze wojskowym były zarówno nacjonalistyczne, jak i komunistyczne bandy; brakuje dokładniejszych danych na temat ich liczby i sił. Jest rzeczą wiadomą, że polski ruch oporu podjął przygotowania do powstania, jednakże brakuje jasności odnośnie do stanu tych przygotowań i przypuszczalnego terminu jego wybuchu. Miejscowi szefowie policji uważają nawet, że wystarczająco ostre stosowanie przemocy w ogóle wyeliminuje zagrożenie powstańcze. Jednakże podkreślają, że rozporządzalne siły policyjne są nadzwyczaj słabe".

Komendant miasta gen. Reiner Stahel w swoich późniejszych „Doświadczeniach z Powstania w Warszawie" przyznawał, że Niemcy zignorowali podejrzane grupki ludzi na skrzyżowaniach, intensywniejszy ruch rowerowy oraz liczne dorożki z „niecodziennymi pasażerami". Według referenta gubernatora Fischera – Friedricha Gollerta – wybuch poprzedziło zamknięcie o 15.00 „bez żadnego rozporządzenia" większości sklepów. „Meldunki ulicznych patroli, że wszędzie panuje spokój, były i są bez wartości" – surowo oceniał Stahel,

eprasa.pl 047454cd83



Fot. Stefan Batuk „Kubus”, ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Pałac Saski. Od 24 lipca mieściła się tu siedziba Komendanta Wojennego Miasta, gen. por. Reinera Stahela

wskazując na blamaż tajnych informatorów, którzy zaczęli wysyłać ostrzeżenia dopiero pół godziny przed wybuchem walk.

Pierwsze niemieckie komunikaty uspokajały, że nic nie zagraża ośrodkom łączności niemieckich jednostek. Meldunek dzienny 9. Armii do sztabu Grupy Armii „Środek” z 2 sierpnia, autorstwa por. Pauli, zawierał uspokajającą wiadomość, że udało się opanować najważniejsze arterie, „jednakże nie zdołano jeszcze przywrócić normalnej komunikacji”. Straty „bandytów” miały być poważne: „Przy ostrożnym szacowaniu straty bandytów od 1 sierpnia wynoszą ok. 2000 zabitych. Powstaje wrażenie, że spoistość zdezorganizowanych band wskutek strat zmalała, podczas gdy siła bojowa tych band, które się ufortyfikowały i zreorganizowały, rośnie”. Optymistyczna informacja o wysokich stratach Polaków (choć straty własne również odczuwalne) była jednak stonowana przez niepokojące oznaki: co prawda wciąż określano walki uliczne jako „zamieszki” czy „rozruchy”, gdzieniegdzie jednak opór „polskich nacjonalistów” tężał, co stawiało pod znakiem zapytania taktykę przełamywania go siłami samej tylko policji.

Himmler, którego nieudany zamach na Hitlera z 20 lipca wywindował do roli trzeciej najważniejszej osoby w III Rzeszy (po samym Führerze oraz Goebbelsie), mówił o wybuchu powstania: „To Anglicy wywołali to powstanie i to w dla nas absolutnie niesympatycznym momencie. […] wydałem rozkaz, żeby Warszawa została doszczętnie zniszczona. Możecie pomyśleć, że jestem straszliwym barbarzyńcą. Jeżeli sobie tak życzycie: tak, jestem nim, jeśli tak być musi. Rozkaz brzmiał: każdy blok domów wypalić do cna i wysadzić w powietrze, tak żeby już w Warszawie żadne świnie etapowe [Etappenschwein – dekownik] nie uwiły sobie gniazdka”.

O ile Himmler po prostu przemilcza, że wydał ustnie rozkaz o rozpoczęciu eksterminacji polskich cywilów, o tyle komunikat gen. Stahela uzgodniony z Fischerem, według Gollerta ogłoszony 1 sierpnia o godz. 20.15 przez megafony, w językach polskim i niemieckim, gwarantował śmierć cywilom napotkanym na ulicach: „Od tej chwili ogłaszam w mieście Warszawie stan oblężenia. Do osób cywilnych, które pojawią się na ulicy, będzie się strzelać. Budynki i instytucje, z których będzie się strzelać do Niemców, zostaną starte z powierzchni ziemi”.

Wyrazem nadziei na szybkie zdławienie powstania, ale również obaw o jego eskalację, była dyrektywa ministra propagandy III Rzeszy Josepha Goebbelsa nakazująca wstrzymanie wszelkich publikacji o sytuacji w Warszawie na terenach kontrolowanych przez Niemców. Zakaz zdjęto dopiero 18 sierpnia, publikując na łamach organu partii NSDAP „Völkischer Beobachter” tekst „ujawniający” fakt powstania wobec niemieckiej opinii publicznej. Jego tytuł zdradzał całkowite podporządkowanie nowym wytycznym Goebbelsa: „Szatańska gra. Londyn i Moskwa podburzają Warszawę do powstania i pozostawiają ją na łasce losu”.

W grudniu 1944 r. wspomniany już Friedrich Gollert w sprawozdaniu pisanym w imieniu jego zwierzchnika gubernatora Dystryktu Warszawskiego Ludwiga Fischera dla generalnego gubernatora Hansa Franka opisał okoliczności wybuchu insurekcji. Z lektury dokumentu wynika, że pod koniec 1944 r. trwał konflikt na szczytach władzy III Rzeszy, wokół kwestii niemieckiej odpowiedzialności za wybuch. Gollert stanął w obronie administracji cywilnej, policji i służby bezpieczeństwa, obwinianych za przeoczenie polskich przygotowań.

W jego opinii do powstania musiało dojść w konkretnej sytuacji militarnej, która zdawała się sprzyjać powstańcom: „Wskutek ciężkich klęsk, jakie ponosiliśmy na Froncie Wschodnim, znowu odżyły w Polakach nadzieje na aktywniejszą działalność. Propaganda zagraniczna wszędzie szerzyła informacje, że dni Rzeszy są już policzone, że wkrótce nadejdzie wolność i obowiązkiem każdego Polaka jest zrobienie wszystkiego, by dzień ten nastąpił jak najszybciej. […] zdecydowana większość Polaków była przekonana, że Wehrmacht niemiecki jest rozbity i że ostateczne rozgromienie Niemiec jest kwestią miesięcy, a nawet tygodni”. Dopiero później Gollert przyznawał, że powstanie było jednak dla Niemców zupełnym zaskoczeniem. Ofiarą wybuchu powstania 1 sierpnia o godz. 17.00 padli rozsiani po całym mieście, a odcięci w swoich miejscach pracy niemieccy oficerowie i urzędnicy cywilni, dla których rozpoczęła się teraz ciężka walka w odcięciu i oczekiwanie na odsiecz Wehrmachtu.

Bunkier przy dojeździe do mostu Kierbedzia



Fot. Autor nieznany, ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

eprasa.pl 047454cd83

Miasto, którego już nie ma

Z historykiem Muzeum Powstania Warszawskiego Katarzyną Utracką, o ogromie zniszczeń dokonanych przez Niemców w Warszawie, rozmawia Andrzej Skwarczyński

Tradycja usypywania kopców ku pamięci osób czy wydarzeń ma w Polsce długą historię. Kopiec Powstania Warszawskiego, na którym się spotkaliśmy, jest jednak wyjątkowy. Dlaczego?

Katarzyna Utracka: Ten kopiec to rzeczywiście wyjątkowe miejsce. Został usypany z gruzów Warszawy – miasta, którego już nie ma. To trochę tak, jakbyśmy stąpali po grobach. Pobudza do refleksji. Przywołuje na myśl przedwojenną Warszawę, która bezpowrotnie zniknęła, jej bohaterskich obrońców oraz tragedię walczącego miasta. Ważne miejsce, myślę, nie tylko dla każdego warszawiaka, lecz i Polaka.

Jak doszło do jego utworzenia?

Pomysł usypania kopca z gruzów Warszawy pojawił się zaraz po wojnie. Jego autorem był m.in. architekt Stanisław Gruszczyński. Była koncepcja, żeby stanął na Powiślu. Rozpatrywano również inne lokalizacje, np. między ul. Towarową a Żelazną, nieopodal obecnej siedziby Muzeum Powstania Warszawskiego. Projekty te nigdy nie zostały zrealizowane.

Począwszy od 1946 r. zaczęto zwozić gruz w rejon ul. Bartyckiej. W ten sposób powstał Kopiec Czerniakowski. Przez wiele lat był zapomniany i zaniedbywany. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze w latach 90. kopiec określany był „górą śmieci". Dopiero w 50. rocznicę wybuchu powstania na jego szczycie ustawiono ogromną „kotwicę" – znak Polski Walczącej. W tym miejscu muszę przywołać postać nieżyjącego już ppłk. Eugeniusza Ajewskiego „Kotwy", żołnierza Pułku „Baszta", powstańca warszawskiego, autora wielotomowej monografii o walkach powstańczych na Mokotowie. To on zaprojektował monument i to m.in. on był inicjatorem uporządkowania kopca. W 2004 r. kopiec otrzymał swoją obecną nazwę. Wybudowano również schody wiodące na jego szczyt nazwane al. Godziny „W".

Kilkakrotnie 1 sierpnia miałam okazję być na kopcu, gdzie o godz. 21.00 rozpoczynają się uroczystości rocznicowe, m.in. rozpalany jest ogień, który płonie przez 63 dni. Wyjątkowy moment, bardzo symboliczny, i wyjątkowe miejsce. Tym bardziej cieszy to, że przygotowywany jest konkurs architektoniczny na zagospodarowanie parku pod kopcem. Czekam z niecierpliwością, jakie efekty przyniesie.

Rozumiem, że ten kopiec to jedynie niewielka część gruzów z ich morza, w jakie Niemcy zamienili Warszawę. Co się stało z resztą?



Kościół św. Augustyna przy ul. Nowolipki. Widok od strony południowo-wschodniej (1947 r.)

Fot. Karol Pęcherski; ze zbiorów MPW

Decyzja o odbudowie stolicy zapadła 12 stycznia 1945 r., zanim jeszcze oddziały 1. Armii Wojska Polskiego wkroczyły do lewobrzeżnej Warszawy. Niespełna trzy tygodnie później powołano Biuro Odbudowy Stolicy. Priorytetem jednak było oczyszczenie miasta z min i niewybuchów. Równolegle prowadzono inwentaryzację zniszczeń, odgruzowywanie i ekshumacje. Wtedy też zaczęto zwozić gruz nie tylko tutaj, lecz również na Szczęśliwice i Moczydło. W ten sposób powstały trzy wielkie góry w stolicy – Kopiec Powstania, Górka Szczęśliwicka, na której obecnie jest sztuczny stok narciarski, i górki w wolskim parku Moczydło. Mam wrażenie, że mieszkańcy często nie wiedzą, iż spacerując po tych parkach, spotykają się z historią.

Takich miejsc było jednak więcej. Wystarczy wspomnieć chociażby nieistniejący już dziś Stadion Dziesięciolecia. Do usypania jego korony wraz z wałem użyto gruzów Warszawy. Z kolei Muranów – osiedle w całości zbudowane po wojnie – postawiono na gruzach getta zrównanego z ziemią przez Niemców. Było ich tak dużo, że nie wywożono ich, a jedynie wyrównano. Architekci chcieli stworzyć swego rodzaju cokół, który przypominałby o tragicznej historii tego miejsca. Jadąc al. „Solidarności" z pl. Bankowego w stronę Woli, po prawej stronie zobaczymy kamienice na nasypie. To podwyższenie terenu powstało z gruzów getta, w tym miejscu przebiegała jego granica.



Fot. Andrzej Skwarczyński

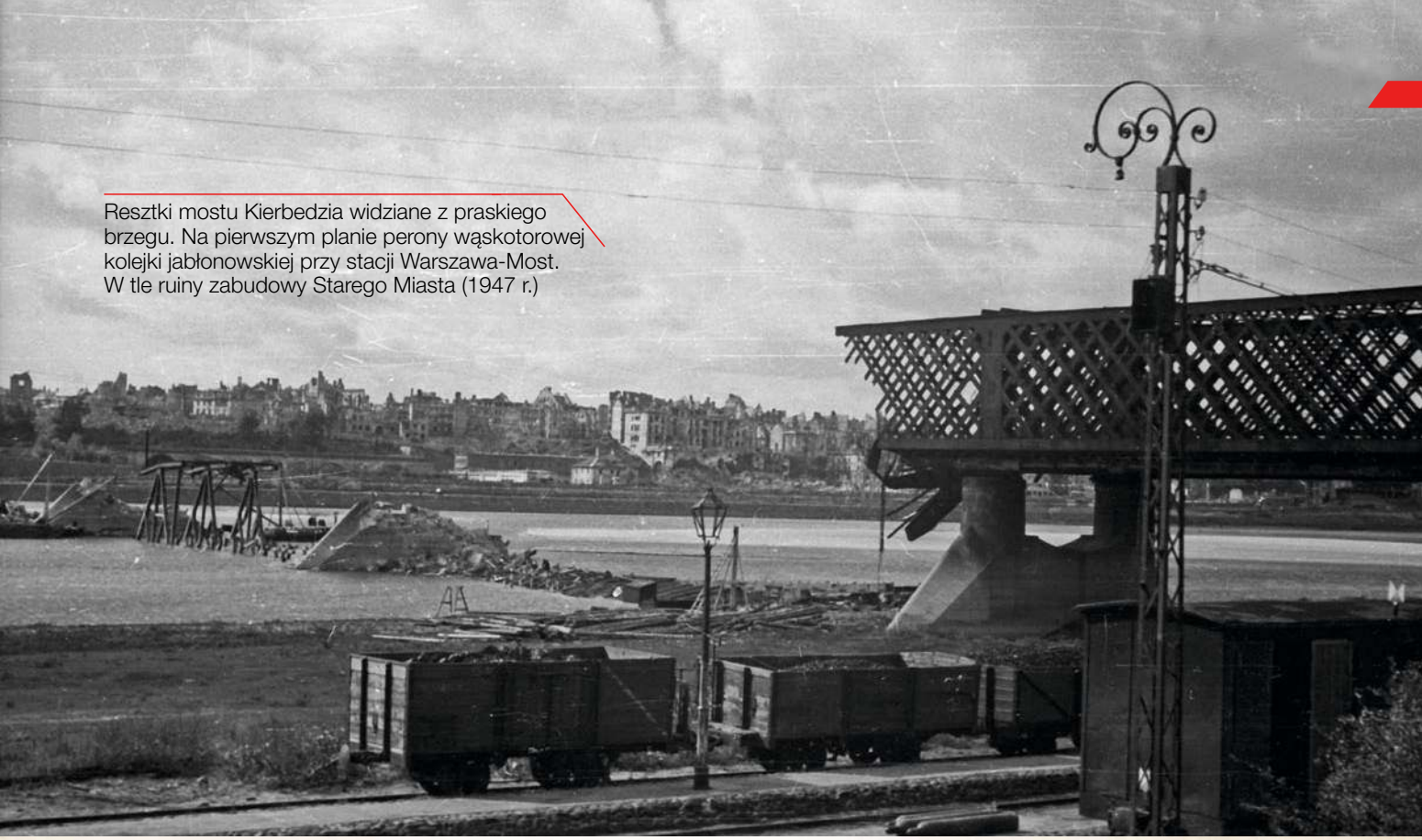
Odbudowa Warszawy była gigantycznym przedsięwzięciem, zadaniem dla tysięcy ludzi na wiele lat. Od czego zaczęto?

W pierwszym rzędzie rozpoczęto prace przy odgruzowywaniu i zabezpieczaniu budynków wzdłuż Marszałkowskiej, Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Światu. Priorytetem stało się również odtworzenie niezbędnej infrastruktury. Już w styczniu 1945 r. w rejonie zwalonego mostu Poniatowskiego wojsko utworzyło prowizoryczną przeprawę. W następnych miesiącach powstawały kolejne.

Z czasem rozpoczął się proceder wyburzania domów nadających się do odbudowy. Skala jego była ogromna. W ciągu zaledwie kilku miesięcy znikła prawie cała zabudowa kilkunastu ulic, m.in. Leszna, Elektoralnej, Grzybowskiej i Chłodnej. Niektóre osoby z Biura Odbudowy Stolicy marzyły o stworzeniu nowej Warszawy. Żeby móc zrealizować ową wizję, trzeba było wyburzyć pozostałości dawnego, tradycyjnego, XIX-wiecznego miasta.

Powstańcze straty Warszawy to nie tylko zburzona zabudowa i rozkradzione mienie, to też tysiące ofiar. W Powstaniu Warszawskim ramię w ramię ginęli cywile i żołnierze. Nie zawsze istniała możliwość ich pochowania, szczególnie tych zasypanych i poległych w kanałach. Podczas odgruzowywania wielokrotnie odnajdowano szczątki ludzkie.

eprasa.pl 047454cd83



Resztki mostu Kierbedzia widziane z praskiego brzegu. Na pierwszym planie perony wąskotorowej kolejki jabłonowskiej przy stacji Warszawa-Most. W tle ruiny zabudowy Starego Miasta (1947 r.)

Fot. Karol Pęcherski; ze zbiorów MPW

Czy były opracowane odpowiednie procedury ekshumacji?

Zanim przystąpiono do przeprowadzania ekshumacji, wczesną wiosną 1945 r. władze miejskie rozpoczęły akcję grzebania ciał odnajdowanych pod gruzami. Zwłoki chowano tymczasowo w wyznaczonych punktach miasta, m.in. w ogrodzie Instytutu Głuchoniemych na pl. Trzech Krzyży, w ogrodzie Krasińskich, w parku Dreszera, na pl. Wilsona i pl. Starynkiewicza. Potem dopiero przenoszono je na cmentarze do specjalnie przygotowanych kwater. Część rozpoznanych ciał pochowali bliscy w rodzinnych grobowcach.

Następnie przystąpiono do akcji ekshumacyjnej. Żeby jednak można było ją sprawnie przeprowadzić, trzeba było ustalić, gdzie znajdują się groby poległych i pomordowanych. Całą lewobrzeżną Warszawę podzielono więc na sektory, po których chodziły specjalne ekipy Polskiego Czerwonego Krzyża i rejestrowały groby, a także niepogrzebane jeszcze zwłoki warszawiaków. Starano się za wszelką cenę ustalić personalia ekshumowanych osób. W tym celu spisywano wszelkie dane z krzyży ustawionych na grobach jeszcze w czasie trwania powstania, wypytywano okoliczną ludność, szukano dokumentów, które mogły się zachować przy zwłokach. Nie zawsze jednak identyfikacja była możliwa. Dotyczyło to zwłaszcza masowych ekshumacji przeprowadzanych chociażby na Woli, gdzie Niemcy dla zatarcia śladów palili ciała pomordowanych. Szczątki warszawiaków były grzebane najczęściej na cywilnych i wojskowych Powązkach bądź na nowo powstałym Cmentarzu Powstańców Warszawy przy ul. Wolskiej. W ekshumacjach, obok rodzin, pracowników PCK i specjalnie utworzonego Komitetu, późniejszego Referatu Ekshumacyjnego, uczestniczyło wielu byłych żołnierzy AK, którzy w ten sposób pragnęli wypełnić swój ostatni obowiązek wobec poległych kolegów i koleżanek.

> W Warszawie zniszczono wszystkie mosty i dworce, 90 proc. zabytków, 80 proc. szpitali, 75 proc. szkół i zakładów przemysłowych. W gruzach legło 80 proc. budynków. Żadne inne miasto europejskie nie zostało w czasie wojny zniszczone w takim stopniu

Zachowały się protokoły ekshumacyjne, które stanowią cenny materiał informacyjny o losach tysięcy mieszkańców Warszawy. Ten pokaźny zbiór, na który składa się kilkadziesiąt teczek, opatrzonych inicjałami protokolantów, jest przechowywany w Archiwum Biura Informacji i Poszukiwań PCK. Lektura dokumentów pozostawia wstrząsające wrażenie. Mówią one znacznie więcej o tym, co się wydarzyło w Warszawie w sierpniu i we wrześniu 1944 r., niż jakiekolwiek inne materiały.

Część ekspozycji Muzeum Powstania Warszawskiego poświęcona jest właśnie ekshumacjom.

eprasa.pl 047454cd83



W stylizowanym namiocie na antresoli zwiedzający mają możliwość zapoznania się z dokumentami z ekshumacji. Niejednokrotnie osoby są oznaczone jedynie inicjałami NN. Zdarzały się jednak przypadki ich identyfikacji, dzięki opisom ich dobytku czy ran w dalszej części protokołów.

Jaki procent zabudowy Warszawy uległ zniszczeniu?

Mówiąc o zniszczeniach Warszawy, należy pamiętać, że jej zagłada dokonywała się etapami. W trakcie kilkutygodniowego oblężenia miasta we wrześniu 1939 r. w gruzach legło 10 proc. zabudowy. Od chwili, gdy w czerwcu 1941 r. wojska niemieckie zaatakowały Związek Sowiecki, okupowana przez Niemców stolica Polski padała ofiarą sowieckich nalotów. Choć celem były elementy infrastruktury miejskiej, to bomby spadały również na dzielnice mieszkaniowe, niszcząc i uszkadzając kamienice. Po stłumieniu przez Niemców powstania w getcie i jego likwidacji wiosną 1943 r. zniszczeniu uległo kolejne 15 proc. zabudowy. Fragment miasta pomiędzy ulicami Okopową, Leszno, Nalewkami (obecnie Bohaterów Getta) a Stawkami przypominał ceglaną pustynię.

I wreszcie nadchodzi Powstanie Warszawskie. Na wieść o wybuchu walk Hitler i Himmler wydali rozkaz zabicia wszystkich mieszkańców oraz zrównania miasta z ziemią. Unicestwiona Warszawa miała być przestrogą dla innych miast europejskich, które odważą się wystąpić przeciwko III Rzeszy. Rozkaz ten był skrupulatnie realizowany od pierwszych dni powstania. W trakcie dwóch miesięcy walk, nieustannych bombardowań i ostrzału artyleryjskiego zniszczeniu uległo ok. 25 proc. substancji miasta.

Po upadku powstania dokonał się ostatni akt zagłady. Po wypędzeniu praktycznie całej ludności Warszawy specjalne oddziały przystąpiły do grabieży tego, co jeszcze pozostało, a potem palenia i wysadzania kolejnych budynków, tak aby zgodnie z rozkazami Hitlera i Himmlera przekształcić ruiny Warszawy w twierdzę frontową – Festung Warschau. Akcja ta była prowadzona do 16 stycznia 1945 r. Zlikwidowane zostało wówczas 30 proc. zabudowy miasta, czyli więcej, niż uległo zniszczeniu w trakcie dwóch miesięcy walk.

W sumie więc straty lewobrzeżnej Warszawy sięgnęły ok. 80 proc. zabudowy. To wszystko są jednak suche liczby, przybliżone dane. Nie jesteśmy w stanie w pełni sobie tego wyobrazić. Dopiero obejrzenie trójwymiarowego filmu „Miasto ruin", zrealizowanego i wyświetlanego w Muzeum Powstania Warszawskiego na podstawie archiwalnych zdjęć lotniczych, daje pewne wyobrażenie zbrodni, jaka się dokonała na stolicy Polski. Warszawa widziana wiosną 1945 r. z lotu ptaka poraża ogromem zniszczeń.

Które dzielnice ucierpiały najbardziej?

Stare i Nowe Miasto oraz teren byłego getta. Staromiejska dzielnica została zmieciona przez Niemców z powierzchni ziemi. W 1945 r. tylko jeden budynek położony przy ul. Długiej nadawał się do zamieszkania. Wstrząsający widok przedstawiał również Muranów, teren dawnego getta – gruzy ciągnące się po horyzont. Ucierpiały również Wola, Powiśle, Czerniaków i Śródmieście Północne. Stosunkowo najlepiej zachowały się fragmenty południowego Śródmieścia, Mokotowa, Żoliborza, Ochoty i Pragi. W przypadku tej ostatniej dzielnicy

eprasa.pl 047454cd83

większość zniszczeń powstała podczas walk o wyzwolenie prawobrzeżnej Warszawy w połowie września 1944 r.

Jakie ważne budowle dla tożsamości narodu zostały zniszczone?

Proces niszczenia Warszawy nabrał rozpędu po upadku powstania i wypędzeniu z miasta jego mieszkańców. Wówczas też zniszczono większość zabytkowych budowli i obiektów o ogromnym znaczeniu dla tożsamości narodowej. Warto jednak zaznaczyć, że np. ruiny zbombardowanego w 1939 r. Zamku Królewskiego Niemcy wysadzili dopiero we wrześniu 1944 r., kiedy jeszcze trwało powstanie. Kilka dni wcześniej zniszczyli kolumnę Zygmunta.

W październiku 1944 r. Niemcy spalili m.in. gmach Biblioteki Krasińskich przy ul. Okólnik, gdzie przechowywano zbiory rękopisów i starodruków prawie wszystkich bibliotek warszawskich. Pod koniec października i na początku listopada spalono Archiwum Miejskie i Archiwum Akt Nowych. W grudniu natomiast wysadzono w powietrze pałac Brühla przy ul. Wierzbowej i pałac Saski, z którego ocalał jedynie Grób Nieznanego Żołnierza. Jeszcze w styczniu 1945 r. spalono Bibliotekę Publiczną m.st. Warszawy przy ul. Koszykowej. Zburzeniu uległa również większość warszawskich świątyń, w tym archikatedra św. Jana.

Ocalał, i to nienaruszony, antyczny amfiteatr w Łazienkach Królewskich. Zbudowany w 1790 r. od początku miał postać starożytnych ruin. Niemcy myśleli, że już go zniszczyli, więc nie tracili na jego wyburzenie czasu ani środków.

Co zatem przetrwało i dlaczego?

Przetrwały te budowle, w których Niemcy kwaterowali lub mieli swoje magazyny. Niektórych z nich zwyczajnie nie zdążyli wysadzić, choć mieli taki zamiar. Przetrwała np. znaczna część gmachów użyteczności publicznej, choć były już przygotowane do wysadzenia, m.in. pałac pod Blachą, Muzeum Narodowe czy Belweder. W przypadku pałacu na Wyspie spalono go, nawiercono otwory, ale nie wysadzono.

Na mnie porażające wrażenie robi fotografia przedstawiająca morze ruin, a wśród nich ocalały kościół św. Augustyna przy ul. Nowolipki. W czasie okupacji świątynia znalazła się w granicach getta. Niemcy zamienili ją na magazyn mebli zrabowanych z żydowskich mieszkań. Później mieściła się w niej stajnia. Była to jedna z niewielu budowli ocalałych na terenie dawnego getta. W czasie powstania na wieży kościelnej usytuowany był punkt obserwacyjny oraz gniazdo niemieckiego karabinu



Widok ul. Piwnej w stronę pl. Zamkowego. Po prawej widoczne ruiny budynku Piwna 13, a za nimi resztki fasady kościoła św. Marcina (1947 r.)

Fot. Karol Pęchereski; ze zbiorów MPW

eprasa.pl 047454cd83



Figura św. Jana Nepomucena i zburzony kościół św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży. Widok w kierunku północnym (1947 r.)



Ruiny wysadzonego przez Niemców we wrześniu 1944 r. kościoła św. Michała Archanioła i św. Floriana Męczennika przy ul. Floriańskiej. Widok od strony zachodniej (1947 r.)

Fot. Karol Pęcherski; ze zbiorów MPW x2

maszynowego. Po upadku powstania Niemcy jedynie podpalili dach kościoła.

Całkowite wyburzenie ponadmilionowego miasta jest olbrzymim przedsięwzięciem. Jakie środki przeznaczyli Niemcy do rabowania i burzenia stolicy?

Zgodnie z rozkazem reichsführera SS Heinricha Himmlera Warszawa miała zniknąć z powierzchni ziemi i służyć jedynie jako punkt przeładunkowy dla Wehrmachtu. Wcześniej jednak miasto miało zostać oczyszczone z wszelkich dóbr materialnych.

W planowym rabowaniu i grabieniu Warszawy uczestniczyły trzy piony: wojskowy, cywilny oraz SS i policji. Ogólne kierownictwo spoczywało w rękach brigadeführera SS Paula Ottona Geibla, dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski. Istniała swoista specjalizacja, co poszczególne piony mają rabować. I tak np. Wehrmacht demontował i wywoził wyposażenia fabryk, urządzenia gospodarcze, maszyny, surowce, żywność, tekstylia, kable, przewody elektryczne i inne. SS rabowało tekstylia, futra, dywany, pieniądze i wszelkie kosztowności. Pojawił się nawet spór między gubernatorem dystryktu warszawskiego Ludwigiem Fischerem a namiestnikiem Kraju Warty Arturem Greiserem, który z nich ma zabrać meble z Warszawy.

Jeden z badaczy Marian Chlewski wyliczył, że Niemcy wywieźli z Warszawy 45 tys. wagonów zrabowanych dóbr.

Do oczyszczonych rejonów miasta ze wszystkiego, co posiadało jakąkolwiek wartość materialną, wkraczali podpalacze z Brandkommando. Działano zgodnie z wcześniej przygotowanym planem, podpalając dom po domu, kwartał po kwartale. W ślad za Brandkommando szło Sprengkommando wysadzające w powietrze wybrane obiekty. Oprócz budowli zabytkowych i domów mieszkalnych niszczono także zakłady przemysłowe i urządzenia miejskie, sieć tramwajową, elektryczną i telefoniczną. Akcję wspierały specjalne jednostki Technische Nothilfe, czyli saperskie oddziały policji.

Co w tym czasie robiła Armia Czerwona?

Po opanowaniu w połowie września 1944 r. prawobrzeżnej Warszawy wojska sowieckie całkowicie zaniechały działań zaczepnych. Organizowali jedynie wypady zwiadowcze na drugą stronę Wisły. Ofensywa sowiecka ruszyła dopiero 12 stycznia 1945 r. Kilka dni później oddziały 1. Armii Wojska Polskiego wkroczyły do niemal doszczętnie zrujnowanej i pozbawionej mieszkańców lewobrzeżnej Warszawy.

Jak wyglądała stolica w styczniu 1945 r.?

Po upadku powstania i kilku miesiącach dokładnie zaplanowanego przez Niemców rabowania i niszczenia to wielkie miasto, stolica dużego państwa europejskiego, właściwie nie istniało. 17 stycznia 1945 r. do Warszawy wkroczyły oddziały 1. Armii WP. Walki o opanowanie miasta trwały zaledwie kilka godzin. Dowództwo niemieckie bowiem, obawiając się okrążenia, wycofało większość swoich sił ze stolicy. Dwa dni później w Al. Jerozolimskich, które specjalnie na tę okazję uprzątnięto z gruzu, defilowały

eprasa.pl 047454cd83

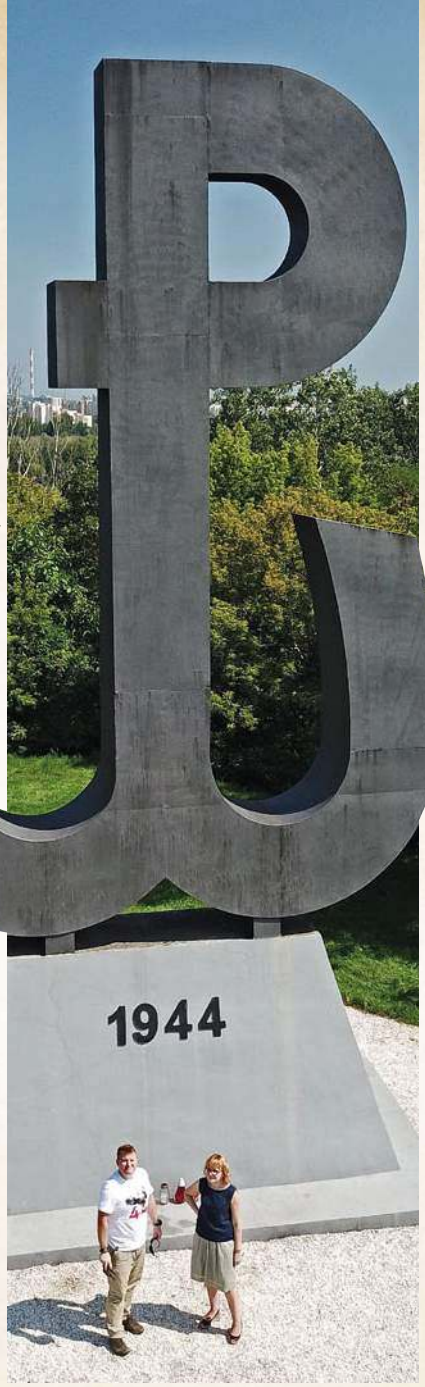
oddziały 1. Armii WP. Nie było jednak komu witać maszerujących żołnierzy. Warszawę, która w 1939 r. liczyła 1,3 mln mieszkańców, w styczniu 1945 r. zamieszkiwało zaledwie 22 tys. osób na odległych peryferiach jej lewobrzeżnej strony. W centralnej części miasta, całkowicie wyludnionej, ukrywało się od kilkuset do 2 tys. tzw. warszawskich robinsonów. Znaczna ich część nie przetrwała do nadejścia pomocy. Dużo lepiej sytuacja wyglądała na Pradze, która już od kilku miesięcy powracała do w miarę normalnego życia. W styczniu 1945 r. zamieszkiwało ją ok. 140 tys. osób.

Powracający mieszkańcy wśród gruzów na nowo organizowali sobie życie. W marcu 1945 r. Warszawa liczyła już 318 tys. mieszkańców, a dwa miesiące później 366 tys. Nie wszyscy warszawiacy powrócili jednak do swojego miasta, rozpraszając się po całym kraju i świecie.

Gdyby przeliczyć te zniszczenia na pieniądze, o jakich kwotach byśmy rozmawiali?

Są to kwoty niewyobrażalne. Pamiętajmy, że zniszczono wszystkie mosty i dworce, 90 proc. zabytków, 80 proc. szpitali, 75 proc. szkół i zakładów przemysłowych. W gruzach legło 80 proc. budynków. Żadne inne miasto europejskie nie zostało w czasie wojny zniszczone w takim stopniu.

W 2004 r., z inicjatywy twórcy Muzeum Powstania Warszawskiego i prezydenta stolicy Lecha Kaczyńskiego, powstał „Raport o stratach wojennych Warszawy", który oszacował całość strat materialnych poniesionych przez miasto i jego mieszkańców na ponad 54 mld dolarów. Nie wszystko jednak da się policzyć. Jak wycenić ubytki w zbiorach muzealnych i archiwalnych czy prywatnych kolekcjach gromadzonych od pokoleń? Bezpowrotnie utraciliśmy wiele obiektów ważnych dla naszej tożsamości narodowej. Nie da się ustalić ich wartości materialnej.



Jaka byłaby dzisiejsza Warszawa, gdyby nie II wojna?

Bez wątpienia wyglądałaby inaczej, zwłaszcza jej centrum z pięknymi wielkomiejskimi kamienicami. Przedwojenna Warszawa była wielkim centrum przemysłowym, a jednocześnie miastem pięknym i różnorodnym. Oczywiście trafiały się rejony i dzielnice zaniedbane, gdzie nie było ani pięknie, ani wielkomiejsko. Rosły jednak nowe osiedla mieszkaniowe, jak te na Ochocie czy Żoliborzu. Planowano budowę metra i organizację wystawy światowej w 1944 r. Wybuch wojny brutalnie przerwał te plany. A potem miasto było stopniowo i systematycznie niszczone. Część z tego, co ocalało, rozebrano po wojnie.

Jednak miasto to przede wszystkim ludzie, którzy je kształtowali i tworzyli. Warszawa utraciła 700 tys. swoich mieszkańców. To niewyobrażalna strata.

Dzisiejsza Warszawa jest dynamicznie rozwijającą się metropolią. O jej tragicznej historii przypominają tablice i pomniki. Gdzieniegdzie jeszcze można zobaczyć ostrzelane fasady budynków, które znikają jednak z pejzażu stolicy.

Żeby zrozumieć to miasto, nauczyć się je czytać, polubić, może pokochać, trzeba poznać jego historię, często burzliwą i dramatyczną, ale dumną. Warszawa to miasto nieujarzmione. Miasto, które oparło się próbie starcia z powierzchni ziemi, odradzając się niczym Feniks z popiołów.

Wznowienie najważniejszej monografii

61 lat temu ukazało się pierwsze wydanie książki Adama Borkiewicza „Powstanie Warszawskie 1944. Zarys działań natury wojskowej". Jest to dzieło przełomowe, nad którym autor, oficer KG Armii Krajowej, zaczął pracować już w trakcie powstania, po wojnie zaś kontynuował badania, wykorzystując liczne dokumenty i relacje. Dzieło płk. Borkiewicza, przez niemal pół wieku niewznawiane, wciąż pozostaje najpełniejszym opisem zbrojnych zmagań powstańców z Niemcami i oddziałami kolaboracyjnymi. Dlatego Muzeum Powstania Warszawskiego podjęło wysiłek opracowania nowego wydania – edycji uzupełnionej o współczesną wiedzę historyczną. Tego zadania podjęła się Katarzyna Utracka przy współpracy Marka Stroka.



eprasa.pl 047454cd83

Bohaterowie naszej przyszłości

W tym roku Fundacja PGE, we współpracy z Fundacją Cultura Memoriae, przygotowała specjalnie z myślą o Powstańcach Warszawskich projekt „Bohaterowie naszej przyszłości", który umożliwi wypłatę świadczeń dla Powstańców. Beneficjenci będą mogli przeznaczyć je na leki, koszty opieki medycznej, opłaty za media lub na inne potrzeby

Jesteśmy największą firmą energetyczną w kraju i jednym z liderów polskiej gospodarki, dlatego niezwykle ważne jest dla nas prowadzenie biznesu w sposób odpowiedzialny, w tym wspieranie projektów, których celem jest pielęgnowanie pamięci o przeszłości. Zaangażowanie PGE w projekty dedykowane Powstańcom jest przejawem troski o tych, którzy w najtrudniejszym dla Polski okresie byli gotowi poświęcić dla niej wszystko. To nasz obowiązek, ale i ogromny zaszczyt, wpierać ludzi, którzy zapisali tak piękne karty polskiej historii. Obchodząc 100-lecie niepodległości Polski, musimy pamiętać, że to ich bohaterstwo jest fundamentem polskiej suwerenności – mówi Henryk Baranowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

Obecnie zakończył się proces przyjmowania wniosków i wkrótce kilkuset Powstańców otrzyma jednorazowe świadczenia w wysokości 850 zł. Beneficjentem programu „Bohaterowie naszej przyszłości" mogły zostać osoby, które brały udział w walkach powstańczych w Warszawie w okresie od 1 sierpnia 1944 do 2 października 1944 r., czyli zarówno czynni uczestnicy walk, jak i osoby wspierające walczących, członkowie ruchu oporu działający w ramach struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Tym samym każda z osób zgłaszających się do udziału w programie musiała posiadać uprawnienia kombatanckie z tytułu udziału w Powstaniu Warszawskim, przyznane decyzją Szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

– Projekt stanowi kontynuację współpracy i opieki nad grupą kombatantów, zasłużonych dla ojczyzny, w tym osób pozostających często w bardzo trudnej sytuacji materialnej, samotnych, zapomnianych przez środowisko, pozbawionych właściwej opieki i pozostających na marginesie życia społecznego. To ostatnia szansa, aby wspomóc przywracanie pamięci o nich i zrekompensować im lata zapomnienia. Pomoc kombatantom, szczególnie żołnierzom i sanitariuszkom walczącym w Powstaniu Warszawskim, jest nie tylko istotna, lecz powinna być naturalną potrzebą w ramach wdzięczności i szacunku dla czynów przez nich dokonanych – mówi Hanna Nowakowska, prezes Fundacji Cultura Memoriae.

Program realizowany jest przez Fundację PGE, która przekazała 100 proc. środków na sfinansowanie świadczeń, we współpracy z Fundacją Cultura Memoriae będącą operatorem programu oraz z Urzędem ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, Związkiem Powstańców Warszawy i Światowym Związkiem Żołnierzy AK Okręg Warszawa.



Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

– Weteranom walk o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej jesteśmy winni szczególną troskę i pamięć, a naszą misją jest stała opieka nad bohaterami naszej wolności. Aby jednak pomoc dla Powstańców Warszawskich była jak największa, potrzebne są inicjatywy społeczne takie jak program „Bohaterowie naszej przyszłości". Dzięki tak pożytecznym przedsięwzięciom możemy okazać wdzięczność osobom, które nie szczędziły sił ani zdrowia, by walczyć o wolność dla Polski – mówi Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

„Bohaterowie naszej przyszłości" to kolejny projekt finansowany przez

eprasa.pl 047454cd83



PGE jest Partnerem Muzeum Powstania Warszawskiego

Fundację PGE wspierany organizacyjnie przez Fundację Cultura Memoriae. W latach 2016–2017, w dwóch edycjach akcji „Paczka dla kombatanta", staraniem obu fundacji do środowiska kombatantów trafiło w sumie tysiąc paczek świątecznych.

PGE jest także Partnerem Muzeum Powstania Warszawskiego, organizatora obchodów 74. rocznicy Powstania Warszawskiego. W programie uroczystości znalazły się m.in. koncert i wspólne śpiewanie piosenek powstańczych „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki", akcja społeczna „Wolność łączy", Marsz Pamięci, „Masa Powstańcza 2018", czyli przejazd rowerowy ulicami Warszawy, oraz spotkanie edukacyjne dla dzieci w parku Wolności przy Muzeum Powstania Warszawskiego pt. „Powstańcy z całego świata".

W latach ubiegłych Grupa włączała się również aktywnie w projekty edukacyjne prowadzone przez Muzeum Powstania Warszawskiego, była także sponsorem wydanego przez tę instytucję komiksu „Bradl" opowiadającego o asie polskiego wywiadu i kontrwywiadu AK.

Fundacja PGE od kilku lat aktywnie wspiera organizację Międzynarodowego Turnieju o Puchar Pamięci Małego Powstańca. W organizowanych w ramach projektu wydarzeniach sportowych i zajęciach historyczno-edukacyjnych biorą udział dzieci z całej Europy.

PGE jest również sponsorem filmu „Miasto 44" – zrealizowanej z niezwykłym rozmachem uniwersalnej opowieści o odwadze, poświęceniu i uczuciach towarzyszących młodym Powstańcom podczas 63 dni walk w stolicy, oraz filmu „Fajna Ferajna" opowiadającego o powstańczym zrywie widzianym oczami jego najmłodszych uczestników, a także mecenasem najnowszej produkcji Władysława Pasikowskiego, czyli filmu „Kurier" – sensacyjnej historii szpiegowskiej inspirowanej sekretną misją Jana Nowaka Jeziorańskiego, której koproducentem jest Muzeum Powstania Warszawskiego.

eprasa.pl 047454cd83

Powstanie opisane i nieopisane

Nie zapowiada się, aby w najbliższych latach ukazała się drukiem nowa synteza Powstania Warszawskiego. Dlaczego jest tak potrzebna? Bo zamiast poważnej pracy naukowej na rynku pojawia się coraz więcej książek historycznych harcowników, dla których sensacyjne tezy są ważniejsze niż żmudne badanie przeszłości



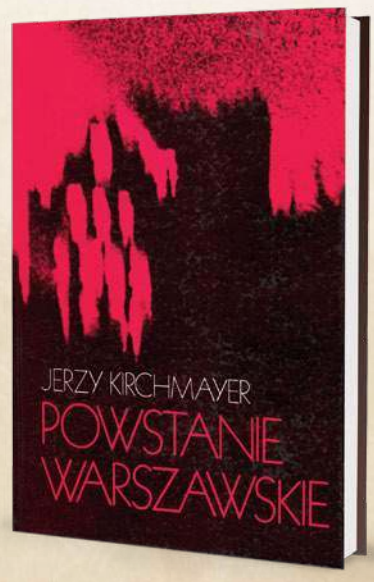
MARIUSZ OLCZAK

1 sierpnia będziemy świadkami uroczystych obchodów kolejnej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Znów przez internet, periodyki, rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne przewinie się intensywna, kilkudniowa dyskusja, czy Powstanie Warszawskie miało sens, czy też nie. Po paru dniach temat, jak co roku, przestanie budzić większe zainteresowanie.

O ile świętowanie i popularyzowanie wydarzeń z sierpnia 1944 r. wychodzi nam w Polsce bardzo dobrze, o tyle od wielu lat stoimy de facto w miejscu w syntetycznym, naukowym opisie Powstania Warszawskiego, które mogłoby się stać punktem odniesienia dla współcześnie dyskutujących. Przez ostatnich kilkadziesiąt lat nie powstała bowiem duża synteza przygotowana przez instytut naukowy lub napisana przez naukowca z dorobkiem zajmującego się Armią Krajową i II wojną światową. Z drugiej strony możemy powiedzieć, że przez te prawie 30 lat suwerennej Polski zgromadziliśmy wiele nowych źródeł, uzyskaliśmy dostęp do wcześniej niedostępnych, a i zagraniczne archiwa, kluczowe w opisie licznych kwestii, stały się prawdziwą skarbnicą nowych informacji.

TRUDNE WYZWANIE

W samym Archiwum Akt Nowych zgromadziliśmy ponad 70 tys. oryginalnych dokumentów z powstania, podobna ilość jest przechowywana w Wojskowym Biurze Historycznym im. K. Sosnkowskiego. Brak jest jednak chętnych do podjęcia się tego niezwykle trudnego, wieloletniego, iście benedyktyńskiego wyzwania. I dzieje się to na oczach odchodzących już ostatnich uczestników tych walk. Jest to szczególnie trudne do przyjęcia, bo to właśnie powstańcy nie tylko walczyli w 1944 r., lecz również później, po wojnie, je opisywali. Zdecydowana większość książek o PW – i to zarówno tych syntetycznych, jak i tych monograficznych dotyczących poszczególnych oddziałów – wyszła spod ręki samych żołnierzy AK.

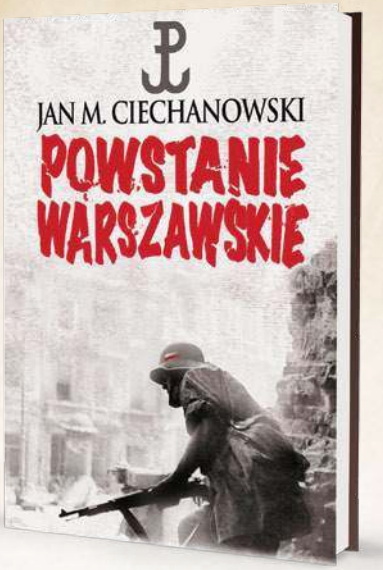


NAJWAŻNIEJSZE POZYCJE

Prace nad historycznym opisem PW rozpoczęły się de facto już w czasie jego trwania. Zintensyfikowano je po kapitulacji i prowadzono zarówno w kraju, jak i za granicą z różnym natężeniem przez kolejne lata. Główne syntezy opublikowane w okresie PRL to dzieła oficerów i żołnierzy AK. Autor chyba najlepszej z nich to oficer KG AK płk Adam Borkiewicz (1896–1958). „Powstanie Warszawskie. Zarys działań natury wojskowej" wydano najpierw w 1957 r., a następnie wznawiano w 1964 i 1969 r. Opublikowaną właśnie przez Muzeum Powstania Warszawskiego nową edycję tej monografii (w opracowaniu K. Utrackiej i M. Stroka) można z jednej strony przyjąć z zadowoleniem, jednak z drugiej jest to najlepszy dowód na pewnego rodzaju kapitulację historyków w sprawie napisania nowej syntezy PW. Z braku świeżej pracy trzeba sięgać po stary sprawdzony tytuł.

Przez wiele lat kolejną podstawową publikacją była na pewno wydana kilkakrotnie książka innego oficera KG AK płk. Jerzego Kirchmayera (1895–1959) pt. „Powstanie Warszawskie". Z kolei opublikowanie w 1984 r. w Polsce napisanej i wydanej w 1971 r. na emigracji książki Jana Ciechanowskiego ps. Jastrząb (1930–2016) „Powstanie Warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego", abstrahując od stawianych w niej tez, zaspokoiło zapotrzebowanie pokolenia „Solidarności"

eprasa.pl 047454cd83



na książkę o powstańczych walkach. Jej kolejne poszerzone znacznie wydanie z roku 2014 sporo się różni w porównaniu z tym z 1971 r. Na pewno nie można tu pominąć dwutomowej książki Antoniego Przygońskiego, dotyczącej walk w sierpniu 1944 r., bogatej źródłowo, jednak skażonej silnie PRL-owską propagandą i prezentacją przedstawionej na wyrost roli Armii Ludowej w powstaniu. A wydane w ostatnich latach dobre książki Normana Daviesa i Aleksandry Richie spełniły popularyzującą rolę w dziele uświadamiania angielskojęzycznych czytelników o PW i polskiej historii, jednak trudno nazwać je na polskim gruncie nowatorskimi syntezami.

Na gruncie monograficznych opisów walk poszczególnych powstańczych oddziałów z pewnością jednym z pierwszych było wydanie drukiem w 1957 r. „Pamiętników żołnierzy Baonu Zośka", co było możliwe tylko dzięki uporowi zośkowców, ale przede wszystkim odwilży i żołnierskim kontaktom z powstania, które pozwoliły na szczytach PRL-owskiej władzy uzyskać zielone światło na tę edycję. Na okładce I wydania zabrakło jednak słów „Armia Krajowa", znaku Polski Walczącej oraz innych mogących drażnić komunistyczną władzę symboli. Podobnie na pierwszym wydaniu „Zośki i Parasola" Aleksandra Kamińskiego okładka przedstawiała „coś", co na pewno nie kojarzyło się z AK. Sam podtytuł „Opowieść o niektórych ludziach i niektórych akcjach dwóch batalionów harcerskich" brzmiał dość dziwnie. W tym kontekście obecność znaku Polski Walczącej na kolejnych okładkach „Kamieni na szaniec" z lat 1946, 1956, 1957, 1958, 1968, 1972 i pozostałych można wytłumaczyć jedynie literackim charakterem tej publikacji.

PISZĄ POWSTAŃCY

Zwróćmy uwagę, że autorzy monografii poszczególnych oddziałów to, jak już sygnalizowałem, przede wszystkim właśnie powstańcy. Wiele przedsięwzięć wydawniczych podejmowanych było de facto społecznie, najczęściej z inicjatywy właśnie środowisk akowskich. Dr Piotr Stachiewicz ps. Wyrwa, autor jednej z najlepszych oddziałowych monografii, a dotyczącej „Parasola", to młody żołnierz oddziału, który zdobył na KUL tytuł doktora właśnie za tę pracę. Dr Anna Borkiewicz-Celińska, autorka „Zośki", to jej łączniczka, ale także historyk z IH PAN i córka wspomnianego powyżej płk. Adama Borkiewicza. Romuald Śreniawa-Szypiowski, autor i dokumentalista pozycji „Czaty 49", to młody żołnierz tego oddziału i wieloletni pracownik Archiwum Miasta Stołecznego Warszawy. Lech Niżyński ps. Niemy, autor „Miotły" (wyd. 1992 r.), to dowódca plutonu „Niedźwiedzi" w tymże batalionie. Andrzej Zawadzki ps. Andrzejewski zebrał zaś i opracował materiał do historii swojego batalionu „Pięść". Żołnierz Kompanii Ochrony Sztabu Obszaru „Koszta" dr Jan Gozdawa-Gołębiowski ps. Dziryt, podobnie jak Stachiewicz, obronił na KUL doktorat, tylko tematem jego rozprawy, a później książki z 1992 r. był „Obszar Warszawski Armii Krajowej". Wspierał go do swojej śmierci w 1971 r. w gromadzeniu źródeł i w badaniach sam komendant Obszaru Warszawskiego Albin Skroczyński ps. Łaszcz. Batalion „Kiliński" opisał z kolei adiutant jego dowódcy Bronisław Lubicz-Nycz i do dzisiaj pozostaje to jedyna książka o tym oddziale. Podobnie jest w przypadku Zgrupowania „Gozdawa" opisanego przez jego żołnierza Zbigniewa Wróblewskiego ps. Karol Uszatek. Do tej listy możemy dodać jeszcze Stanisława Podlewskiego ps. Skoczek, Tadeusza Okolskiego ps. Dzik, Jana Lissowskiego ps. Robak, Lucjana Fajera ps. Ognisty, Stanisława Komornickiego ps. Nałęcz, Janusza Zawodnego ps. Miś, Eugeniusza Ajewskiego ps. Kotwa, Andrzeja Rumianka ps. Tygrys, Lesława M. Bartelskiego ps. Saski, Juliusza Kuleszę ps. Julek, Benedykta Ziółkowskiego ps. Rajski, Eligiusza Brulińskiego ps. Zarzycki, Sławomira Fojcika ps. Hel, Zdzisława Zaborskiego ps. Błyskawica, Zygmunta Głuszka ps. Victor, Władysława Bartoszewskiego ps. Teofil oraz wielu, wielu innych tworzących większe lub mniejsze książki lub artykuły o swoich oddziałach w powstaniu. Podobnie było zresztą w przypadku opisu innych okręgów AK. Wystarczy wymienić Stanisława Dąbrowę-Kostkę czy Jerzego Węgierskiego. Nie liczę tu rzecz jasna tych tworzących gigantyczny dorobek edytorski autorów setek wydanych drukiem wspomnień i pamiętników.

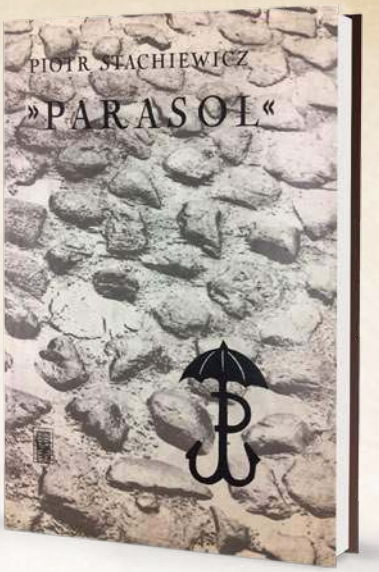
PRACE HISTORYKÓW, DOKUMENTY, ALBUMY

Nie jest jednak tak, że to tylko powstańcy pisali o PW. Na pewno warto w tym miejscu przywołać prace historyków i badaczy: prof. Macieja Kledzika o „Gurcie", „Bartkiewiczu" i innych, dr. hab. Jacka Sawickiego o „Obroży", dr. Roberta Bieleckiego o „Wigrach" oraz „Gustawie", dr. Sebastiana Bojemskiego o NSZ, dr Katarzyny Utrackiej o „Chrobrym II", Marka Stroka o Batalionie „Iwo" czy monografię Obwodu Żoliborz pióra dr. Grzegorza Jasińskiego.



Ważnymi momentami w opisie historii powstania było ukazanie się w 1974 r. wielotomowego wydawnictwa „Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim", a w latach 90. wydanie dokumentów PW przez wydawnictwo Ajaks. Ukazało się sześć tomów tej ważnej edycji źródłowej z dokumentami do dnia 24 sierpnia 1944 r. Dziś jest to podstawowy zbiór dokumentów i wypada mieć nadzieję, że będzie kontynuowany. Z kolei

eprasa.pl 047454cd83



„Wielka Ilustrowana Encyklopedia Powstania Warszawskiego", zainicjowana i wywalczona przez środowiska powstańcze, została opracowana z pomocą sponsorów, jednak bez udziału jakiegokolwiek instytutu badawczego, co zresztą widać szczególnie w tomach 5. i 6.

Warto zaznaczyć, że do dzisiaj nie udało się przygotować w miarę możliwości źródłowych pełnej listy powstańców. I znów pierwsze próby w tej dziedzinie zostały podjęte społecznie przez samych powstańców, którzy wykonali gigantyczną wręcz pracę w poszczególnych środowiskach oddziałów, opracowując listy uczestników PW, które obecnie są przechowywane w AAN. Przygotowywana od kilku lat przez Muzeum Powstania Warszawskiego pochodząca z różnych źródeł lista rośnie z dnia na dzień w imponującym tempie, a zebrany materiał pozwoli za kilka–kilkanaście lat na wydanie kompletnego słownika biograficznego powstańców. Trudno jednak przypuszczać, aby było to możliwe bez wsparcia naukowego większego zespołu badawczego.

Dużym dorobkiem są różnego rodzaju albumy fotograficzne, które pierwsi zaczęli wydawać sami powstańcy. I tutaj nie może zabraknąć nazwisk Stanisława Kopfa ps. Malarz, Sylwestra Brauna ps. Kris i Stefana Bałuka ps. Starba. Duży zasób wiedzy zaprezentowano również w leksykonach i zestawieniach dr. hab. Andrzeja K. Kunerta.

Przez wiele lat ukazywały się na rynku książki, które niejako „udawały" syntezę PW, mając nadany przez wydawcę tytuł wskazujący na taką zawartość, jednak w rzeczywistości będące albo zbiorami referatów i luźnych tekstów (np. W. Bartoszewskiego, „Powstanie Warszawskie", wyd. Świat Książki 2009), albo mające powstanie jako tylko jeden z wielu elementów opisu. Gorzej, że wydawcą niektórych z publikacji powstańczych była oficyna Rytm. Przypomnę tylko postać prowadzącego tę oficynę Mariana Kotarskiego vel Mariana Pękalskiego, etatowego oficera SB, którego prawdziwą tożsamość jako Mariana Pękalskiego odkrył dopiero kilka lat temu w archiwach IPN Włodzimierz Domagalski. To na pewno sprawa bez precedensu i warta pamiętania.

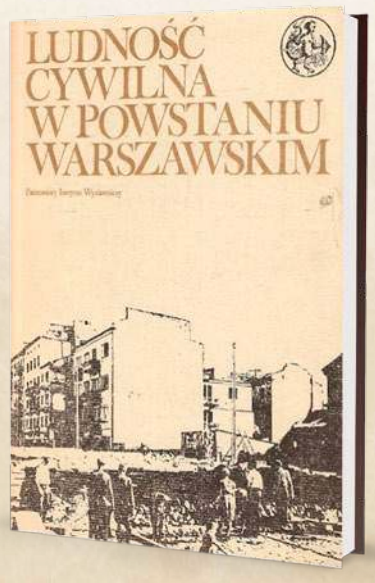
BEZ TROSKI O PRAWDĘ

Właśnie brak naukowej, współczesnej, aktualnej monografii otworzył drzwi wielu popularnonaukowym publikacjom, które w części ogniskują swoją tematykę wokół kontrowersyjnych pytań, stawianych koncepcji, rzucanych luźno myśli, ale również obraźliwych tytułów. Niekiedy interes wydawcy, potrzeba sprzedania jak największej liczby egzemplarzy lub autorska heca stawały się ważniejsze niż podstawowe badania i uszanowanie prawdy. Z pewnością taka monografia mogłaby być i myślę, że stałaby się punktem odniesienia dla historycznych harcowników, może materiałem weryfikującym dla często bezradnych dziennikarzy i popularyzatorów, którzy kwitowali oczywiste tematy przymiotnikiem „kontrowersyjny".

W krytycznym nurcie opisu powstania można wymienić przede wszystkim książki Piotra Zychowicza „Obłęd '44", Tomasza Łubieńskiego „Ani tryumf, ani zgon", a także wydaną w 2016 r. obszerną książkę prof. Andrzeja Sowy z Uniwersytetu Jagiellońskiego pt. „Kto wydał wyrok na miasto. Plany operacyjne ZWZ-AK (1940–1944) i sposoby ich realizacji". Co prawda wydawca zapowiadał na okładce wykorzystanie „niezbadanych dotąd lub lekceważonych" nowych źródeł itd., jednak autor oparł się jedynie na źródłach już drukowanych oraz na obszernej literaturze przedmiotu. Niemniej warto powiedzieć, że o tej pełnej ciekawych myśli i analiz książce nie dyskutowano tak wiele jak o niektórych broszurach i artykułach z szokującymi tytułami. A szkoda, bo na pewno to warta polecenia książka.

W ostatnich latach można też dostrzec nurt edycji książkowych wywodzących się z szerokiego spektrum publikacji internetowych. Niektórzy autorzy i wydawcy aspirujący do przeniesienia swojej wiedzy ze świata wirtualnego do świata realnego – papierowego – publikują zupełnie niesprawdzone, często zaczerpnięte z PRL-owskich propagandowych kalek „fakty", najczęściej chcąc zwrócić uwagę czytelników na temat, który „odkryli", lub powiedzieć, „jak to było naprawdę". Klasyczną egzemplifikacją takiego zjawiska jest wydana przed kilkoma tygodniami książka „Bandyci w Armii Krajowej", której autor Wojciech Lada, mimo popełnienia dużej liczby mniejszych i większych błędów merytorycznych, faktograficznych, interpretacyjnych oraz wycinania i pomijania niewygodnych fragmentów ze źródeł, sili się na faryzejskość w opisie zjawisk występujących w AK również w czasie PW.

Niestety nie zapowiada się, aby w najbliższych latach ukazała się drukiem nowa synteza PW. Nie znam autora, który nad taką aktualnie pracuje, prowadząc kwerendy w archiwach w Polsce i za granicą. Biorąc pod uwagę fakt, że musiałoby to trwać co najmniej kilka lat, wnioski możemy wyciągać raczej smutne. Będziemy w następnych latach zasypywani kolejnymi książkami, artykułami i publikacjami, w których autorzy zachęcani przez wydawców będą stawiać kontrowersyjne tezy, obalać mity, atakować bohaterów, dumać zza biurka z filozoficzną miną nad sensem lub bezsensem walki. Samych zaś badań nie będzie prowadził żaden instytut naukowy, żaden zespół badawczy ani żaden naukowiec z dorobkiem. Mam nadzieję, że się jednak w tej pesymistycznej ocenie pomylę.



Autor jest wicedyrektorem Archiwum Akt Nowych

3/0718/F

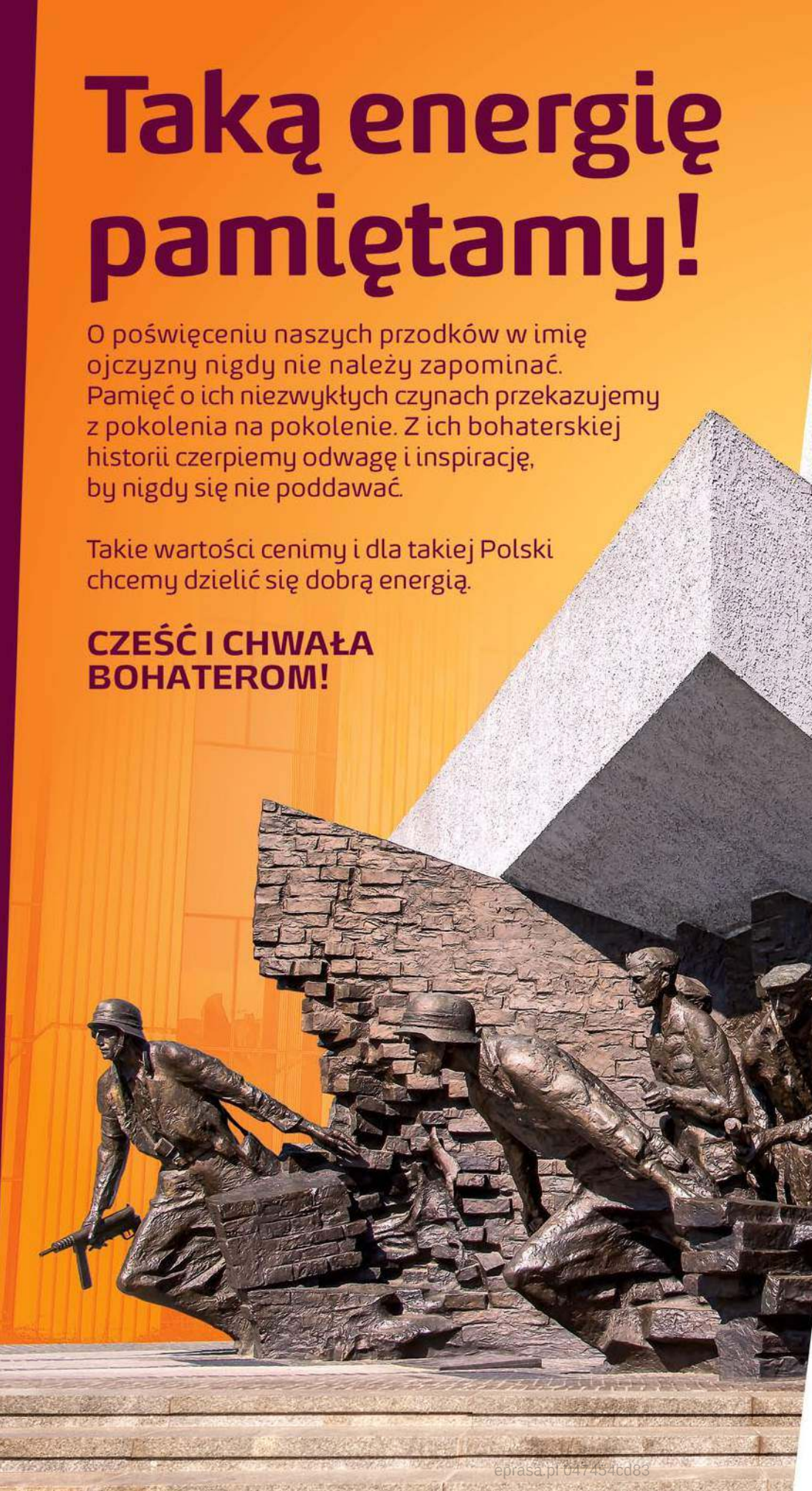
eprasa.pl 047454cd83

Taką energię pamiętamy!

O poświęceniu naszych przodków w imię ojczyzny nigdy nie należy zapominać. Pamięć o ich niezwykłych czynach przekazujemy z pokolenia na pokolenie. Z ich bohaterskiej historii czerpiemy odwagę i inspirację, by nigdy się nie poddawać.

Takie wartości cenimy i dla takiej Polski chcemy dzielić się dobrą energią.

CZEŚĆ I CHWAŁA BOHATEROM!



Energa

www.energa.pl

eprasa.pl/047454cd83

Długa historia polskiej kolei

Polskie koleje mają długą i bogatą tradycję, której początki sięgają XIX w., a kolejarze nieraz odegrali istotną rolę w historii naszego kraju, m.in. podczas II wojny światowej. 74. rocznica Powstania Warszawskiego to okazja, by przypomnieć o bohaterstwie pracowników kolei


Janusz Pacewicz


Leszek Krajewski


Wincenty Szymański


Władysław Wojciechowski


Zdzisław Skwara

Pierwsze linie kolejowe na terytorium współczesnej Polski zbudowano w XIX w., kiedy jeszcze nasz kraj znajdował się pod zaborami. 22 maja 1842 r. uruchomiono pierwszą linię kolejową między Wrocławiem a Oławą, którą z czasem przedłużono do Brzegu, a do końca 1843 r. kolej sięgała aż do Opola. Jednak to rok 1918 przyniósł prawdziwe nowe otwarcie. Gdy Polska odzyskała niepodległość, zarządzanie kolejami przeszło w polskie ręce, dając nowy impuls do dalszych inwestycji. W latach 1919–1939 kolejami zarządzały specjalne ministerstwa, a samo przedsiębiorstwo PKP zostało powołane 24 września 1926 r.

Jedną z pierwszych decyzji nowo powołanego podmiotu było podjęcie się budowy nowych linii i zakup nowoczesnego taboru, w celu stworzenia spójnego systemu komunikacji, łączącego ziemie dawnych trzech zaborów. Już w 1936 r. powstała Pierwsza Fabryka Lokomotyw w Polsce, która z czasem zajęła się produkcją pierwszych pięciu najnowocześniejszych w owym czasie lokomotyw na świecie – legendarnych Lukstorped. Polska kolej to jednak w owym okresie nie tylko infrastruktura, lecz także sukcesy naszej myśli technicznej. W 1937 r. parowóz Pm36 otrzymał złoty medal na Międzynarodowej Wystawie „Sztuka i technika w życiu współczesnym" w Paryżu. Pasmo sukcesów przerwane było przez II wojnę światową, jednak i w czasie tego konfliktu polscy kolejarze ofiarnie służyli ojczyźnie.

W czasie okupacji niemieckiej polscy pracownicy kolei przeprowadzali liczne akcje sabotażowe, które utrudniały III Rzeszy wysiłek wojenny, zapewniali też nielegalne dostawy żywności do miast, przewozili konspiracyjne przesyłki czy ukrywali osoby poszukiwane przez okupantów. Kolejarze czynnie brali też udział w pracy wywiadowczej, mimo że za wszelkie takie działania groziły im surowe konsekwencje, w tym śmierć.

Jednym z takich heroicznych kolejarzy był Leszek Krajewski „Agamemnon". Urodzony w Warszawie, w 1921 r. pracował na Kolei Wschodniej jako kancelista, podczas Powstania Warszawskiego zaś walczył na terenie Śródmieścia, w szeregach batalionu „Harnaś", w kompanii „Grażyna", na stanowisku zastępcy dowódcy plutonu, po czym 18 września przydzielono go do redakcji „Warszawskiego Głosu Narodowego". Innym pracownikiem Kolei Wschodniej, który walczył w powstaniu, był Janusz Pacewicz „Biliński". Służył w AK, przeszedł też cały szlak bojowy 9. Kompanii Dywersyjnej, służąc w 229. plutonie pod dowództwem ppor. Witolda Lisowskiego „Zarewicza". Z kolei Zdzisław Skwara „Zych", który w okresie okupacji pracował w warsztatach kolejowych na Pradze jako brygadzista, walczył podczas powstania na Starym Mieście, a potem, po przejściu kanałami do Śródmieścia Północnego, został żołnierzem batalionu saperów AK.

Warto też wspomnieć o takich postaciach jak Wincenty Szymański „Nik", który przed wojną pracował w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Warszawie i Ministerstwie Komunikacji. Szymański był uczestnikiem obrony stolicy we wrześniu 1939 – służył w komórce kolejarskiej zajmującej się obroną przeciwlotniczą, by potem działać w konspiracji, jako dowódca plutonu. Innym obrońcą Warszawy z 1939 r. powiązanym z koleją, który potem działał w konspiracji, był technik kolejowy Władysław Wojciechowski „Wyrwa". W okresie Powstania Warszawskiego działał w lasach sękocińskich, a po upadku zrywu organizował pomoc wypędzonym warszawiakom osadzonym w obozie przejściowym Dulag 121 w Pruszkowie.

W związku z obchodami 74. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego kolejarze chcą oddać hołd swoim kolegom walczącym w obronie stolicy i całego kraju. Na trzech warszawskich dworcach (Centralny, Wschodni, Zachodni) pojawi się wystawa prezentująca pracowników kolei, którzy wzięli udział w powstaniu. Na tych samych dworcach, na specjalnych nośnikach przedstawione zostaną również plakaty z historycznymi zdjęciami tychże dworców, ukazujące ich wygląd z czasów powstania. Wystawy i plakaty będzie można oglądać od 1 sierpnia.

Fot. ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

23/0718/F | 39/0718/F

eprasa.pl 047454cd83

FUNDACJA GRUPY

PKP

Polskie Koleje Państwowe to ponad 90 lat tradycji. Historia PKP i polskich kolejarzy nierozerwalnie łączy się z walkami o wolność i niepodległość naszego kraju.
Fundacja Grupy PKP wspiera i koordynuje działania mające na celu propagowanie wiedzy historycznej o zasłużonych pracownikach kolei.

FUNDACJA GRUPY PKP

INSTYTUCJA UŻYTECZNOŚCI PUBLICZNEJ

- **WSPIERAMY** rozwój zawodowego szkolnictwa kolejowego
- **EDUKUJEMY** w zakresie bezpiecznych zachowań
- **DBAMY** o kolejowe dziedzictwo
- **PRZECIWDZIAŁAMY** wykluczeniom i wspieramy potrzebujących

Fundacja Grupy PKP

ul. Szczęśliwicka 62
00-973 Warszawa
+48 22 474 94 03
fundacja@pkp.pl
www.fundacjapkp.pl

eprasa.pl 047454cd83



WSPIERAMY ROZWÓJ POLSKI I POLAKÓW

Bank Polski
dzień dobry

eprasa.pl 047454cd83